

KALENDARZ GOLESZOWSKI

2013

Gmina Golezów



Redakcja:

Małgorzata Szteler-Furmaniuk

Autorzy artykułów:

Tomasz Beczała, Magdalena Dziendziel, Franciszek Giecek, Tomasz Jaszowski, Albin Klimczak, Bogusław Konecki, Lidia Lankocz, Paweł Piotr Małyś, Kamil Podzorski, Jan Puczek, Zenon Sobczyk, Janusz Spyra, Leszek Tyrna, Kazimierz Wiselka, Bogdana Zakolska.

Zdjęcia lotnicze:

Grzegorz Fedrizzi

Skład, przygotowanie do druku i druk:

Wydawnictwo ARKA, www.arkadruk.pl

Nakład 1000 egz.

Wydawca:

Gmina Goleszów
43-440 Goleszów
ul. 1 Maja 5
tel. 33 479 05 10
goleszow@ug.pl
www.goleszow.pl



Redakcja zastrzega sobie prawo dokonywania zmian i skrótów w dostarczonych artykułach.

ISBN 978-83-936146-1-5

Grudzień 2012

Drodzy Państwo!

Miło mi zaprosić do lektury kolejnego, trzynastego już, wydania Kalendarza Goleiszowskiego. Dzięki dofinansowaniu pozyskanemu przez Gminę Goleiszów ze środków Unii Europejskiej w ramach Europejskiego Funduszu Rolnego na Rzecz Obszarów Wiejskich publikację rozprawać możemy nieodpłatnie.

Tym razem zebrane materiały dotyczą nie tylko samej Gminy Goleiszów, ale są również kompendium wiedzy na temat ościennych gmin. Autorem artykułu na temat dziejów gmin tworzących Stowarzyszenie Lokalna Grupa Działania „Cieszyńska Kraina” jest Tomasz Jaszowski.

Kazimierz Wiselka podzieli się z nami doświadczeniem zebrany na przełomie trzydziestu lat pracy z samorządem, a także opowie co, jak i kiedy udało się zrobić w Godziszowie.

Z materiału Janusza Spyry dowiemy się, jak oszczędzono na przełomie ostatnich czterech wieków na Śląsku Cieszyńskim, poznamy historię kas oszczędnościowych i instytucji bankowych na naszym terenie.

Ciekawe wspomnienia członków oddziału partyzantów przedstawia Franciszek Giecek w artykule „Rycerze XX wieku na Czantorii”.

O losach Ochotniczej Straży Pożarnej w Cisownicy pisze Bogusław Konecki. Prezentuje zarys historyczny oraz obecne funkcjonowanie i zakres jej działalności.

Źródła kulturowanych obrzędów na naszym terenie oraz specyfikę przeróżnych zwyczajów, magicznych wierzeń i zabobonów opisuje w ciekawym materiale Lidia Lankocz. Próbuje przybliżyć Czytelnikom motywy ludzkich zachowań, które fragmentarycznie przetrwały w tradycjach do dnia dzisiejszego. Natomiast dokładną historię swojego starego domu w Cisownicy przedstawił Jan Puczek. To bardzo interesujący artykuł, urozmaicony starymi fotografiami.

W rozdziale „Odpryski przeszłości” autorstwa Magdaleny Dziendziel, poznamy historię życia Jeana Bartischana, więźnia goleszowskiej filii podobożu Auschwitz. Zawarte w materiale wątki z jego życia przeplatane są fragmentami listów i wspomnień oraz ciekawymi ilustracjami.

Skarbnicą wiedzy na temat grzybów i mrówek są artykuły Tomasza Beczały i Kamila Podzorskiego, którzy w znakomity sposób odkrywają przed nami tajniki przyrody. Kamil Podzorski opracował również teksty dotyczące świata roślin i zwierząt, umieszczone obok kalendarium.

Rozdział „Rozważania na temat...” autorstwa Leszka Tyrny i Albina Klimczaka dotyczy tym razem religii. Zapraszam do zgłębienia wiedzy na temat czasów pogańskich i obecnej sytuacji kościoła w Polsce.

Zaś na turystyczny szlak zabierze nas prezes koła PTTK „Ślimoki” Zenon Sobczyk. Tym razem odwiedzimy intrygującą Krwawą Hrabinę w ruinach słowackiego zamku.

Prezentujemy również poezję Bogdany Zakolskiej oraz Pawła Piotra Małysza. Na koniec krótko przypominamy najważniejsze wydarzenia w gminie z ostatniego roku.

Korzystając z okazji pragnę serdecznie podziękować wszystkim autorom materiałów, dzięki którym powstał kalendarz, za zaangażowanie i bezinteresowną pracę, a w szczególności dziękuję zastępcy wójta Tomaszowi Jaszowskiemu za wszelką okazaną pomoc.

„Kalendarz Goleiszowski 2013” dostępny jest także w wersji elektronicznej na www.goleiszow.pl.

*W imieniu zespołu redakcyjnego
Małgorzata Szteler-Furmaniuk*

STYCZEŃ

- Wt 1 Nowy Rok, Mieczysława
- Śr 2 Izydora, Makarego
- Cz 3 Danuty, Genowefy
- Pt 4 Tytusa, Eugeniusza
- So 5 Edwarda, Szymona
- N 6 Trzech Króli
- Pn 7 Juliana, Lucjana
- Wt 8 Seweryna, Mściława
- Śr 9 Marcjanny, Marceliny
- Cz 10 Jana, Wilhelma
- Pt 11 Matyldy, Honoraty
- So 12 Benedykta, Arkadiusza
- N 13 Weroniki, Bogumiły
- Pn 14 Feliksa, Hilarego
- Wt 15 Pawła, Dobrawy
- Śr 16 Marcelego, Włodzimierza
- Cz 17 Antoniego, Rościława
- Pt 18 Piotra, Małgorzaty
- So 19 Henryka, Mariusza
- N 20 Fabiana, Sebastiana
- Pn 21 Dzień Babci, Agnieszki
- Wt 22 Dzień Dziadka, Wincentego
- Śr 23 Ildelfonsa, Rajmunda
- Cz 24 Felicji, Tymoteusza
- Pt 25 Pawła, Miłosza
- So 26 Pauli, Polikarpa
- N 27 Jana, Przybysława
- Pn 28 Walerego, Radomira
- Wt 29 Zdzisława, Franciszka
- Śr 30 Macieja, Martyny
- Cz 31 Jana, Marcelego



Opracował Kamil Podzorski

Kwiczół (*Turdus pilaris*)

Kwiczół jest dość dużym, bo osiągniętym ponad 25 cm długości i przeszło 40 cm rozpiętości skrzydeł, barwnym przedstawicielem rodziny drozdowatych (*Turdidae*), obejmującej około 330 gatunków występujących na całym świecie. Jego grzbiet ma barwę ciepłego brązu, skrzydła są niemal czarne, głowa i nasada ogona – stalowe, z niebieskawym odcieniem, zaś brzuch – kremowy, czarno nakrapiany. Na naszym terenie występuje przez cały rok, natomiast osobniki należące do populacji północnoeuropejskich wędrują na zimę do południowych regionów naszego kontynentu. Gniazdo buduje samica, zakładając je wysoko w koronach drzew iglastych, by następnie w kwietniu złożyć do niego 5–6 jaj, które sama wysiaduje. Opiekę nad pisklętami pełnią już jednak oboje rodzice, którzy w obronie potomstwa gotowi są zaatakować każdego napastnika, nawet znacznie większego od nich samych (jedną z form defensywy jest obryzgiwanie intruza kałem w trakcie lotu). Pożywienie kwiczołów stanowią głównie owady i inne małe bezkręgowce. Jesienią i zimą jądłospis jest ponadto wzbogacany o owoce i nasiona. Obecnie ptak ten objęty jest ochroną, jednak w przeszłości jego mięso uważano za przysmak. Ciekawostką jest fakt, iż spożywano je bez patroszenia – zawarte w przewodzie pokarmowym owoce traktowano jako rodzaj przyprawy wzbogacającej smak posiłku.

LUTY

Pt	1	Brygidy, Ignacego
So	2	Marii, Mirosława
N	3	Błażeja, Hipolita
Pn	4	Andrzeja, Weroniki
Wt	5	Agaty, Adelajdy
Śr	6	Bohdana, Tytusa
Cz	7	Ryszarda, Romualda
Pt	8	Jana, Piotra
So	9	Cyryla, Apolonii
N	10	Jacka, Scholastyki
Pn	11	Łazarza, Marii
Wt	12	Eulalii, Modesta
Śr	13	Grzegorza, Katarzyny
Cz	14	Walentego, Lilianny
Pt	15	Faustyna, Józefa
So	16	Danuty, Julianny
N	17	Donata, Łukasza
Pn	18	Symeona, Konstancji
Wt	19	Konrada, Arnolda
Śr	20	Leona, Ludomira
Cz	21	Feliksa, Eleonory
Pt	22	Marty, Małgorzaty
So	23	Romany, Damiana
N	24	Macieja, Bogusza
Pn	25	Wiktora, Cezarego
Wt	26	Mirosława, Aleksandra
Śr	27	Anastazji, Gabriela
Cz	28	Makarego, Romana

C



●

)

○

Jer (*Fringilla montifringilla*)

Przed nastaniem zimy, wiele gatunków ptaków opuszcza nasze tereny, by tę niekorzystną porę roku spędzić na obfitujących w pokarm terenach o łagodniejszym klimacie. Jer jest jednak jednym z tych gatunków ptaków dalekiej północy, które właśnie obszar zachodniej i środkowej Europy obrały na miejsce zimowisk. Świętą wędrówkę z Syberii i Skandynawii jery odbywają w ogromnych stadach, liczących czasem miliony osobników. Rekordowo liczną grupę zanotowano w 1951 r. w pewnym niewielkim,

szwajcarskim lesie, gdzie (jak się szacuje) przebywało jednorazowo około 70 milionów ptaków. W ciągu jednego dnia spożyły one pokarm o łącznej masie wynoszącej w przybliżeniu 300 ton (były to głównie owoce buka i ziarna kukurydzy pozostałe na polach po jesiennych zbiorach), zaś pozostawiona przez nie warstwa odchodów osiągnęła grubość kilku centymetrów i rozciągała się na przestrzeni ponad 10 ha. Uwagę zwracają jednak nie tylko osobliwe zwyczaje, ale również wyróżniające się jaskrawe ubarwienie omawianego gatunku. Szczególnie barwne są samce w szacie wiosennej. Upierzenie zimowe jest nieco bardziej stonowane, ale i w nim nie brak kontrastowych zestawień kolorów: czarnego, białego i pomarańczowego. O tej porze roku przedstawiciele obu płci wyglądają tak samo.

MARZEC

Pt	1	Antoniego, Albina	
So	2	Heleny, Radosława	
N	3	Maryny, Kunegundy	
Pn	4	Kazimierza, Łucji	☾
Wt	5	Adriana, Fryderyka	
Śr	6	Róży, Wiktora	
Cz	7	Pawła, Tomasza	
Pt	8	Dzień Kobiet, Beaty	
So	9	Katarzyny, Franciszki	
N	10	Cypriana, Marcelego	
Pn	11	Konstantego, Ludosława	●
Wt	12	Bernarda, Grzegorza	
Śr	13	Bożeny, Krystyny	
Cz	14	Leona, Matyldy	
Pt	15	Ludwika, Klemensa	
So	16	Izabeli, Hilarego	
N	17	Zbigniewa, Patryka	
Pn	18	Cyryła, Edwarda	
Wt	19	Józefa, Bogdana	☽
Śr	20	Maurycego, Klaudii	
Cz	21	Benedykta, Lubomira	
Pt	22	Bogusława, Katarzyny	
So	23	Feliksa, Pelagii	
N	24	Marka, Gabriela	
Pn	25	Marii, Wiencysława	
Wt	26	Teodora, Emanuela	
Śr	27	Lidii, Ernesta	○
Cz	28	Anieli, Sykstusa	
Pt	29	Wiktoryna, Eustachego	
So	30	Jana, Amelii	
N	31	Wielkanoc, Balbiny, Gwidona	



Zaskroniec zwyczajny (*Natrix natrix*)

Marzec to miesiąc, w którym z zimowego odrętwienia budzą się zaskronce. Są to najpospolitsze z naszych węży. Długość ciała dorosłego osobnika może przekraczać 150 cm, ale większość z nich osiąga nie więcej niż metr. Ciało tego gada pokrywa łuska barwy szarej, oliwkowej lub lekko brunatnej, zaś cechą charakterystyczną są żółte plamy za skroniami, od których wywodzi się nazwa węża. Jest to gatunek niejadowity, zupełnie niegroźny dla człowieka, choć, niestety, często przez ludzi bezwzględnie tępiiony, na skutek pomyłki ze żmiją zygzakowatą, która, o czym należy pamiętać, tak jak i zaskroniec, jest gatunkiem

objętym na terenie kraju ścisłą ochroną. Zaskroniec prowadzi wodno-łądowy tryb życia i poluje głównie w pobliżu zbiorników wodnych, zaś jego ofiarami padają przeważnie płazy. Potrafi znakomicie pływać i nurkować, które to umiejętności wykorzystuje podczas polowania. Latem samica składa około 30 jaj, zagrzebując je w stertach butwiejących liści lub nawozu. Wytwarzane podczas procesów rozkładu ciepło zapewnia lęgowi właściwą temperaturę niezbędną do inkubacji. Co ciekawe, u osobników zamieszkujących obszary o chłodnym klimacie (północna część naszego kontynentu) proces ten zachodzi wewnątrz ciała samicy, zaś młode wylęgają się z jaj już w chwili ich składania.

KWIECIEŃ

- Pn 1 **Poniedziałek Wielkanocny**
 Wt 2 **Franciszka, Władysława**
 Śr 3 **Pankracego, Ryszarda** ☾
 Cz 4 **Izydora, Wacława**
 Pt 5 **Ireny, Wincentego**
 So 6 **Celestyna, Wilhelma**
 N 7 **Donata, Rufina**
 Pn 8 **Radosława, Januarego**
 Wt 9 **Marii, Marcelego**
 Śr 10 **Michała, Makarego** ●
 Cz 11 **Gemmy, Leona**
 Pt 12 **Wiktor, Juliusza**
 So 13 **Przemysława, Idy**
 N 14 **Justyny, Waleriana**
 Pn 15 **Anastazji, Bazylego**
 Wt 16 **Bernadetty, Benedykta**
 Śr 17 **Roberta, Rudolfa**
 Cz 18 **Apoloniusza, Bogusławy** ☽
 Pt 19 **Adolfa, Tymona**
 So 20 **Czesława, Agnieszki**
 N 21 **Feliksa, Anzelma**
 Pn 22 **Kai, Łukasza**
 Wt 23 **Jerzego, Wojciecha**
 Śr 24 **Feliksa, Grzegorza**
 Cz 25 **Marka, Jarosława** ○
 Pt 26 **Marii, Marceliny**
 So 27 **Zyty, Teofila**
 N 28 **Pawła, Walerii**
 Pn 29 **Piotra, Roberta**
 Wt 30 **Mariana, Katarzyny**



Ziarnopłon wiosenny (*Ranunculus ficaria*)

Na kwiecień przypada pełnia kwitnienia ziarnopłonu wiosennego – jednego z przedstawicieli licznie u nas reprezentowanej rodziny jaskrowatych (*Ranunculaceae*). Jest to niewysoka roślina o sercowatych liściach i intensywnie na żółto zabarwionych kwiatach, które jednak, pod wpływem światła słonecznego, często bledną, stając się niemal białe. Ziarnopłon rośnie najczęściej na stanowiskach półcienistych – w lasach i wśród zarośli. Dawniej liście tej rośliny stosowano jako składnik sałatek spożywanych na przednówku. Mimo pewnych właściwości leczniczych

(m.in. posiada korzystny wpływ na odprowadzanie toksyn z organizmu i odporność), obecnie odradza się jej stosowania, ze względu na zawartość niewielkiej ilości toksycznej substancji – protoanemoniny, której stężenie zwiększa się wraz ze wzrostem rośliny (bezpieczne jest spożywanie wyłącznie bardzo młodych liści zbieranych wczesną wiosną). Na uwagę zasługuje sposób rozsiewania się nasion omawianej rośliny. Pokrywa je tzw. elajosom (ciałko mrówcze) – warstwa smacznej, pożywnej i bogatej w tłuszcz substancji, przyciągającej mrówki. Owady transportują nasiona do swych podziemnych mrowisk (często zlokalizowanych w znacznej odległości od rośliny macierzystej), gdzie następnie kiełkują (spożycie elajosomu nie przynosi im żadnego uszczerbku).

Śr	1	Święto Pracy, Józefa
Cz	2	Anatola, Zygmunta
Pt	3	Św. Konstytucji 3 Maja
So	4	DZIEŃ STRAŻAKA, Floriana
N	5	Ireny, Waldemara
Pn	6	Jana, Judyty
Wt	7	Ludmiły, Gizeli
Śr	8	Stanisława, Lizy
Cz	9	Bożydara, Grzegorza
Pt	10	Izydora, Antoniny
So	11	Mamerta, Igi
N	12	Dominika, Pankracego
Pn	13	Roberta, Serwacego
Wt	14	Bonifacego, Dobiesława
Śr	15	Zofii, Jana
Cz	16	Jędrzeja, Szymona
Pt	17	Weroniki, Paschalisa
So	18	Feliksa, Eryka
N	19	Piotra, Mikołaja
Pn	20	Bernardyna, Bazylego
Wt	21	Wiktora, Jana
Śr	22	Anatola, Heleny
Cz	23	Iwony, Cecylii
Pt	24	Adeli, Klemensa
So	25	Grzegorza, Urbana
N	26	Dzień Matki, Filipa
Pn	27	Jana, Juliusza
Wt	28	Justyny, Jaromira
Śr	29	Magdaleny, Teodozji
Cz	30	Boże Ciało, Feliksa
Pt	31	Anieli, Kamili



Bielinek kapustnik (*Pieris brassicae*)

Bielinek kapustnik to niewątpliwie jeden z najbardziej znanych, ale zarazem i nie lubianych gatunków krajowych motyli. Jest to owad, w porównaniu z innymi gatunkami bielinków, dość duży – osiąga rozpiętość skrzydeł 7 centymetrów. Jego naturalnym obszarem występowania jest Europa wraz z basenem Morza Śródziemnego. Obecnie rozprzestrzenił się jednak również na kontynentach północnoamerykańskim i australijskim, gdzie jego jaja i gąsienice zostały niechcący sprowadzone wraz z sadzonkami roślin żywicielskich. Bielinek jest, jak powszechnie wiadomo, groźnym szkodnikiem kapusty. Niszczy jednak również uprawy gorczycy i rzodkwi. W gospodarstwach wielkoobszarowych do jego zwalczania

stosowane są dziś głównie owadobójcze środki chemiczne. Dla ochrony niewielkich upraw przydomowych można jednak posłużyć się wyciągiem z moczonego przez 12 godzin w wodzie ziela bylicy piołunu, w zalecany stosunku 300 g na 10 l cieczy. Preparat ten może być stosowany na już zaatakowane rośliny, jednak szczególnie korzystne rezultaty uzyskuje się dokonując oprysków profilaktycznych. Mimo szeroko zakrojonych działań mających na celu ograniczenie liczebności tego gatunku (lub zupełnej eliminacji poza obszarem pierwotnego zasiedlenia) jest on nadal bardzo pospolity na całym terenie swego obecnego występowania.

CZERWIEC

So	1	Dzień Dziecka, Konrada
N	2	Marianny, Erazma
Pn	3	Klotyldy, Leszka
Wt	4	Karola, Franciszka
Śr	5	Walerii, Bonifacego
Cz	6	Jana, Judyty
Pt	7	Roberta, Wiesława
So	8	Seweryna, Medarda ●
N	9	Pelagii, Felicjana
Pn	10	Bogumiły, Małgorzaty
Wt	11	Feliksa, Róży
Śr	12	Janiny, Onufrego
Cz	13	Antoniego, Lucjana
Pt	14	Elizy, Bazylego
So	15	Jolanty, Wita
N	16	Aliny, Justyny ☾
Pn	17	Adolfa, Laury
Wt	18	Elżbiety, Marka
Śr	19	Protazego, Gerwazego
Cz	20	Bogny, Florentyny
Pt	21	Alicji, Alojzego
So	22	Pauliny, Tomasza
N	23	Dzień Ojca, Albina, Wandy ○
Pn	24	Jana, Danuty
Wt	25	Łucji, Wilhelma
Śr	26	Jana, Pawła
Cz	27	Maryli, Marii
Pt	28	Leona, Ireneusza
So	29	Piotra, Pawła
N	30	Emilii, Lucyny ☾



Świerzbica polna (*Knautia arvensis*)

Świerzbica to dość pospolita, światłolubna bylina łąkowa osiągająca wysokość 30 – 150 cm. Jest szeroko rozpowszechniona na obszarach nizinnych i wyżynnych znacznej części Eurazji, w tym również na naszym terenie. Najczęściej rośnie na nasłonecznionych łąkach i pastwiskach, wzdłuż dróg i pod żywopłotami, ale także w widnych lasach. W okresie od maja do września wytwarza blad różowe lub fioletowe kwiatostany, złożone z dużej liczby rurkowatych kwiatów. Gatunek ten posiada dwa rodzaje znacznie różniących się wyglądem liści – pierwsze – tzw. odziomkowe mają lancetowaty kształt, dru-

gie, wyrastające wprost z łodygi, są natomiast pierzaste. Z racji dość dużych wymagań glebowych, jej obecność jest wskaźnikiem żyzności podłoża, sama roślina nie posiada natomiast większego znaczenia gospodarczego. Obecnie nie jest również szerzej stosowana w ziołolecznictwie, choć dawniej jej sok wykorzystywany był w leczeniu świerzbu i innych chorób skórnych, do czego nawiązuje nazwa.

LIPIEC

Pn	1	Haliny, Mariana
Wt	2	Jagody, Marii
Śr	3	Jacka, Anatola
Cz	4	Teodora, Innocentego
Pt	5	Karoliny, Antoniego
So	6	Łucji, Dominika
N	7	Cyryla, Metodego
Pn	8	Elżbiety, Prokopa
Wt	9	Zenona, Weroniki
Śr	10	Filipa, Amelii
Cz	11	Ołgi, Pelagii
Pt	12	Jana, Gwalberta
So	13	Ernesta, Małgorzaty
N	14	Kamila, Bonawentury
Pn	15	Henryka, Włodzimierza
Wt	16	Marii, Eustachego
Śr	17	Anety, Aleksego
Cz	18	Kamila, Szymona
Pt	19	Wincentego, Alfreda
So	20	Czesława, Hieronima
N	21	Daniela, Andrzeja
Pn	22	Marii, Magdaleny
Wt	23	Bogny, Apolinarego
Śr	24	Kingi, Krystyny
Cz	25	Jakuba, Krzysztofa
Pt	26	Anny, Grażyny
So	27	Julii, Natalii
N	28	Wiktora, Innocentego
Pn	29	Marty, Olafa
Wt	30	Julity, Ludmiły
Śr	31	Ignacego, Heleny



Wrotycz pospolity (*Tanacetum vulgare*)

Wrotycz jest bardzo pospolitą rośliną, spotykaną w całej Europie, zarówno na terenach górskich jak i nizinnych. Rośnie pojedynczo lub w kępach, zwłaszcza przy drogach, nasypach, nad brzegami potoków, na skrajach lasów, a często również w ogrodach. Jest to bardzo charakterystyczna, łatwa do rozpoznania wysoka bylina o dużych, pierzastych liściach i żółtych kwiatach w kształcie koszyczków o intensywnym zapachu, zebranych w baldaszkowate kwiatostany. Właściwości lecznicze tej rośliny znane były już od dawna. Stosuje się zarówno liście, jak i suszone kwiaty. Przyrządzone z nich preparaty skutecznie pomagają w zwalczaniu pasożytów wewnętrznych (głównie glist) zarówno u ludzi, jak i zwierząt gospodarskich. Odwarem z dwóch łyżeczek ziela (na szklankę wody) można również przemywać włosy, w przypadku pojawienia się wszy. Ponadto, roślina ta znajduje zastosowanie w zwalczaniu zaparć, różnego rodzaju dolegliwości żołądkowych, jak również w przypadku zaburzeń cyklu miesiączkowego. Należy jednak pamiętać, że roślina posiada również pewne właściwości toksyczne i przy jej stosowaniu (zwłaszcza wewnętrznym) należy zachować dalece idącą ostrożność. W szczególności nie należy podawać jej małym dzieciom, kobietom ciężarnym, osobom starszym oraz cierpiącym na wrzody żołądka.

SIERPIEŃ

Cz	1	Piotra, Justyna
Pt	2	Gustawa, Kariny
So	3	Lidii, Augusta
N	4	Dominika, Protazego
Pn	5	Marii, Stanisławy
Wt	6	Sławy, Jakuba
Śr	7	Doroty, Kajetana
Cz	8	Emiliana, Cypriana
Pt	9	Romana, Romualda
So	10	Borysa, Wawrzyńca
N	11	Zuzanny, Włodzimierza
Pn	12	Klary, Lecha
Wt	13	Hipolita, Diany
Śr	14	Alfreda, Euzebiusza
Cz	15	Wniebowzięcie NMP
Pt	16	Rocha, Joachima
So	17	Jacka, Mirona
N	18	Heleny, Ilony
Pn	19	Bolesława, Juliana
Wt	20	Bernarda, Samuela
Śr	21	Joanny, Franciszki
Cz	22	Cezarego, Tymoteusza
Pt	23	Filipa, Apolinarego
So	24	Barłomieja, Jerzego
N	25	Ludwika, Luizy
Pn	26	Marii, Zefiryny
Wt	27	Moniki, Józefa
Śr	28	Augustyna, Patrycji
Cz	29	Sabiny, Jana
Pt	30	Róży, Szczęsnego
So	31	Bohdana, Rajmunda



Pęcioniak gęsi (*Potentilla anserina*)

- Pęcioniak jest pospolitą, łatwo rozpoznawalną, płożącą byliną o charakterystycznych piłkowanych liściach, pokrytych od spodu srebrzystymi włoskami. Jest bardzo plenny i szybko rozprzestrzenia się na znacznym obszarze, rozsadzając się przy pomocy podziemnych rozłóg. Omawiana roślina nie ma większego znaczenia gospodarczego, choć jej liście stosowane są jako pasza dla młodego drobiu. Od wieków ceniona jest natomiast w ziołolecznictwie. Ziele pęcioniaka stosuje się (głównie w postaci wywarów i naparów) jako środek ściągający w przypadku

ku krwawień wewnętrznych, przewlekłej biegunki oraz innych schorzeń przewodu pokarmowego i wątroby, jak również zaburzeń w wytwarzaniu kwasu żołądkowego i żółci. Łagodzi ponadto bóle miesiączkowe. Gatunek ten może być, bez większych obaw, stosowany w warunkach domowych. By sporządzić napar należy 2 łyżeczki ziół zalać ¼ litra wrzątku i pozostawić na okres około 10 minut. Zalecana dawka wynosi 2 – 3 filiżanki dziennie.

WRZESIEŃ

N	1	Bronisława, Idziego
Pn	2	Stefana, Juliana
Wt	3	Izabeli, Szymona
Śr	4	Rozalii, Lilianny
Cz	5	Doroty, Wawrzyńca
Pt	6	Beaty, Eugeniusza
So	7	Reginy, Melchiora
N	8	Marii, Nestora
Pn	9	Piotra, Sergiusza
Wt	10	Łukasza, Mikołaja
Śr	11	Jacka, Piotra
Cz	12	Marii, Gwidona
Pt	13	Filipa, Eugenii
So	14	Cypriana, Bernarda
N	15	Albina, Nikodema
Pn	16	Edyty, Kornela
Wt	17	Justyny, Franciszka
Śr	18	Ireny, Stefanii
Cz	19	Januarego, Konstancji
Pt	20	Filipiny, Eustachego
So	21	Hipolita, Mateusza
N	22	Tomasza, Maurycego
Pn	23	Tekli, Bogusława
Wt	24	Gerarda, Teodora
Śr	25	Aurelii, Władysława
Cz	26	Justyny, Cypriana
Pt	27	Kosmy, Damiana
So	28	Marka, Wacława
N	29	Michała, Michaliny
Pn	30	Zofii, Hieronima



○ Wierzbownica kosmata (*Epilobium hirsutum*)

Wierzbownica kosmata jest wysoką, okazałą byliną o rzucających się w oczy intensywnie zabarwionych na różowo kwiatach. Rośnie na glebach podmokłych – nad brzegami rzek, jezior i rowów melioracyjnych, jak również na bagnach i trzcinowiskach, gdzie tworzy bujne kępy. Liście, w odróżnieniu od pokrewnego gatunku – wierzbownicy górskiej (*E. montanum*), są lancetowate, lekko ząbkowane na krawędziach. Charakterystyczną cechą wszystkich wierzbownic są wydłużone, pokryte meszkiem torebki nasienne, które gdy dojrzeją, pękają rozrzucając wokoło małe nasionka, z przyczepionymi doń delikatnymi nitkami,

ułatwiającymi roznoszenie ich przez wiatr na większe odległości. W medycynie naturalnej ziele wierzbownicy stosuje się (ze względu na działanie przeciwzapalne, bakteriobójcze i antyalergiczne) w leczeniu chorób skóry, takich jak łuszczyca, trądzik czy łojotok. Jest również wykorzystywane do zwalczania stanów zapalnych w obrębie układu moczowego, zwłaszcza gruczołu krokowego. Zawarte w nim substancje działają ponadto uspokajająco i okazują się pomocne w walce z szeregiem schorzeń psychosomatycznych. Napary z 2 łyżek suszonych ziół, zaparzanych przez około 15 minut w szklance wody, mogą być stosowane w kuracji domowej (filiżankę specyfiku należy pić 2 – 4 razy dziennie).

PAŹDZIERNIK

Wt	1	Danuty, Remigiusza	
Śr	2	Teofila, Dionizego	
Cz	3	Gerarda, Teresy	
Pt	4	Rozalii, Franciszka	
So	5	Apolinarego, Placyda	●
N	6	Artura, Brunona	
Pn	7	Marii, Marka	
Wt	8	Pelagii, Brygidy	
Śr	9	Ludwika, Arnolda	
Cz	10	Pauliny, Franciszka	
Pt	11	Emila, Aldony	
So	12	Eustachego, Maksymiliana)
N	13	Edwarda, Teofila	
Pn	14	Dzień Edukacji Narodowej	
Wt	15	Teresy, Jadwigi	
Śr	16	Gawła, Ambrożego	
Cz	17	Wiktora, Małgorzaty	
Pt	18	Łukasza, Juliana	
So	19	Piotra, Ziemowita	
N	20	Ireny, Kleopatry	
Pn	21	Urszuli, Hilarego	
Wt	22	Filipa, Korduli	
Śr	23	Teodora, Seweryna	
Cz	24	Rafała, Marcina	
Pt	25	Darii, Ingi	
So	26	Łucjana, Ewarysta	
N	27	Sabiny, Iwony	☾
Pn	28	Szymona, Tadeusza	
Wt	29	Euzebij, Wioletty	
Śr	30	Zenobii, Przemysława	
Cz	31	Urbana, Augustyna	



○ Jarzębina (*Sorbus aucuparia*)

Jarzębina (a właściwie jarząg pospolity) to niewysokie, każdemu chyba znane drzewo, osiagające do 15 m wysokości. Rośnie w lasach i zaroślach, zarówno w górach jak i terenach niżej położonych. Popularna jest również jako drzewo ozdobne sadzone w parkach i ogrodach ze względu na swe walory dekoracyjne. W lecznictwie stosuje się głównie suszone kwiaty jarzębiny, posiadające działanie przeciwzapalne, zwłaszcza w obrębie dróg moczowych i błon śluzowych przewodu pokarmowego. Przetwory z owoców tej rośliny (dżemy, galaretki, soki) można również używać do zwalczania biegunek (choć co ciekawe, świeże owoce posiadają działanie wręcz odwrotne –

tracą je jednak po ugotowaniu). Podaje się je również (w niewielkich ilościach) jako środek zwiększający apetyt. Trzeba jednak pamiętać, iż zawierają one również pewne substancje chemiczne, które spożyte w dużych ilościach mogą posiadać działanie toksyczne. Objawami zatrucia są wymioty, niemyt żołądka i jelit, rozszerzenie źrenic, przebarwienia skóry (zbliżone do objawów szkarlatyny), a także poczucie odurzenia. Niektóre badania wskazują ponadto, iż zawarty w owocach jarzębiny kwas parasorbowy może mieć działanie rakotwórcze.

LISTOPAD

Pt	1	Wszystkich Świętych
So	2	Bożydara, Tobiasza
N	3	Sylwii, Huberta
Pn	4	Karola, Olgierda
Wt	5	Sławomira, Elżbiety
Śr	6	Feliksa, Leonarda
Cz	7	Antoniego, Florentego
Pt	8	Seweryna, Wiktora
So	9	Ursyna, Teodora
N	10	Andrzeja, Ludomira
Pn	11	Święto Niepodległości
Wt	12	Renaty, Witolda
Śr	13	Stanisława, Benedykta
Cz	14	Serafina, Wawrzyńca
Pt	15	Alberta, Leopolda
So	16	Gertrudy, Edmunda
N	17	Grzegorza, Salomei
Pn	18	Anieli, Romana
Wt	19	Elżbiety, Seweryna
Śr	20	Anatola, Sędzimira
Cz	21	Janusza, Konrada
Pt	22	Marka, Cecylii
So	23	Adeli, Klemensa
N	24	Jana, Flory
Pn	25	Katarzyny, Erazma
Wt	26	Delfiny, Konrada
Śr	27	Waleriana, Maksymiliana
Cz	28	Grzegorza, Zdzisława
Pt	29	Błażeja, Saturnina
So	30	Andrzeja, Justyny



Śliwa tarnina (*Prunus spinosa*)

Tarnina to ciernisty, gęsto rozgałęziony krzew osiągający do 3 m wysokości. Rośnie w całej Europie, zarówno na nizinach jak i w górach, najczęściej w miejscach dobrze nasłonecznionych – na skrajach lasów. Uważa się, że jest, obok ałyczy (*P. cerasifera*) jednym z przodków śliwki domowej (*P. domestica*). Jesienią wytwarza niewielkie, granatowe owoce o bardzo gorzkim smaku (po przemrożeniu tracą jednak charakterystyczną cierpkość i stają się bardziej słodkie). Wykorzystuje się je m. in. do wytwarzania konfitur i napojów alkoholowych. Stanowczo należy jednak unikać połykania zawartych w owocach pestek,

w których powstaje silnie toksyczny cyjanowodór. Do celów leczniczych stosuje się kwiaty omawianej rośliny. Sporządzane z nich napary i odvary wykazują działanie moczopędne i ułatwiają usuwanie z organizmu toksyn. Łagodzą też stany zapalne dróg moczowych. Krzew ten znalazł również swoje miejsce w świecie ludowych wierzeń. Sadzono go na grobach samobójców, wierząc iż jego kolce uchronią przed opuszczaniem mogiły przez duszę takiej osoby, która mogłaby błąkać się po świecie strasząc żyjących. Drewno tarniny było też często stosowane do wykonywania stosów, na których palono ludzi posądzanych o czary. Powszechne też było przekonanie, że to właśnie z kolczastych gałęzi tarniny sporządzono koronę cierniową, którą uwieńczono Jezusa przed ukrzyżowaniem.

GRUDZIEŃ

N	1	Natalii, Edmunda
Pn	2	Pauliny, Barbiny
Wt	3	Franciszka, Ksawerego
Śr	4	Barbary, Krystiana
Cz	5	Kryspiny, Saby
Pt	6	Mikołaja, Emiliana
So	7	Marcina, Ambrożego
N	8	Marii, Wirgiliusza
Pn	9	Wiesława, Leokadii
Wt	10	Julii, Daniela
Śr	11	Damazego, Waldemara
Cz	12	Adelajdy, Aleksandra
Pt	13	Łucji, Otylii
So	14	Alfreda, Izydora
N	15	Celiny, Waleriana
Pn	16	Albiny, Zdzisława
Wt	17	Olimpii, Łazarza
Śr	18	Gracjana, Bogusława
Cz	19	Gabrieli, Dariusza
Pt	20	Bogumiły, Dominika
So	21	Tomasza, Tomisława
N	22	Zenona, Honoraty
Pn	23	Wiktorii, Sławomiry
Wt	24	Adama, Ewy
Śr	25	Boże Narodzenie
Cz	26	Dionizego, Szczepana
Pt	27	Jana, Maksyma
So	28	Cezarego, Teofila
N	29	Dawida, Tomasza
Pn	30	Eugeniusza, Marcelego
Wt	31	Sylwestra, Melanii



Ościąg pospolity (*Mahonia aquifolium*)

Ościąg pospolity, lepiej znany pod łacińską nazwą rodzajową mahonia, to bardzo dekoracyjny, zimozielony krzew ozdobny pochodzący ze wschodniej Azji, jednak i u nas popularny jako roślina ogrodowa i parkowa. Osiąga do dwóch metrów wysokości, zaś jego ozdobą są ząbkowane, błyszczące, ciemnozielone liście, które niekiedy przebarwiają się zimą na kolor czerwony. Niewielkie żółte kwiaty pojawiają się wiosną, natomiast okres owocowania przypada na jesień. Roślina wykorzystywana jest w ziołolecznictwie, głównie w leczeniu przewlekłych

schorzeń skórnych, lecz dawniej przygotowywane z niej preparaty stosowano również w walce z takimi chorobami jak: tyfus, kiła i kamica żółciowa, jednak ze względu na ryzyko przedawkowania, objawiającego się poważnymi zaburzeniami funkcjonowania układu pokarmowego, odchodzi się od nich na rzecz bezpieczniejszych, a równie skutecznych specyfików. Nalewkę z kory, pędów lub korzenia stosuje się zewnętrznie do przemywania trudno gojących się ran, owrzodzeń oraz powierzchni skóry zaatakowanej przez łuszczycę, opryszczkę i trądzik. Może ona również służyć do płukania jamy ustnej, w stanach zapalnych dziąseł i przy nadwrażliwości zębów.

ROZDZIAŁ 1

O NASZEJ GMINIE I NIE TYLKO

Z DZIEJÓW GMIN „CIESZYŃSKIEJ KRAINY”

TOMASZ JASZOWSKI

3 czerwca 2008 roku w Zebrzydowicach odbyło się Zebranie Założycielskie Stowarzyszenia Lokalna Grupa Działania „Cieszyńska Kraina”. Wyłonione zostały pierwsze Władze Stowarzyszenia (Zarząd i Komisja Rewizyjna). Procedura rejestracyjna zakończyła się 22 lipca 2008 roku wpisem do Krajowego Rejestru Sądowego. Natomiast pierwszy skład Rady został wyłoniony 16 października 2008 roku.

Należy podkreślić, iż za pośrednictwem naszej LGD można składać wnioski o przyznanie pomocy w ramach działania „Wdrażanie lokalnych strategii rozwoju” dla operacji odpowiadającym warunkom przyznania pomocy w zakresie „Odnowy i rozwoju wsi”, „Małych projektów”, „Tworzenia i rozwoju mikroprzedsiębiorstw” oraz „Różnicowania w kierunku działalności nierolniczej”. Działanie „Wdrażanie lokalnych strategii rozwoju” objęte jest Programem Rozwoju Obszarów Wiejskich na lata 2007–2013.

Składane wnioski aplikacyjne muszą być zgodne z tzw. Lokalną Strategią Rozwoju przyjętą dla obszaru LGD „Cieszyńska Kraina”, a wnioskodawcami, w zależności od działania, mogą być: gminy, instytucje kultury, organizacje pozarządowe, kościoły lub związki wyznaniowe, a także osoby fizyczne i prawne. Więcej informacji na temat działalności Stowarzyszenia oraz możliwości składania wniosków na różnego rodzaju przedsięwzięcia zgodne z LSR znajdziecie Państwo na stronie internetowej www.cieszynskakraina.pl.

W skład Stowarzyszenia Lokalna Grupa Działania „Cieszyńska Kraina” wchodzi następujące gminy: Brenna, Chybie, Dębowiec, Golezów, Hażlach, Skoczów, Strumień i Zebrzydowice. Poniżej – na podstawie materiałów zamieszczonych na stronach internetowych oraz w różnego rodzaju wydawnictwach promocyjnych – przedstawiam krótki zarys dziejów każdej z gmin.

BRENNA

Gminę Brenna, według podziału administracyjnego ustalonego w roku 1972, tworzą trzy wsie: Brenna, Górki Małe i Górki Wielkie. Gmina ta jest malowniczo położona między stokami Beskidu Śląskiego, a jej łączna powierzchnia wynosi 95,4 km².

Gmina Brenna posiada bogatą historię. Wchodzące w jej skład Górki to jedna z najstarszych podbeskidzkich wiosek, wymienionych w roku 1302 w księdze uposażeń biskupstwa wrocławskiego jako wieś władcza. W owym czasie Górki stanowiły własność kogoś z książęcej służby lub nawet kogoś z poddanych, któremu książę cieszyński za zasługi nadał 20 zwykłych łanów ziemi oraz bezherbowe szlachectwo. Natomiast w drugiej ćwierci XV wieku Górki stały się wsią będącą częścią składową bardziej obszernego majątku kolejnych rodzin szlacheckich.

Pierwsza wzmianka o powstaniu wsi Brenna pochodzi z końca XV wieku. W dokumencie wydanym 30 czerwca 1490 roku książę cieszyński Kazimierz potwierdza, że niejaki Wawrzyniec z Pogórza zapisuje połowę wsi Pogórze i Brenna wraz ze wszystkimi przynależnościami, swojej małżonce Salomenie z Vrchlabi. Z faktu zanotowanego w dokumencie można wnioskować, że Brenna zamieszkała była już wcześniej, przynajmniej częściowo, na dogodniejszych dla osadnictwa terenach. Jak pisze w „Historii osadnictwa w Beskidzie Śląskim” historyk i badacz dziejów Śląska prof. Franciszek Popiołek, wyodrębniła się ona ze starszej wsi – Górek Małych. Poniżej, w telegraficznym skrócie, za oficjalną stroną internetową Brennej, podaję wybrane daty z dziejów tej gminy.



Muzeum Zofii Kossak-Szatkowskiej w Górkach Wielkich (fot. Archiwum LGD „Cieszyńska Kraina”)

Wybrane daty z dziejów gminy Brenna:

1305 r. – wieś Górki znalazła się w wykazie miejscowości płacących daniny, w spisie miejscowości Księstwa Cieszyńskiego.

XV w. – Górki stają się wsią szlachecką często zmieniającą właścicieli. Najdłużej wieś posiadała ród Góreckich.

XVI w. – wieś rozprzestrzeniła się w górę rzeki Brennicy (przez wykarczowanie nowych połąci lasu). W dokumentach rozróżnia się położone niżej „stare” Górki Wielkie – szlacheckie (rok 1521), a także położone wyżej Górki Małe – włościańskie (rok 1556). Wtedy też książę cieszyński Waclaw III Adam położoną w głębi doliny Brennicy wieś Brenną nadał Waclawowi Wodzie z Kojowic, natomiast pola w Górkach Małych wraz z karczmą, młynem i rybnikami były w posiadaniu wójta Mikołaja Tańca. W tym czasie na górskich polanach pojawili się wędrowni pasterze ze swoimi owcami. Przybyszów tych odnotowano w książących zapisach jako Wałachów.

1621 r. – Brenna jest w dalszym ciągu wioską książęcą, zarządzaną przez dwóch wójtów, którym podlegali możniejsi gospodarze i komornicy. Czynny był we wiosce książęcy folwark i huta szkła, wytapiająca proste szkło na szklanki do piwa i wina.

Przełom XVI i XVII w. – mieszkańcy wsi hodowali około tysiąc sztuk owiec i z tego tytułu, jako dziesięcinę, oddawali księciu 95 sztuk i 7 serów. W górach Wałasi zakładali sałazsze.

1734–1802 r. – wsią Górki rządzą Marklowscy.

1722 r. – spis podaje, iż w Brennej było już 107 osadników z rodzinami.

1785 r. – zbudowano kościół drewniany w Brennej, a w 1796 r. murowany.

1789 r. – powstaje pierwsza szkoła z czeskim językiem nauczania. Grunt pod szkołę wymieniono z Janem Holeksą za część łąki na Stawówce. Była to szkoła dwuklasowa, uczęszczało do niej 280 dzieci. Nauczycielem był Lorańczyk. Obecnie na tym miejscu jest budynek tzw. starej gminy.

1792 r. – sporządzono notatkę w kancelarii dworskiej, iż istniała huta żelaza obok ustrońskiej. Huty opalane były węglem drzewnym, którego produkcja wyniszczyła breńskie lasy.

XVIII w. – powstaje parafia i kościół. Przedtem parafia należała do parafii w Grodźcu.

1883 r. – powstaje szkoła ewangelicka, którą utrzymywał zbór ustroński.

1890 r. – powstaje szkoła na Bukowej.

1893 r. – powstaje szkoła na Leśnicy.

1897 r. – powstaje Kółko Rolnicze, działa Spółkowa Kasa Oszczędności i Pożyczek.

1900 r. – powstaje Czytelnia Ludowa i Kasa Spółdzielcza.

1916 r. – na cele wojenne zabrano kościelne dzwony „JAN” o wadze 1110 kg.

1918 r. – wraz z odzyskaniem przez Polskę niepodległości, upadła Komora Cieszyńska, chłopcy stali się wolnymi gospodarzami na swojej ziemi.

1922 r. – dawny majątek dworski w Górkach Wielkich wykupuje Tadeusz Kossak, wkrótce przybywa tu jego córka Zofia Kossak – światowej sławy pisarka – i mieszka w Górkach prawie całe życie, za wyjątkiem lat okupacji i pobytu w Anglii.

1923 r. – wybudowano Dom Katolicki imienia księdza Londzina.

1929 r. – do Brennej zbudowano nową drogę, na Buczu otwarto Stację ZHP, przekształconą w Szkołę Instruktorów ZHP, powstaje Ochotnicza Straż Pożarna, kursują pierwsze autobusy.

1933 r. – oddano do użytku nowoczesną, dużą i funkcjonalną Szkołę nr 1.

1937 r. – na granicy Gór Wielkich oddano do użytku ujęcie wodociągowe dla miasta Cieszyn.

1939 r. – na tereny Brennej wkraczają Niemcy i organizują niemiecką administrację i szkolnictwo. Brenną wcielono do Rzeszy Niemieckiej.

- 1940 r.** – w Brennej zawiązały się pierwsze grupy podziemia ZWZ–AK. Brenna była jednym z najaktywniejszych jego centrów. Po dziś liczne miejsca walk, bezlitosnych odwetów okupanta, mogiły oraz pomniki przypominają o latach hitlerowskiej okupacji.
- Sierpień 1944 r.** – ląduje desant sowieckiego oddziału zwiadowczo–dywersyjnego majora Anisimowa, któremu podporządkowała się część miejscowych partyzantów.
- Po 1945 r.** – zrealizowano wiele inicjatyw, zmierzających do uatrakcyjnienia wypoczynku i turystyki w rejonie Brennej.
- 1958 r.** – rozpoczęła się elektryfikacja wsi.
- 1960 r.** – wybudowano nową szkołę na Leśnicy.
- 1963 r.** – powstał Ośrodek Zdrowia.
- 1964 r.** – wybudowano szkołę „Tysiąclatkę” na Bukowej.
- 1975 r.** – powstał nowy budynek Urzędu Gminy.
- 1978 r.** – rozpoczęto od strony Górek gazyfikację wsi.
- 30.09.1989 r.** – Obchody 500-lecia wsi Brenna oraz odsłonięcie obelisku upamiętniającego zamordowanie przez hitlerowców 5 Polaków i 20 bezimiennych jeńców włoskich.
- 12.06.2004 r.** – Powstanie „Beskidzkiej 5” – programu mającego na celu wieloletnią współpracę pięciu miejscowości Brennej, Ustronia, Wisły, Istebnej, Szczyrku.
- 17.07.2005 r.** – Obchody 700-lecia wsi Górki.

CHYBIE

Gmina Chybie położona jest na północno–wschodnim skraju powiatu cieszyńskiego, w zakolu górnej Wisły. Cały jej obszar leży w Kotlinie Oświęcimskiej, a średnia wysokość terenu wynosi 245 m n.p.m. Powierzchnia gminy to 32 km², zaś w jej skład wchodzi sołectwa: Chybie, Frelichów, Mnich, Zaborze i Zarzeczce. Warte podkreślenia są walory przyrodnicze tej gminy, wspomnieć należy zwłaszcza o unikatowym rezerwacie torfowiskowym „Rotuz”, a także zamieszkiwanych przez rzadkie gatunki ptaków brzegach Jeziora Goczałkowickiego czy bardzo licznych stawach, pełnych żab.

O Zarzeczcu napisano w dokumentach już w 1223 roku, jednakże początki poważniejszego osadnictwa na terenie obecnej gminy Chybie datuje się na przełom XVI i XVII wieku. Warto również zaznaczyć, iż etnografowie tłumaczą nazwę „chyb” jako „las wysoki z drzewem budulcowym”. Natomiast etymologia ludowa, opierająca się na legendzie powiada, że złośliwemu księciu pszczyńskiemu, który chciał przegrodzić bieg Wisły, żeby zalać tutejsze tereny „chybiło”, czyli zabrakło wody.

Należy podkreślić, że tereny dzisiejszej gminy Chybie początkowo stanowiły własność panów pszczyńskich. Jednak w XV wieku zostały wykupione przez Księstwo Cieszyńskie. Najstarsza znana pieczęć gminy sięga XVIII wieku. Przedstawiała postać kobiety, za którą rosło drzewko. W drugiej połowie XIX wieku gmina Chybie zmieniła herb – zamiast kobiety pojawił się wieśniak z kosą w prawej ręce. Na pieczęci widniał napis: „Gemeide Vorstand Chybi” – Zarząd Gminy Chybie.

17 grudnia 1855 roku oddano do użytku linię Bogumin-Dziedzice, jeden z odcinków Cesarsko-Królewskiej Uprzywilejowanej Kolei Północnej Cesarza Ferdynanda. W 1880 roku położono drugi tor, a koło stacji rozpoczęto budowę cukrowni, która staraniem Komory Cieszyńskiej ostatecznie uruchomiona została w roku 1884 (na jej potrzeby wybudowano

bocznice, a także wąskotorową kolej buraczaną). Zakład ten w latach dwudziestych ubiegłego wieku wszedł w skład spółki akcyjnej Cukrownia Chybie.

II wojna światowa przyniosła na terenie Chybia poważne zniszczenia. Wiosną roku 1945 na okres dwóch miesięcy zatrzymał się tutaj front niemiecko-radziecki i w gruzach legło 80% zabudowy wsi.

Po wypędzeniu okupanta hitlerowskiego, władzę w Chybiu sprawował radziecki komendant wojenny, który zobowiązany był nie tylko organizować patrole, punkty kontrolne i warty w celu zapewnienia właściwych porządków, ale również tworzyć, głównie spośród sympatyków PKWN, oddziały Milicji Obywatelskiej przeznaczonej do utrzymania porządku publicznego oraz zwalczania dywersji ugrupowań poakowskich. Przy akceptacji radzieckiego komendanta wojennego zaczęto tworzyć załóżek lokalnej administracji. W związku z tym, że budynek urzędu gminy był zniszczony, tymczasowe władze zorganizowano w budynku Węglorza. Pierwszym wójtem w Chybiu został Karol Szweda.

Na podstawie rozporządzenia wojewody śląsko-dąbrowskiego z dnia 27 listopada 1945 roku został wprowadzony na terenie województwa system gmin zbiorowych. Uchwałą Powiatowej Rady Narodowej w Bielsku z dniem 11 grudnia 1945 roku powstała gmina zbiorowa (wiejska) Chybie oraz gromady: Frelichów, Mnich, Zaborze i Zarzecze.

W roku 1955 dokonano sztucznego spiętrzenia wody na Wiśle, tworząc wielki zbiornik retencyjny Jezioro Goczałkowickie. Pod wodą znalazła się wówczas znaczna część dwóch wsi – Zarzecza i Frelichowa.



Fontanna w Chybiu (fot. Archiwum LGD „Cieszyńska Kraina”)

DĘBOWIEC

Gmina Dębowiec leży w zachodniej części Pogórza Cieszyńskiego, w dolinie rzeki Knajki. Jest to gmina wiejska, w skład której wchodzi siedem sołectw: Dębowiec, Ogrodzona, Simoradz, Iskrzyczyn, Kostkowice, Gumna i Łączka. Łączna powierzchnia gminy wynosi 4248 ha.

Pierwsze wzmianki dotyczące terenów należących do gminy pochodzą z XIII w. Najwcześniej, bo już w 1223 roku, w dokumentach wzmiankowane są Iskrzyczyn i Ogrodzona. Sam Dębowiec pojawia się w dokumentach w roku 1305, kiedy został ogłoszony spis biskupa Henryka z Wierzbna. Pierwotnie wieś nazywała się Dambouczal, która wywodziła się od

nazwy topograficznej Dębowdział – Dębów Dział. W 1335 roku pojawiła się nazwa Baumgarten, podczas kolonizacji niemieckiej. Inne wersje tej nazwy to Bemgard, Bomgarte, Bamgarten. Nazwa Dębowiec pojawiła się w 1849 roku w „Spisie Gromadzkim Cieszyńskiego Cyrkułu”. Nazwa niemiecka powracała jeszcze w czasie okupacji.

Dębowiec już w XVIII w. używał własnego herbu, przedstawiającego 3 drzewa stojące obok siebie. Umieszczony jest na owalnej pieczęci z napisem „Gemeinde Baumgarten”. Na pieczęciach z końca XIX w. i 1918 roku brakuje herbu. Powracają do niego wydawcy folderu „Dębowiec” w 1979 roku. W 1999 roku utworzono nowy herb gminy. Żołędzie reprezentują 7 sołectw, a kłosa – rolnicze tradycje tego terenu.

Najwięcej informacji zachowało się o Simoradzu. W dokumentach z roku 1286 odnotowano, że w miejscowości tej znajduje się bogato wyposażona parafia, która płaci wysokie świętopietrze. We wsi tej istniał wówczas kościół, jeden z najstarszych na Śląsku Cieszyńskim. Był to kościół drewniany, który powstał po wycofaniu się wojsk mongolskich z tych terenów. W roku 1650 w miejsce kościoła drewnianego zbudowano kościół murowany, który przetrwał do dnia dzisiejszego. W kościele tym na szczególną uwagę zasługuje barokowy ołtarz z pierwszej połowy XVII wieku, a także barokowe organy z XVIII wieku. Z kolei w Ogrodzkiej najstarszym zabytkiem jest kościół św. Mateusza, który został wybudowany w roku 1855

w stylu neoklasycystycznym.

Zapisy historyczne o Kostkowicach, podobnie jak w przypadku Dębowca, pochodzą z roku 1305. Natomiast najmłodszymi sołectwami gminy Dębowiec są Łączka (wymieniona w dokumentach z roku 1466) oraz Gumna (zapisy w dokumentach z roku 1523).

II wojna światowa pozostawiła szczególny ślad w dziejach gminy Dębowiec. Na skutek pomyłki nawigatora (15/16.02.1949 r.) została tu zrzucona pierwsza w Polsce ekipa cichociemnych. Jej celem było dostarczenie broni i ważnych dokumentów z Londynu do jednostek Armii Krajowej. Dzięki pomocy okolicznych mieszkańców skoczkom udało się przedostać do Krakowa. Zdarzenie to upamiętnia obelisk, który został odsłonięty w centrum Dębowca na początku lat dziewięćdziesiątych XX wieku.

Las na szczycie Ogrodzeńskiej Kępy był świadkiem rozstrzeliwań działaczy Reakcyjnego Podziemia



Kościół świętego Jakuba Apostoła w Simoradzu
(fot. Archiwum LGD „Cieszyńska Kraina”)

przez funkcjonariuszy UB po wyzwoleniu Cieszyna w 1945 roku. Dokładna liczba ofiar nie jest znana. Staraniem oddziału Ogólnoświatowego Związku Byłych Żołnierzy AK na miejscu zbrodni ustawiono krzyż pamiątkowy.

Tragiczne chwile ostatnich dni okupacji upamiętnia także pomnik w Dębowcu–Dolcach wzniesiony w 1946 roku ku czci kilkunastu więźniów różnej narodowości zastrzelonych w styczniu 1945 roku podczas ewakuacji filii obozu oświęcimskiego w Goleszowie.

1 stycznia 1973 roku z połączenia dwóch sołectw – Dębowca i Ogrodzonej – powstała Gmina Dębowiec, składająca się z 7 sołectw. Były to: Dębowiec, Gumna, Iskrzyczyn, Kostkowice, Łączka, Ogrodzona i Simoradz. Granice tej gminy zostały zachowane po dzień dzisiejszy.

O dziejach terenów należących obecnie do gminy Dębowiec stanowią nie tylko zabytkowe budowle czy zapiski w starych dokumentach. Swoistym świadectwem historii są również pomniki przyrody – głównie dęby rosnące przeważnie w dolinie rzeki Knajki. Do najcenniejszych okazów należy 6 dębów szypułkowych liczących po 300 lat, których obwody sięgają od 345 do 470 cm. Innym wartym odnotowania pomnikiem przyrody jest iglicznia trójcierniowa, licząca 215 cm obwodu i 23 m wysokości.

Warto również dodać, iż okolice Simoradza i Dębowca od lat są znane z bogatych pokładów gazu ziemnego oraz solanek jodowo-bromowych.

GOLESZÓW

Gmina Goleszów położona jest na terenie urokliwego krajobrazowo Pogórza Cieszyńskiego, stanowiącego przedpole Beskidu Śląskiego. Jest to gmina wiejska, a w jej skład wchodzi następujące miejscowości: Goleszów – stolica gminy, Bażanowice, Cisownica, Dziegielów, Godziszów, Kisielów, Kozakowice Dolne, Kozakowice Górne, Leszna Górna i Puńców. Całkowita powierzchnia gminy to prawie 66 km².

Pierwsze pisane informacje o miejscowościach wchodzących w skład obecnej gminy Goleszów pochodzą z roku 1223. Dotyczą Goleszowa i Puńcowa, które są jednymi z najstarszych miejscowości na Śląsku Cieszyńskim. Kolejny etap osadnictwa na tym terenie przypada na koniec XIII i początek XIV wieku. Pisany śladem tego procesu jest spis dziesięć biskupów wrocławskich, dotyczących wsi Kozakowice, Dziegielów i Cisownica.

Goleszów – stolica gminy – przez długi czas był jedną z największych wsi książęcych w Księstwie Cieszyńskim. W 1293 roku zbudowano tu pierwszy kościół z kamienia o drewnianej dzwonnicy. W roku 1653 Goleszów przeszedł na własność Habsburgów – podobnie jak inne miejscowości Księstwa Cieszyńskiego.

W 1888 roku, dzięki budowie linii Bielsko – Cieszyn oraz Goleszów – Ustroń, miejscowość stała się węzłem kolejowym. Uzyskanie połączenia kolejowego oraz występowanie margli i wapieni, umożliwiło zbudowanie w 1889 roku na zboczach Jasieniowej kilku pieców wapiennych. W latach 1898–1989 istniała w Goleszowie cementownia. Budowa tego zakładu przemysłowego spowodowała znaczny napływ ludności do Goleszowa. W czasie okupacji, w latach 1942–45, w cementowni mieściła się filia KL Auschwitz–Birkenau.

Puńców, podobnie jak Goleszów, jest najstarszą wioską w Gminie Goleszów i jedną z najstarszych na Śląsku Cieszyńskim wsi książęcych, istniejącą już w roku 1223. Bardzo cennym obiektem zabytkowym jest w Puńcowie kościół rzymskokatolicki pod wezwaniem

św. Jerzego. Zbudowany w 1518 roku w stylu późnogotyckim jest zarazem najstarszym istniejącym kościołem murowanym na wsi w powiecie cieszyńskim.



Cementownia Golezów – około roku 1932 (fotografia z archiwum Jana Cichego)

Kolejne pisane wzmianki dotyczą Cisownicy, Dzięgielowa i Kozakowic, a datowane są na rok 1305.

Cisownica – wioska położona w obrębie najwyższej części Pogórza Cieszyńskiego, u stóp Małej Czantorii – swoją nazwę przyjęła od licznie rosnących tu cisów. W XVIII wieku została włączona do majoratu habsburskiego. Przez cały czas Cisownica była wsią książęcą z dziedzicznym wójtem. Przez miejscowość prowadził niegdyś trakt solny, tzw. „solak”. Z Cisownicą nieodłącznie kojarzy się postać Jury Gajdzicy. Chłopa–bibliofila, twórcy najstarszego chłopskiego ekslibrisu. Był to jedyny tego rodzaju znak własnościowy na terenie Polski.

Dzięgielów – położony w dolinie Puńcówki i na wzgórzach jej doliny – był wsią szlachecką, której historia nierozdzielnie wiązała się z zamkiem. Zamek w Dzięgielowie powstał w XV wieku. Jest to budowla murowana z kamienia i cegły. Całość zamku stanowiły cztery części – cztery skrzydła (zachowały się trzy). Na przestrzeni dziejów dzięgielowski zamek wielokrotnie zmieniał właścicieli, którymi byli: ród Czelów z Czechowic (XV–XVIII wiek), Jan Goczałkowski, Józef baron Beess, Komora Cieszyńska, Skarb Państwa, Gmina Golezów i – obecnie – architekt mgr inż. Edward Mazurek, dzięki któremu poczyniono w zamku niezbędne prace renowacyjno–konserwatorskie.

Istnienie Kozakowic – tak jak Cisownicy i Dzięgielowa – udokumentowane jest już w 1305 roku. Od XVII wieku zaczęto wyróżniać Kozakowice Górne i Kozakowice Dolne. Kozakowice to rodzinna wieś Andrzeja Cinciały (1825–1898) – działacza narodowego, autora m.in.: „Słownika Dialektycznego”, „Zbioru przysłów śląskich”, „Pieśni ludu śląskiego z okolic Cieszyna”, a także „Pamiętnika”.

Początek XV wieku to powstanie Lesznej Górnej – położonej w południowej części Gminy Goleszów, w górnej, wąskiej dolinie potoku Lesznianka. Była to wieś o charakterze pasterskim. Występujące na terenie Lesznej wapienie cieszyńskie są od wielu lat eksploatowane w miejscowym kamieniołomie. We wsi jest też zabytkowy kościół rzymsko-katolicki pod wezwaniem świętego Marcina. Kościół został zbudowany z cegły w latach 1719–1731 w stylu późnobarokowym.

Pierwsza pisana informacja o położonym w północnej części Gminy Goleszów Kisielowie datowana jest na rok 1415, kiedy to w dokumentach pojawia się informacja o Jaśku z Kisielowa. Natomiast zapis z roku 1447 mówi o nadaniu prawa zwierzchnictwa nad Kisielowem wspomnianemu Jaśkowi przez księcia Przemka. Ciekawostką jest, że na terenie tej miejscowości spotkać można skały wulkaniczne – cieszyńskie oraz pozostałości po pobycie łądolodu skandynawskiego w postaci tzw. głazów narzutowych.

Z Kisielowem bezpośrednio sąsiaduje Godziszów, o którym pierwsza wzmianka pochodzi z roku 1445. W XVI wieku był jedną z bogatszych wsi Księstwa Cieszyńskiego. Godziszów kojarzony jest przede wszystkim z górą Chełm, na której w roku 1934 utworzono Szkołę Szybowcową. Duże zasługi w jej powstaniu i funkcjonowaniu miał Franciszek Kępka senior, który tu mieszkał. Tu też urodził się i uczył latania na szybowcach Franciszek Kępka junior – mistrz Polski i Europy w szybownictwie, czterokrotny drugi wicemistrz świata, wielokrotny rekordzista świata i Polski w długości lotów oraz zdobywca diamentowej odznaki szybowcowej. W okresie międzywojennym szkoła szybowcowa na Chełmie wyszkoliła około 1,5 tysiąca pilotów. Niestety, w maju 1950 r. rozpoczęto jej likwidację, ponieważ lotnicze władze centralne podjęły decyzję o przeniesieniu szkolenia szybowcowego z gór na niziny.

Najmłodszą miejscowością wchodzącą w skład Gminy Goleszów są Bażanowice. Pierwsza wzmianka o tej wsi pochodzi z roku 1523. Była to wieś szlachecka. Bażanowice szczycą się tzw. zamkiem. Jest to budynek murowany, czworoboczny i piętrowy, wzniesiony prawdopodobnie na przełomie XVIII i XIX wieku, a gruntownie przerobiony w 1894 roku. Warto podkreślić, że w 1824 roku w Bażanowicach urodził się Paweł Stalmach – zasłużony dla Śląska Cieszyńskiego działacz i obrońca polskich praw w okresie naporu germanizacyjnego, twórca Macierzy Szkolnej, która położyła duże zasługi w obronie polskości i krzewieniu świadomości narodowej.

HAŻLACH

W skład gminy Hażlach wchodzi 6 sołectw, a mianowicie: Brzezówka, Hażlach, Kończyce Wielkie, Pogwizdów, Rudnik i Zamarski. Jej powierzchnia wynosi nieco ponad 1233 ha.

Najwcześniej, bo w roku 1223, w dokumentach kościelnych pojawia się nazwa wsi Zamarski. Wieś ta należy do najstarszych miejscowości dawnego Księstwa Cieszyńskiego. We wsi istniał folwark, a miejscowość często zmieniała właścicieli. Była w rękach szlacheckich i magnackich. W 1625 roku, w czasie wojen religijnych, miała tutaj miejsce bitwa wojsk cesarskich ze Szwedami.

Nazwę Hażlach, podobnie jak pobliskich Kończyce Wielkie, można odnaleźć w dokumentach datowanych na rok 1305 (księga fundacyjna biskupstwa wrocławskiego). Hażlach stanowił kolonię, założoną wspólnie z Kończykami Wielkimi i Małymi oraz innymi wioskami położonymi wzdłuż rzeki Piotrówki. Rok 1447 to pierwsza pisemna wzmianka o Pogwiz-

downie, rok 1523 o Brzeźowce, zaś na rok 1566 datowane są pierwsze pisemne informacje o Rudniku.

W 1335 roku wieś Kończycze Wielkie wymieniono w spisie nuncjusza papieskiego Gerharda. W tym okresie stanowiła ona własność książąt cieszyńskich, a w 1422 roku jej właścicielami byli członkowie śląskiego rodu Korniców, potem m.in. ród Karwińskich, Bludowskich i Wilczków. W 1796 roku wieś odziedziczyli Harassowscy, a w 1825 roku właścicielką została Henrietta hr. Larisch von Mönnich.

A oto, co można przeczytać o pochodzeniu nazwy gminy Hażlach na jej oficjalnej stronie internetowej:

Różne są domniemane wersje pochodzenia nazwy gminy Hażlach, często na wskroś lapidarnie tłumaczone. Jedną z nich była następująca: Hażlach – z niemieckiego „Hasenloch”, co znaczy: „zajęcza jama (dziura)”. Tłumaczenie takie wzięło się najprawdopodobniej z często urządzanych polowań na zajęce, w których uczestniczyli książęta, a później hrabiowie. Według ustaleń językoznawców nazwa Hażlach jest pochodzenia bawarsko-austriackiego. Dzisiaj na mapie Niemiec znaleźć można kilka nazw Haslach. W poprzednich wiekach prosty lud był stosunkowo długo niepiśmienny. Szlachta, duchowieństwo i urzędy książąt używały języka łacińskiego, niemieckiego i czesko-morawskiego. Dopiero niedługo przed Wiosną Ludów mieszkańcy Śląska Cieszyńskiego zdobyli prawo posługiwania się w urzędach własnym językiem, więc i w Hażlachu posługiwano się pieczętką dwujęzyczną z napisem Gmina Haslach jeszcze na początku minionego stulecia (1904 r.). W mowie potocznej do tej pory lud posługuje się prawie wyłącznie gwarą języka polskiego na całym obszarze Ślą-



Zespół pałacowy w Kończycach Małych (fot. Archiwum LGD „Cieszyńska Kraina”)

ska Cieszyńskiego, a więc i Hażłacha. Teren Gminy Hażlach długo zachowywał charakter osady puszcząńskiej. Do chwili obecnej gmina posiada bogate zalesienie w kilku zwartych kompleksach o swoistych nazwach, jak Parchowiec oraz Czarne Doły. Zajmują one przede wszystkim tereny trudne do zmiany na pola uprawne.

SKOCZÓW

Gmina Skoczów, wkomponowana w krajobraz wzniesień podnóży Beskidu Śląskiego, położona jest w dolinie Wzgórza Kaplicówka oraz Górki Wiślickiej, na wysokości od 260 do 389 m n.p.m. Gminę tę tworzy miasto Skoczów wraz z dziesięcioma sołectwami: Bładnice, Harbutowice, Kiczycze, Kowale, Międzywieć, Ochaby, Pierściec, Pogórze, Wilamowice i Wiślica. Łączny obszar całej gminy to 63 km².

Najstarsza pisana wzmianka o Skoczowie datowana jest na rok 1232. Jan Długosz określił Skoczów w *Dziejach Polski* jako pierwsze miasto nad Wisłą, począwszy od jej źródeł. Wspomniano też o nim w dokumencie lennym księcia cieszyńskiego z 1327 roku.

Warto podkreślić, iż na terenie miejscowości Międzywieć zachowały się ślady prehistorycznego grodziska plemienia Gołęszyców z VII–IX wieku. Legenda głosi, że około X wieku Gołęszycowie „przeskoczyli” na tereny położone bliżej Wisły, gdzie założyli osadę Skoczów. Legendarną datą założenia Skoczowa jest zatem rok 917. W rzeczywistości jednak początki Skoczowa sięgają późniejszego okresu i są najprawdopodobniej związane z działalnością kolonizacyjną pierwszego księcia cieszyńskiego Mieszka.

Jedną z informacji o mieście pochodzi z 1327 roku, gdy książę cieszyński Kazimierz I uznał się za lennika króla czeskiego. W tym też czasie powstała drewniana warownia obronna, nazwana później „skoczowskim zamkiem”. Skoczów w początkach swoich dziejów był przede wszystkim osadą rolno–rzemieślniczo–handlową. Dopiero napływ ludności z Moraw i Węgier spowodował wyspecjalizowanie się grodu głównie w rzemiośle.

W 1470 roku Skoczów zniszczył pożar, który strawił nadane miasteczku przywileje oraz inne dokumenty. W tym samym roku książę cieszyński Kazimierz II odnowił i rozszerzył przywileje miejskie Skoczowa, wzorując je na tych, jakie posiadał Cieszyn. W mieście istniały już szkoła i szpital z kaplicą poświęconą w dokumencie z 1482 roku. Kolejny pożar zniszczył miasto w 1531 roku. Po tym tragicznym wydarzeniu, pracujący w mieście rzemieślnicy, wzorem innych miast, powołali do życia cechy. Pierwszymi, którzy uzyskali potwierdzenie statutu, byli szewcy w 1547 roku. Jednak największą sławę dla miasta przynieśli garncarze, czyniąc ze Skoczowa centrum oryginalnej ceramiki, z której miasto było znane do początku XX wieku. W 1550 roku miasto uzyskało prawo do warzenia piwa – tym samym wzbogaciło się o browar mieszczański.

XVII wiek nie był pomyślnym czasem dla Skoczowa. Liczne klęski żywiołowe, rozboje wojsk oraz luźnych oddziałów grasujących po okolicy podczas wojny trzydziestoletniej, a także epidemie – wszystko to złożyło się na dramatyczną sytuację tamtego okresu. Należy podkreślić, że w czasie jednej z epidemii zmarło około 300 mieszkańców Skoczowa i jego najbliższych okolic. Po tych wszystkich tragicznych wydarzeniach miasto odradzało się powoli. W roku 1676 cesarz Leopold I potwierdził mieszkańcom Skoczowa wszelkie dotychczasowe prawa i przywileje.



Panorama ze wzgórza Kaplicówka w Skoczowie (fot. Archiwum LGD „Cieszyńska Kraina”)

XVIII wiek – i kolejne tragiczne wydarzenia w dziejach miasta. W ciągu kilkudziesięciu lat zostało zniszczone przez dwa duże pożary. Drugi z tych pożarów, który wybuchł w roku 1756, objął całe miasto i zniszczył ponad 100 domów. Po tym ostatnim pożarze przystąpiono, przy pomocy Komory Cieszyńskiej, do gruntownej odbudowy miasta. Skoczów został odbudowany i zmienił oblicze z drewnianego na murowane. Odbudowa objęła m.in. kościół parafialny pod wezwaniem świętych Piotra i Pawła, a także budynki śródmieścia. Dalsza rozbudowa miasta nastąpiła na przełomie XVIII i XIX wieku. Powstał wówczas m.in. ratusz (1797 r.) oraz rynkowa figura Jonasza (Trytona), które podziwiać możemy po dzień dzisiejszy.

Okres okupacji hitlerowskiej zaznaczył się licznymi ofiarami. 24 kwietnia 1940 roku Niemcy aresztowali i wywieźli do obozów prawie całą polską inteligencję ze Skoczowa i okolic. Zimą i wiosną 1945 roku, w rezultacie wielotygodniowych walk toczonych w okolicy, miasto poważnie ucierpiało. Zniszczeniu uległo ok. 65% budynków mieszkalnych, część zakładów przemysłowych, wszystkie mosty, sieć wodociągowa, a także węzeł kolejowy.

Pisząc o Skoczowie, należy wspomnieć o Gustawie Morcinku – wybitnym śląskim prozaiku, kojarzonym przede wszystkim z lekturą szkolną pt. „Lysek z pokładu Idy”. Warto zaznaczyć, że w Skoczowie znajduje się muzeum biograficzne poświęcone temu wybitnemu pisarzowi i publicyście.

Skoczów to także wielkie tradycje rzemieślnicze, o których na oficjalnej stronie internetowej czytamy:

Początki tutejszego przemysłu sięgają XIX w. Wtedy powstał pierwszy zakład garbarski, który dał początek obecnym Zakładom Garbarskim „Skotan” S.A. W 1860 r. uruchomiono fabrykę wyrobów wełnianych, która w późniejszym czasie przyjęła nazwę „Pierwszej Śląskiej Fabryki Koców Dereł i Guń w Skoczowie”, późniejszy „Pledan”. Na terenie gminy działa również wiele zakładów usługowo-handlowych. W okresie transformacji gospodarczej uwydatniła się działalność sektora prywatnego. Przykładem nowych przedsiębiorstw przemysłowych Skoczowa są: Odlewnia Żeliwa „Teksid Iron Poland”, Fabryka Czekolady „Inda”, Zakłady Stolarskie „Swedwood Poland” SA, Przedsiębiorstwo Spedycyjno-Transportowe „Unitrans”. Znaczącym podmiotem są Zakłady Kuźnicze Sp. z o.o. Zakład kontynuuje tradycje Kuźni Ustroń, która działa nieprzerwanie od 1772 roku. Przedmiotem działalności Zakładów Kuźniczych jest produkcja wysokiej jakości odkuwek matrycowych,

przeznaczonych przede wszystkim dla motoryzacji, a także górnictwa, kolejnictwa i przemysłu maszynowego. Znaczącym zakładem jest też wspomniana już odlewnia żeliwa „Teksid Iron Poland”, która produkuje odlewy z żeliwa szarego i sferoidalnego, stalowe elementy zawieszki, urządzeń hamulcowych, zespołów napędowych oraz również części do zastosowania w górnictwie i kolejnictwie. Zakład korzysta z włoskich doświadczeń w zakresie usług dla wyspecjalizowanych firm samochodowych. Zakłady Garbarskie „Skotan” SA są jedną z najstarszych polskich garbarni o 140-letniej tradycji. Obecnie zakład specjalizuje się w produkcji skór na luksusowe obuwie, obicia meblowe, odzież oraz galanterię. Opisując skoczowskie przedsiębiorstwa nie sposób pominąć Fabryki Kapeluszy „Polkap”. Firma oferuje najwyższej jakości kapelusze oraz bogate kolorystycznie półfabrykaty do produkcji gotowych nakryć – stożki i kapliny włosowe oraz wełniane. Wyroby „Polkapu” cieszą się uznaniem zarówno w kraju, jak i w wielu krajach na całym świecie.

Szczególnym miejscem, które nieodłącznie kojarzy się ze Skoczowem, jest górujące nad miastem wzgórze Kaplicówka (389 m n.p.m.) z zabytkową kaplicą poświęconą Janowi Sarkandrowi, który urodził się w 1576 roku w Skoczowie. W roku 1985 przed kaplicą stanął Krzyż Papieski, który został przeniesiony z katowickiego lotniska Muchowiec. Natomiast 22 maja 1995 roku na Kaplicówce papież Jan Paweł II odprawił mszę dziękczynną po kanonizacji św. Jana Sarkandra.

Wzgórze Kaplicówka stanowi częsty cel spacerów – zarówno mieszkańców samego Skoczowa, jak i przyjeżdżających do tego miasta turystów. Ze wzgórza można podziwiać wspaniałą panoramę miasta oraz otaczających go Beskidów.

STRUMIEŃ

Gmina Strumień stanowi najbardziej wysuniętą na północ część powiatu cieszyńskiego. Administracyjnie należy do niej sześć miejscowości, a mianowicie: Bąków, Pruchna, Drogomyśl, Strumień, Zabłocie i Zbytków. Z uwagi na liczne stawy i akwenty, obszar ten jest popularnie zwany „Żabim Krajem”. Stolica gminy, Strumień, to jedno z najmniejszych miast województwa śląskiego z najstarszym ratuszem na rynku.

Nazwa miasta Strumień wiąże się z położeniem nad rzeczką wpadającą do Wisły. Jako wieś książęca Strumień znany był od 1223 roku. Pierwsza pisemna wzmianka o Strumieniu pochodzi natomiast z roku 1293. Dzięki korzystnemu położeniu, miejscowość rozwijała się – to właśnie przez Strumień prowadziły szlaki handlowe od Cieszyna i Skoczowa do Bielska i Pszczyzny.

W roku 1482 właścicielem Strumienia był Mikołaj Brodecki – marszałek dworu księcia. W tym samym roku uzyskał on zgodę księcia na utworzenie miasta. Natomiast w roku 1498 w Strumieniu erygowano Parafię Katolicką pod wezwaniem świętej Barbary. Z kolei na rok 1503 datuje się potwierdzenie praw miejskich Strumienia, którego dokonał król Czech i Węgier Władysław II Jagiellończyk.

Wspomniany wcześniej Mikołaj Brodecki założył liczne stawy od Ochab aż do Strumienia. W 1495 roku otrzymał pozwolenie na budowę drewnianego kościoła. Powstała plebania, obok której stanęła szkoła, ochronka dla biednych i opuszczonych chorych zwana szpitalem. Brodecki zmarł w 1518 roku. W 1572 roku miasto strawił pożar. Na szczęście Strumień uda-

ło się odbudować. Książę ustanowił kolejne przywileje. Mieszczanie mogli ścinać drzewa z książęcych lasów i łowić ryby.



Ratusz w Strumieniu (fot. Archiwum LGD „Cieszyńska Kraina”)

Do pożaru w 1793 roku wszystkie domy i obiekty użyteczności publicznej były drewniane. Ze względu na podmokły teren zalewany dwa razy w roku przez powódzie, obiekty zbudowane w rynku posiadały tzw. podcienia, wyłożone drewnianymi bierwionami. Podobnie wyłożone były główne ulice, dzisiejsza 1 Maja, Pocztowa i ks. Londzina.

Po wspomnianym pożarze w 1793 roku, w którym spłonęły 73 domy, ratusz, areszt i browar, większość obiektów w Strumieniu odbudowano już jako murowane. Jednak kilkadziesiąt postanowiono ponownie zbudować w drewnie – do końca II wojny światowej pozostało ich jeszcze trzynaście.

Warto zaznaczyć, iż prawidłowy i szybki rozwój Strumienia był nieraz bardzo utrudniony. Powodem były nie tylko liczne powódzie, ale także pożary i kilka epidemii. Pewne ożywienie w życiu miasta i okolicy oraz nadzieję na szybszy rozwój przyniósł przełom XIX i XX wieku. W tym czasie zbudowano: szkołę powszechną, budynki klasztoru sióstr „De Notre Dame”, „Dom Ubogich” z fundacji strumienianki z pochodzenia Anny von Berndt, żelazny most na Wiśle, a w ślad za nim kolejkę wąskotorową relacji Strumień – Chybie, cegielnię i młyn parowy oraz elektryfikację miasta (1932–35). Kolejka wąskotorowa kursowała w latach 1911–1925 na trasie Strumień – Chybie. Została zlikwidowana, kiedy w latach 1924–1925 uruchomiono kolej normalnotorową relacji Pawłowice – Chybie. Jednak

nadzieje na szybszy rozwój Strumienia zaczęły się rzeczywiście spełniać w drugiej połowie XX w. po odbudowaniu zniszczeń, jakie Strumieniowi przyniosła II wojna światowa.

Jak czytamy na oficjalnej stronie internetowej gminy Strumień, Bąków to właściwie dwie wsie: Bąków i Rychuład. Dawniej samodzielną wsią był właśnie Rychuład. Pierwsza wzmianka o nim pochodzi z 1416 roku. Była to osada chłopów, którzy wycinali i karczowali coraz większe obszary leśne pod uprawy rolnicze. Rozwój Bąkowa rozpoczął się dopiero w XIX w., wyprzedzając Rychuład. W połowie XVI wieku Bąków został sprzedany Piotrowi Czelo. Natomiast kolejny właściciel z rodziny Czelo sprzedał zarówno Bąków, jak i Rychuład Wacławowi Cikanowi. Następnym właścicielem był Michał Radecki, rodzina Bludowskich i Kalischów.

Na początku XIX wieku Bąków i Rychuład zostały odkupione od rodziny Kalischów przez Alberta Kazimierza. Po jego śmierci ziemie weszły w kompleks dóbr Habsburgów, tworzących tzw. Komorę Cieszyńską. Rozwój Bąkowa związany był z pracą w folwarku i przy stawach rybnych. Miejscowość rozwinęła się w pełni w XIX wieku, w tym czasie posiadała samodzielność (wójt i urząd gminy).

Miejscowość Drogomyśl znana jest od 1467 roku. Nazwa tej miejscowości „droga myśl” pochodzi z czasów, gdy Baron Fryderki Bogumił Callisch wydzielił 32 numery gospodarstw po prawej stronie rzeki Wisły – stronie, której nigdy woda nie zalewała. W 1737 roku drogomyskie dobra nabywa baronowa Callisch. Buduje tu szkołę i kościół ewangelicko-augsburski. Pierwsze tory kolejowe w Drogomyślu (linia Warszawa – Wiedeń) powstały w 1855 roku, a w 1929 roku zbudowano drogę, która biegła przez wieś. W drugiej połowie XVIII wieku na terenie Drogomyśla schronienie znalazło wielu uchodźców z Chorwacji prześladowanych za wykroczenia religijne. Dzisiaj wśród drogomyslan jest wielu Pelarów, Wojnarów, Gabrysiów, Harwotów.

Kolejna miejscowość, wchodząca w skład gminy Strumień, to Pruchna. Nazwa Pruchna pochodzi prawdopodobnie od próchniejącego drzewa. Pierwsze wzmianki o Pruchnej pojawiły się na początku XIV wieku (1305 r.) w wykazie miejscowości Księstwa Cieszyńskiego. Przez lata istniały Pruchna Wielka i Pruchna Mała. Odpowiadał im dzisiejszy podział na Pruchną Dolną i Pruchną Górną. W czasach zaborów, w trakcie budowy linii kolejowej Warszawa – Wiedeń, Austriacy wybudowali w Pruchnej reprezentacyjny dworzec kolejowy, w którym były nie tylko poczekalnie i kasy biletowe, ale również biura i restauracje. Z tego okresu pochodzą mosty kolejowe.

O Zabłociu wzmiankowano już w 1227 roku jako posiadłości klasztoru benedyktynów w Tyńcu. Jest to jedna z najstarszych wsi na Śląsku Cieszyńskim. Nazwa wsi Zabłocie – za błotami – ma uwarunkowania geograficzne. Miejscowość leży bowiem na terenach podmokłych, z torfowiskami i mokradłami.

Jeżeli chodzi o Zbytków, to pierwsza pisana wzmianka na jego temat datowana jest na wiek XIII. Analizując dzieje Strumienia, można zauważyć między innymi, iż w połowie XVI wieku miasto to było na tyle majątne, że zakupiło osadę o nazwie Zbytków. Kolejny ślad historyczny pochodzi z roku 1768 – to Urbarz Zbytkowa, wykonany przez urzędników gminnych, a potwierdzony przez cesarżową Marię Teresę w 1771 roku.

ZEBRZYDOWICE

Gmina Zebrzydowice położona jest nad rzeką Piotrówką, w Bramie Morawskiej. Od 1 stycznia 1999 roku, na skutek reformy administracyjnej państwa, stała się częścią powiatu cieszyńskiego. Zebrzydowice leżą na ważnym szlaku komunikacyjnym, a na ich terenie usytuowany jest węzeł kolejowy łączący Polskę z południem Europy. Powierzchnia gminy wynosi 40 km².

Początki miejscowości, które tworzą obecną gminę Zebrzydowice, datowane są na XIV w. Pierwsze pisemne wzmianki pochodzą z 1305 roku. W okresie panowania czeskiego, a potem Habsburgów, miejscowości dzisiejszej gminy Zebrzydowice były częścią składową Księstwa Cieszyńskiego. W 1918 roku znalazły się w odrodzonej Rzeczypospolitej.

Jadąc od strony Cieszyna w kierunku Jastrzębia Zdroju, będą Państwo przejeżdżać przez Kaczyce. W Kaczycach warto zobaczyć drewniany kościół parafialny z 1620 roku, który został tam przeniesiony w latach siedemdziesiątych z Ruptawy koło Jastrzębia Zdroju. Znajdują się w nim barwne polichromie, a także kopia gotyckiej piety – oryginał przekazano bowiem do muzeum diecezjalnego w Katowicach.

Kończyce Małe – to kolejna miejscowość gminy Zebrzydowice. Znajduje się w nich renesansowy zamek z XVI wieku – największa atrakcja turystyczna gminy. Swoją obecną formę zawdzięcza rozbudowie w połowie XVI w. przez ówczesnego właściciela Jerzego Sedlnickie-



Kościół parafialny w Zebrzydowicach (fot. Archiwum LGD „Cieszyńska Kraina”)

go. W latach dziewięćdziesiątych XX wieku zamek ten, staraniem władz gminy, został gruntownie odrestaurowany. Obecnie mieści się w nim m.in. hotel z restauracją i karczmą rycerską. Można też zwiedzić ekspozycję przedstawiającą zabytki kultury materialnej – sprzęty domowe i gospodarskie, stroje regionalne, dewocjonalia, a także stare książki i czasopisma. Na przylegającym do zamku stawie zorganizowano przystań kajakową, a wokół stawu szlak

spacerowy z efektownym mostem łączącym przeciwległe jego brzegi. W bezpośrednim sąsiedztwie zamku znajduje się barokowy kościół z licznymi epitafiami oraz słynącym cudami obrazem Matki Boskiej Kończyckiej.

W Zebrzydowicach możemy zwiedzić zamek oraz kościół parafialny. Zamek został wzniesiony w XVI w. przez rodzinę Liszków, a przebudowany w połowie XVIII w. w stylu barokowym przez rodzinę baronów Mattencloit. W kościele znajdziemy tablice epitafijne właścicieli miejscowości oraz barokową ambonę. Na szczególną uwagę zasługuje płyta nagrobna Jana Liszki – jeden z najpiękniejszych na Śląsku Cieszyńskim przykładów renesansowej rzeźby nagrobnej.

W zamku w Zebrzydowicach, który jednocześnie jest siedzibą miejscowego ośrodka kultury, funkcjonuje też stylowa restauracja. Na przyzamkowym stawie Młyńszczok, utworzono w ostatnich latach ośrodek sportów wodnych – kąpielisko oraz przystań wodną i spacerowe molo. Można tam skorzystać z żaglówek, rowerów wodnych oraz łodzi wiosłowych. Samo kąpielisko ma formę pływającego basenu z wydzieloną bezpieczną częścią dla dzieci. W sezonie letnim, gdy funkcjonuje ośrodek, nad bezpieczeństwem czuwają ratownicy wodni.

Markłowice Górne łączą się ze znajdującymi się po czeskiej stronie Markłowicami Dolnymi. Po polskiej stronie znajduje się zabytkowa szkoła wzniesiona jako pamiątka jubileuszu 50-lecia panowania cesarza Franciszka Józefa. W czeskich Markłowicach Dolnych warto zaś zwiedzić zabytkowy, drewniany kościół z 1739 roku z unikatową polichromią.

Bibliografia:

Galusek Ł., Zaremba K., *Śląsk Cieszyński. Po obu stronach Olzy. Przewodnik turystyczny po Śląsku Cieszyńskim oraz gminach Godów i Jastrzębie Zdrój*, Wydanie II, Kraków 2009.
Mróz H., *Informator Turystyczny Gminy Goleszów*, Goleszów 2012.

Źródła internetowe:

http://www.brenna.org.pl/podzial_administracyjny-185.html (03.12.2012)
<http://www.brenna.org.pl/historia-13.html> (03.12.2012)
http://www.chybie.pl/asp/pl_start.asp?typ=14&sub=2&menu=4&strona=1 (03.12.2012)
http://www.chybie.pl/asp/pl_start.asp?typ=14&sub=2&menu=17&strona=1 (03.12.2012)
<http://www.debowiec.cieszyn.pl/20,o-gminie.html> (03.12.2012)
<http://www.debowiec.cieszyn.pl/20,o-gminie.html> (03.12.2012)
<http://debowiecsp.edupage.org/about/?subpage=4> (03.12.2012)
<http://www.goleszow.pl/historia> (02.12.2012)
<http://www.goleszow.pl/goleszow1> (02.12.2012)
<http://www.hazlach.pl/dane-statystyczne/historia.html> (03.12.2012)
<http://www.skoczow.pl/gmina-skoczow3> (03.12.2012)
http://www.region.beskidia.pl/skoczow_historia_miasta.html (26.11.2012)
<http://www.strumien.pl/o-gminie> (03.12.2012)
<http://www.strumien.pl/strumien2> (03.12.2012)
<http://www.strumien.pl/bakow-turysta> (03.12.2012)
<http://www.strumien.pl/drogomysl-turysta> (03.12.2012)
<http://www.strumien.pl/pruchna-turysta> (03.12.2012)
<http://www.strumien.pl/zablocie-turysta> (03.12.2012)
<http://www.strumien.pl/zbytkow-turysta> (03.12.2012)
http://www.zebrzydowice.pl/articles.php?cat_id=2 (03.12.2012)

MOJE TRZYDZIESTOLECIE Z SAMORZĄDEM – CZĘŚĆ PIERWSZA

KAZIMIERZ WISEŁKA

30 lat to szmat czasu. Dla pokoleń jednak niewiele to znaczy. Biorąc pod uwagę, że to trzydziestolecie toczyło się równocześnie z pracą zawodową i życiem prywatnym, to zapewne już sporo. Zasięgiem swoim objęło dwa wieki oraz dwa systemy. Kilku naczelników i wójtów Gminy Goleszów. Kilkudziesięciu sołtysów i „armie” radnych oraz pracowników urzędu. Z pierwszej dekady sołtysowania, w obecnej przestrzeni życia publicznego odnajduję panią Sekretarz Urzędu, Bogusławę Podżorską oraz panią Kierownik Urzędu Stanu Cywilnego Marię Siekierkę.

Sięgając pamięcią w najgłębiej osadzone szare komórki, pamiętam kilkakrotną swoją obecność na zebraniu wiejskim w Godziszowie w okresie sołtysowania Władysława Byrcka. Na jednym z takich zebrań, a było to za rządów naczelnika Czesława Brody i przewodniczącego Gminnej Rady Narodowej Jana Wigezkiego, zabrałem głos w publicznej sprawie. Widocznie nie było to po myśli niektórych osób, ponieważ po zebraniu od jednego z „prominentnych”, miejscowych działaczy, dostało mi się po „krzyżu”. To były pierwsze kontakty z samorządem.

Dla przypomnienia niektórym, a innym do zachowania w pamięci, poniżej przedstawiam, jak kręciła się karuzela na głównym stanowisku w naszej gminie. Powołanie Czesława Brody na stanowisko naczelnika nastąpiło 29 stycznia 1976 r. Rządy swoje sprawował do połowy roku 1980. Po nim na to stanowisko został mianowany Adam Mrowiec, który w Goleszowie pracował do momentu wprowadzenia stanu wojennego. Zastąpił go komisarz wojskowy, a pełniącą obowiązki naczelnika została mianowana pani Janina Drozd, która przybyła tu z Wisły. 15 kwietnia 1982 r. naczelnikiem gminy zostaje mianowany Jan Sztwiertnia, który na XXXII sesji Rady Gminy 30 października 2001 r. – z racji wyboru na posła do Sejmu RP – składa rezygnację z zajmowanego stanowiska. Na XXXIII sesji Rady Gminy, 20 listopada 2001 r., na wakujące stanowisko jednogłośnie wybrany zostaje Zbigniew Waclawik. W wyniku wyborów w roku 2010 następuje kolejna zmiana warty na tym stanowisku. Wójttem zostaje Krzysztof Glajcar.

Nie wolno zapominać o tym, co w minionym trzydziestoleciu działo się w naszym kraju. 13 grudnia 1981 r. wprowadzony został stan wojenny. Życie w kraju zostaje sparaliżowane. Brakuje towarów. Na półkach sklepowych nie widać nic. Po raz trzeci w ówczesnym systemie, poprzez wprowadzenie systemu kartkowego, władza wprowadza 28 lutego 1981 r. reglamentację towarów. Na domiar złego od roku 1979 w Instytucie Kształtowania Środowiska w Katowicach toczą się prace koncepcyjne w zakresie opracowania kompleksowego programu gospodarki odpadami i osadami na terenie województwa bielsko-bialskiego. W opracowaniu znalazły się wnioski odnośnie wskazań lokalizacyjnych nowych wysypisk. Jednym z nich jest góra Chełm w Godziszowie. W tym samym roku Minister Leśnictwa i Przemysłu Drzewnego zezwolił na zmianę użytkowania gruntów na górze Chełm, a Wojewoda Bielski zlecił budowę tej inwestycji.

Zbliża się rok 1982. Dobiega końca dziewięcioletnia kadencja sołtysowania w Godziszowie Władysława Byrcka (1973–1982). W całym społeczeństwie czuje się potrzebę prze-

prowadzenia zmian. Pewnie jeszcze nie wiadomo, jak to będzie wszystko wyglądało, ale potrzeba była. Na początku roku zostaje zwołane zebranie sprawozdawczo-wyborcze, na które przychodzi całkiem spora liczba mieszkańców. Sołtysem na lata 1982–1986 zostaje wybrany Adam Niemiec, syn Władysława, miejscowego gospodarza. Ówczesna regulacja prawna nakazywała również wybór zastępcy sołtysa. W takich okolicznościach rozpoczęła się moja współpraca z samorządem.

Dlaczego rozpocząłem ten maraton? Pewnie do końca tego nie wiem. Być może czułem potrzebę włączenia się w falę przemian zachodzących w kraju. Zrobienia coś dobrego dla naszej społeczności, a z czasem okazało się, że i dla całej gminy. Czy mi się udało? To trudna ocena. Tym trudniejsza dla samego siebie. Pozostawiam to dla każdego z Was. Może coś więcej na ten temat w kolejnych wydaniach „Kalendarza Golepszowskiego”.

Jak już wcześniej wspominałem, zostałem wybrany zastępcą sołtysa, a 1 lutego 1983 r. – decyzją nr II-9150/83 Naczelnika Gminy Jana Sztwiertni – zostałem powołany na terenowego Opiekuna Społecznego wsi Godziszów. Powoływanie zastępcy sołtysa okazało się wówczas bardzo trafnym rozwiązaniem. Z powodu choroby ojca, na Adama spadły obowiązki prowadzenia gospodarstwa rolnego. To komplikowało sprawowanie nowej funkcji. Jednak wiele rozmawialiśmy, uzgadniając stanowiska w każdej sprawie. Adam zaczął też mieć problemy zdrowotne. 16 stycznia 1983 r. wyjechał do kliniki w Zabrze. Przejściowo wszystko spadło na mnie. W roku następnym jednak to ja pozostawiłem go w takiej sytuacji.

Braki towarów oraz ich reglamentacja poprzez wprowadzony system kartkowy, nakładał na sołtysa obowiązek rozdzielania ich zgodnie z uzyskanym rozdzielnikiem z Urzędu Gminy. System rozdzielnictwa towarów został rozbudowany do wszystkiego. Od 30 kwietnia obowiązywał na mięso, tłuszcze i przetwory mięsne, masło, ryż i kaszę, a od czerwca na mleko dla niemowląt. Kolejne reglamentacje wprowadzone zostały od początku września i objęto nimi mydło oraz proszek do prania, papierosy, alkohol i wino, wyroby czekoladopodobne oraz cukierki, a później była reglamentacja i na pieluszki dla niemowląt.

Mąka 1000 g XI 83	Cukierki 250 g XI 83	Cebula 500 g XI 83	Cebula 1500 g XI 83	Papierosy 6 pacz. XI 83
F. zbożowa 1000 g XI 83	W. Z. Nr P-3 nazwa i ilość adres: gmina-miasto-dzieńnica			Papierosy 6 pacz. XI 83
Proszek 200 g XI 83				Alkohol 1 but. XI 83
Proszek 100 g XI 83	8-PH 10 XI 83	Tłuszcz 375 g XI 83	Czekolada 100 g XI 83	8-PH 20 XI 83

Kartka wielosortymentowa

Mięso 600 g 1988-04	Mięso 500 g 1988-04	Mięso 300 g 1988-04	Mięso 200 g 1988-04
M-I-D			Mięso 200 g 1988-04
Rezerwa 3 1988-04	Wyr. czuk. 200 g 1988-04	Wól. Ciel. z kocią 300 g 1988-04	Wól. Ciel. z kocią 400 g 1988-04

Kartka żywnościowa dla dziecka i dorosłego

niu linii telefonicznej na terenie gminy. Ustalony został również termin najbliższych zebrań wiejskich.

Na 2 lutego zostało zwołane w Urzędzie Gminy zebranie nowo powołanych opiekunów społecznych. Zostały określone zadania oraz rola, jaką w swoim środowisku mają oni do spełnienia. 10 lutego w świetlicy gminnej w Godziszowie zwołane zostało zebranie wiejskie. Oprócz bieżących spraw sołeckich, przekazano sprawozdania i informacje działających w przestrzeni sołectwa: Kółka Rolniczego, Banku Spółdzielczego i Gminnej Spółdzielni „Samopomoc Chłopska”. 18 marca 1983 r. w sali Rolniczego Kombinatoru Spółdzielczego w Goleszowie została zwołana kolejna sesja Gminnej Rady Narodowej. Można ją nazwać bardzo burzliwą. Zdominowana została sprawą budowy rejonowego wysypiska śmieci na górze Chełm w Godziszowie. Naczelnik gminy Jan Sztwiertnia zostaje zobowiązany do wystąpienia do Urzędu Wojewódzkiego w Bielsku-Białej w celu przerwania prac związanych z budową tego wysypiska, z powodu występujących zjawisk obsuwania się terenu w tym rejonie.

Na dzień 9 kwietnia 1983 r. została zarządzona akcja posesja. W skład zespołu kontrolnego wchodził dzielnicowy z posterunku w Goleszowie, strażak miejscowej jednostki OSP i z urzędu sołtys lub inny członek Rady Sołeckiej. Dzisiaj już prawie nikt o tym nie pamięta. Zadaniem tego zespołu było sprawdzanie stanu przeciwpożarowego wokół budynków i na ich strychach oraz stanu bezpieczników elektrycznych. Nadrzędnym celem tych działań była poprawa stanu bezpieczeństwa przeciwpożarowego w naszym środowisku. Od tego czasu zapewne wiedza na ten temat, każdego z nas, uległa znacznej poprawie i nikomu nie przyszłoby nawet na myśl, by coś takiego organizować. Obecnie problematyka ta mieści się w kanonach prawa własności i jego ochrony.

1 czerwca w Klubie Rolnika w Godziszowie, w centrum wsi, kierownik Ludmiła Sikora zorganizowała Dzień Dziecka. Klub Rolnika prowadzony był pod patronatem Gminnej Spółdzielni „Samopomoc Chłopska” w Goleszowie, w wydzierżawionym budynku od pani Lisztwanowej.

Wystąpienie Naczelnika Gminy po marcowej sesji do Urzędu Wojewódzkiego w sprawie wysypiska spowodowało „małe tąpnięcie”, bowiem 16 maja na teren budowy przybyli jego przedstawiciele. We wrześniu przeprowadzony został remont drogi z centrum wsi na Ćwierci. Gmina dostarczyła tłuczeń wynajętym transportem, a mieszkańcy w czynie społecznym, najczęściej własnymi rękoma, przy pomocy dostępnego sprzętu, rozgarniali go w pasie jezdni. Dzisiaj nie do pomyślenia, ale wówczas był to warunek posiadania lepszej drogi. W terenie mało zabudowanym, mieszkańcy pracowali codziennie. Nieraz, od rana do godzin popołudniowych, do momentu aż samochody przestały dowozić tłuczeń. Ale wszyscy cieszyliśmy się, że samochody go wożą. Sołtys, jak zawsze, musiał być razem z mieszkańcami. Pamiętam też, że pewnego dnia, będąc w pracy, nie mogłem przyjść do rozgarniania kamienia. Na drugi dzień dowiedziałem się od obecnych tam osób, że jedna z nich, w charakterystyczny dla siebie sposób, zresztą do dnia dzisiejszego... pytała: „Dlaczegoż to sołtysa tu dzisiaj nie ma?”. Chciałem też mieć drogę lepszą, więc nie było wyjścia.

W latach osiemdziesiątych powstało nowe osiedle na terenie „Bryndzwerka”, a wraz z nim pojawił się problem odprowadzenia wód z trzykomorowych zbiorników do odległego potoku. Za zgodą ówczesnego naczelnika, przy zachowaniu wymagań co do wspomnianych



Dzień Dziecka – czerwiec 2004 r.



Dożynki gminne – sierpień 2007 r.

zbiorników, została wyrażona zgoda na udzielenie pomocy w formie przyznania rur betonowych, pod warunkiem powołania społecznego komitetu, który zajmie się wykonaniem

całej, dzisiaj powiedzielibyśmy, magistrali kanalizacyjnej. 1 października 1983 r. komitet taki został zarejestrowany w Urzędzie Gminy.

Na dzień 26 października 1983 r. w sali Rolniczego Kombinatoru Spółdzielczego w Goleiszowie zorganizowane zostało spotkanie z posłem na sejm, prezesem tego kombinatu – Karolem Węglarzem. Z ciekawostek, jakie nurtowały wówczas zebranych, to pytania dotyczące otwarcia małego ruchu granicznego w Cieszynie oraz wniesionej przez niego interpelacji w tej sprawie. Poruszone zostały też sprawy dotyczące interwencji posła w celu zatrzymania budowy wysypiska w Godziszowie oraz obowiązku podawania do publicznej wiadomości tzw. „stref górskich”, które miały zacząć obowiązywać od kolejnego roku budżetowego. Za sprawą posła Węglarza 4 listopada 1983 r. doszło do spotkania przedstawicieli Gminy Goleiszów z wojewodą bielsko-bialskim Stanisławem Łuczkiwiczem i posłem.

Epizod z budową rejonowego wysypiska nieczystości w Godziszowie można zaliczyć do najbardziej ciemnych plam we współczesnej historii naszej miejscowości. Gminę na spotkaniu reprezentowali naczelnik Jan Sztwiertnia, przewodniczący Gminnej Rady Narodowej Edward Gruszczyk, moja osoba oraz I Sekretarz Komitetu Gminnego Andrzej Gaszek. W swoich notatkach wówczas zapisałem: „Do Bielska udałem się swoim samochodem. Odniosłem wrażenie, że pozostałe osoby nie były raczej zainteresowane moją obecnością u wojewody”. W tym czasie sprawa śmietnika była prawie przesądzona. Nikogo o nic nie pytano, a raczej wszystko było „urobione”. Wojewoda stał na stanowisku, pewnie na podstawie odgórnych nacisków, że wysypisko powstanie bez odwołania. Stąd też obecni mieli ograniczone możliwości rozmowy. A oto niektóre z ustaleń tego spotkania. Najdalej idące propozycje w zakresie „rekompensat dla mieszkańców”, jak wówczas to nazywano, wniósł poseł Węglarzy. Zrelacjonował on wojewodzie stanowisko mieszkańców Godziszowa, które znane mu było z racji zarządzania kombinatem oraz różnego rodzaju spotkań, zapewne też z mieszkańcami Godziszowa, którzy byli jego pracownikami w kombinacie. Zaproponował, że skoro nie można się wycofać z budowy tego wysypiska, to mieszkańcy Godziszowa i gminy powinni otrzymać z funduszy wojewody doprowadzenie wody i gazu. Miałem jednak wrażenie, że chodzi o budowę magistrali wodnej i gazowej w tzw. strefie ochronnej, do której zaliczono teren oddalony o 500 metrów od przyszłego wysypiska. Miało to nie dotyczyć terenów, które znajdowały się w strefie oddziaływania poprzedniego, „starego” wysypiska na górze Chełm. Naczelnik gminy wystąpił też o zwiększenie dotacji na drogi oraz dotacji na doprowadzenie magistrali gazowej z ujęcia w Nierodzimiu do Kozakowic lub okolic „Celmy” w Goleiszowie. Występował też o udzielenie pomocy w zakupie ciężarówki Star i „białoruski”. Przewodniczący GRN proponował, aby zaliczyć 4 dodatkowe punkty świetlne jako rekompensata dla mieszkańców Godziszowa, z uwagi na przyszłą uciążliwość śmietnika. Ze swojej strony występowałem o przeprowadzenie badań sanitarnych istniejących ujęć wodnych w okolicy tzw. czasowego wysypiska, celem zorientowania się, jaki ono ma wpływ na stan sanitarny wody w tym rejonie oraz o doprowadzenie magistrali gazowej dla wszystkich mieszkańców Godziszowa. Może protestowałem przeciwko propozycji dotyczącej budowy 4 lamp. W swojej notatce z tego spotkania napisałem: „Nie można podawać, że rekompensatą za śmietnik będą 4 dodatkowe punkty świetlne, bowiem o nich w Godziszowie mówi się od 10 lat”. Po około godzinnej dyskusji wojewoda w dalszym ciągu stał przy swoim, obiecując jednak zapewnienie środków na budowę magistrali wodnej i gazowej dla wszystkich mieszkańców

Godziszowa. Z ciekawostek, które wypowiedział wówczas wojewoda, to stwierdzenie odnoszące się do słów naczelnika w sprawie dofinansowania stara i „białoruski”. „Naczelnik nie wykorzystuje pieniędzy z przyznanego budżetu, co może wpłynąć na obniżenie dotacji budżetowych na rok przyszły”.

W końcu doczekaliśmy się budowy oświetlenia. 15 listopada 1983 r. na wieś przywieziono 11 lamp, które należało zamontować na nowe oraz istniejące słupy energetyczne. 17 listopada w obecności sołtysa Adama Niemca dokonano ustaleń odnośnie usytuowania i rozmieszczenia nowych punktów świetlnych. W pierwszej kolejności postanowiono, by lampy zamontowano w najciemniejszych punktach, do których zaliczono obie „Skotnie”. 30 listopada przystąpiono do ich montażu. Mieszkańcy czekali na nie 10 lat. Również 15 listopada gmina rozpoczęła przywóz rur betonowych na budowę kanalizacji ściekowej z „Bryndzwerka”.

Pod datą 10 grudnia 1983 r. odnotowałem informacje: „Na 151 osób, które mogą zapłacić NFOZ, który wówczas nie był obowiązkowy, wpłaciło 59 osób tj. 39,07 % mieszkańców”.

28 stycznia 1984 r., w dużej klasie starej szkoły odbyło się zebranie sprawozdawcze OSP Godziszów. W zebraniu uczestniczyli: prezes Ernest Spratek, Stanisław Rymorz, który został przewodniczącym zebrania, Irma Podżorska, przewodnicząca KGW, Jan Sikora – prezes Kółka Rolniczego w Godziszowie, a ponadto Bogdan Cieślar, Alojzy Franek, Jan Liboska, Robert Frysz, Paweł Liboska, Andrzej Cieślar, Pinkas, Jaworski, Piotr Szwarz, Karas, Paweł Podżorski i ja. W czasie zebrania, prezes straży złożył rezygnację z pełnienia obowiązków. Spośród wstępnie dokonanych uzgodnień, Jerzy Bujok pomimo zapewnienia, że podejmie się obowiązków prezesa – na zebranie nie przyszedł, a Piotr Szwarz, któremu złożono taką propozycję, odmówił jej przyjęcia. Warunkowo na okres jednego roku zgodził się pozostać prezesem Bogdan Cieślar.

25 lutego 1984 r. zostało przeprowadzone zebranie wiejskie. Jak było wówczas w zwyczaj, usłyszeliśmy kolejno sprawozdanie Rady Sołeckiej z dotychczasowej działalności, sprawozdanie Kółka Rolniczego w Godziszowie i jego Komisji Skrutacyjnej oraz jego plan pracy na bieżący rok. Kolejno zebrani mogli się zapoznać ze sprawozdaniami Spółdzielni Kółek Rolniczych w Goleszowie, które reprezentował prezes Białoń. Wiceprezes Gminnej Spółdzielni „Samopomoc Chłopska” w Goleszowie Jan Chmiel zaprezentował dorobek spółdzielni, a dyrektor Banku Spółdzielczego w Goleszowie Jan Hojdysz złożył sprawozdanie z prac banku. W czasie zebrania – proszę teraz wygodnie usiąść – dokonano wyboru komitetu sklepowego. Głównym tematem zebrania była jednak sprawa budowy śmietnika.

Zbliżał się marzec, a wraz z nim płatność kolejnej raty podatku. Sołtys, niejako z urzędu, był wówczas inkasentem. Z tego tytułu otrzymywał jedyne wówczas pieniądze od gminy. Reszta była za „Bóg zapłać”. O dietach nawet nikt nie słyszał. Zebrane wpływy z podatku wyniosły wówczas 235.700,00 zł, a opłaty na fundusz emerytalny 98.250,00 zł. Siedemdziesiąt pięć osób zapłaciło składkę na Narodowy Fundusz Ochrony Zdrowia w kwocie 5.380,00 zł. Proszę mnie dzisiaj nie pytać, czy było to mało, czy dużo? To były zupełnie inne pieniądze.

W maju 1984 r. wyremontowano część drogi w kierunku Bładnic. W tym samym miesiącu zostało zorganizowane zebranie przedwyborcze w sprawie obsadzenia mandatów w wyborach do Gminnej Rady Narodowej. W swoich notatkach odnotowałem: „Brak konsultacji

w tej sprawie”, „I sekretarz... wytypował sam”, „Na zebraniu nie byłem obecny z powodu szkolenia zawodowego z pracy w Warszawie”. Tak to się odbywało. Ale później też. Z uwagi na moją nieobecność związaną ze szkoleniem, przez około 6 miesięcy sołtys Adam musiał sobie dawać radę sam, chociaż dzielnie mnie zastępowała żona podczas wydawania kartek żywnościowych i nie tylko.

W czerwcu gmina zorganizowała zebranie w sprawie śmietnika. Obecny na nim był wicewojewoda. W tym czasie byłem na szkoleniu.

W tym samym miesiącu pod pretekstem zbliżających się wyborów do GRN zwołane zostało zebranie wiejskie, na które, w związku coraz mocniejszymi protestami mieszkańców, zaproszony został wicewojewoda. Prasa wówczas wybiórczo i nieprecyzyjnie przekazywała informacje na ten temat. Jak nigdy dotąd, Godziszów pojawiał się na stronach różnych gazet. Prześcigano się w tytułach i komentarzach na ten temat. Wśród nich znalazły artykuły: „Kończy się pojemność wysypiska w Ochabach”, „Spory wokół wysypiska”, „Nie ma zastoju”, „Błękitne paliwo”. Był i artykuł „Zgoda bez zgody” oraz „Pilnie potrzebna rewizja nadzwyczajna”, a w artykule „Wyrok padł na Górę Chełm” autorka tekstu pisała: „Ludzie nie wytrzymali. Zwołali wiejskie zebranie i postanowili wysłać skargę wprost do ministra ochrony środowiska i zasobów naturalnych”, która trafiła do Państwowej Inspekcji Ochrony Środowiska w Katowicach. Zapomniano wówczas, albo nie chciano pamiętać, że w latach 1977–1983 istniało tzw. czasowe wysypisko nieczystości na Chełmie, urządzone cichaczem i na dziko. Sprawa zakończyła się szczęśliwie dla mieszkańców. Państwowa Inspekcja Ochrony Środowiska w Katowicach, badając sprawę stwierdziła uchybienia formalno-prawne. Brak było uregulowań spraw własnościowych i szczegółowej dokumentacji technicznej oraz opisu na oddziaływanie na środowisko. Do tego momentu wydano jednak prawie 300 milionów ówczesnych złotych. Powstała nowa droga, przygotowana do ruchu najcięższych pojazdów. Wykop pod jej utwardzenie wynosił około jednego metra. Tyle nasypało kamienia. Nigdy więcej nie widziałem tak przygotowanego podłoża w trakcie budowy drogi.

6 sierpnia 1984 r. w gminie zostało zorganizowane posiedzenie komisji ds. czynów społecznych, której byłem członkiem. „Posiedzenie zorganizował Paweł Głajcar – instruktor nauki jazdy PZMOT. Obecny też był Karol Podzorski – sołtys z Kozakowic”. W swoich notatkach ponadto odnotowałem: „Brak koncepcji pracy, tylko ograniczenie się do kontroli czynów społecznych”. „Zaproponowałem wówczas, aby przydział środków finansowych na czyny społeczne był w gestii Komisji ds. czynów i aby wszelkie propozycje w sprawie czynów złożone zostały na ręce komisji do końca września”. Czy jednak tak się stało, naprawdę nie pamiętam, ale raczej w to wątpię.

Na dzień 3 grudnia 1984 zostało zwołane zebranie wiejskie, połączone z wyborem sołtysa i członków Rady Sołeckiej. Zebranie w drodze głosowania na sołtysa wsi powołało moją osobę, a na zastępcę sołtysa – Eugeniusza Lacha, Halina Franek została sekretarzem Rady Sołeckiej, a Zdzisław Markocki naszym skarbnikiem. Ponadto w skład weszli: Irma Podzorska, Jan Kobiela, Jan Liboska, Gertuda Chrapek i Jerzy Bujok. Członkami Komisji Rewizyjnej zostali: Stanisław Rymorz, Halina Wołos i Halina Miech. Rozpoczął się kolejny, niełatwy rok pracy samorządowej.

21 grudnia została zorganizowana w sali RKS w Goleszowie, kolejna sesja Gminnej Rady Narodowej. Wśród wielu spraw jedną z ważnych kwestii było przyjęcie uchwały V/16/84

w sprawie ustalenia stawek świadczeń na fundusz gminny. Z wielu uregulowań znalazły tu się m. in. opłaty od nieruchomości niezwiązanych z gospodarstwem rolnym lub leśnym. W swoich notatkach odnotowałem: „Radni z Godziszowa nie zabierali głosu, Bogdan Rymorz nie był obecny”.

Miesiąc grudzień, jak zresztą obserwowałem przez całe trzydziestolecie, był zawsze bardzo pracowity. Na dzień 23 grudnia 1984 r. zwołane zostało posiedzenie Komisji ds. czynów społecznych. Widocznie organizatorzy nic ciekawego nie wymyślili, ponieważ po raz kolejny w swoich notatkach odnotowałem: „Nic ciekawego”. Natomiast 26 grudnia w Urzędzie Gminy odbyło się spotkanie opiekunów społecznych. Tym razem zanotowałem: „Wysunięto propozycję, by w roku następnym przed świętami Bożego Narodzenia wśród osób starszych zostały rozprawdzone paczki z funduszy gminy”. To udało się zorganizować.

W celu godnego zakończenia roku oraz podziękowania za pracę członków Rady Sołeckiej w Godziszowie, w dniu 28 grudnia zwołałem pierwsze zebranie organizacyjne Rady Sołeckiej. Zaproszeni zostali wszyscy przedstawiciele organizacji działających na terenie wsi. Byli więc członkowie Rady Sołeckiej i Komisji Rewizyjnej, radni sołectwa do Gromadzkiej Rady Narodowej w Goleszowie – Anna Pszczółka i Stanisław Rymorz, który był wówczas członkiem Komisji Rewizyjnej. Byli też: naczelnik OSP Bogdan Cieślak, gospodarz Świetlicy Gminnej Tadeusz Cieślak oraz Radni Rady Parafialnej – Helena Lach i Jerzy Krzemień. Pomimo, że Nowy Rok dreptał za nami, spraw jednak było sporo do ustalenia. Podjęto wiele inicjatyw, a niektóre z nich musiały czekać aż czternaście lat, by szczęśliwie doszło do ich realizacji. Podjęta została decyzja, że raz w ciągu kwartału zostanie zwołane zebranie Rady Sołeckiej, w celu dokonania podsumowania zrealizowanych zamierzeń i wytyczenia dalszych prac. Z ramienia sołectwa Godziszów, na opiekuna społecznego wytypowana została radna Anna Pszczółka. Ustalono też, aby radni sołectwa informowali radę sołecką o pracach GRN oraz w jakich sprawach zabierali głos na sesjach. Ustalony też został plan pracy Rady Sołeckiej na lata 1985/86. Spraw było wiele. Dzisiaj można by powiedzieć, że aż nadmiar. Po raz pierwszy wysunięty został tak mocno problem przystąpienia do prac związanych z budową remizy strażackiej. Co wówczas jeszcze rodziło się nam w głowach?

Sprawa budowy śmietnika i twarde stanowisko władz wojewódzkich powodowały, że w planie pracy znalazł się problem gazyfikacji wsi, budowy wodociągu i dróg oraz budowy przedszkola. Tak, tak... W plan pracy ponadto wpisano również sprawę telefonizacji sołectwa oraz zorganizowanie imprezy, której dochód zamierzaliśmy przeznaczyć do dyspozycji samorządu. Uchwałą nr 2 samorządu przyjęte zostały zasady gospodarowania obiektem starej szkoły. Z uwagi na to, że dotychczasowy sposób gospodarowania nim powodował niepotrzebne zgrzyty, postanowiono to usystematyzować. Świetlica Gminna, sanitariaty, piwnica, strych oraz teren wokół szkoły zostały przekazane dosyć pręźnie wówczas działającemu koło Związku Socjalistycznej Młodzieży Polskiej. Pozostałe pomieszczenia: duża sala (klasa), kuchnia i magazyn gospodarczy miał być zarządzany przez miejscowe KGW. Taki podział sprawił, że obie strony nie wchodziły sobie w swoje kompetencje. Na zebraniu przyjęty został również wniosek w sprawie powołania, na najbliższym zebraniu samorządowym, społeczno-go komitetu budowy gazociągu. Postanowiono też, aby KGW w najbliższym czasie ustaliło jednolite stawki opłat za korzystanie z pomieszczeń będących w ich dyspozycji. Na tym właśnie, w skrócie, polegało przygotowanie się do kolejnego zebrania wiejskiego.

2 lutego 1985 r. zwołane zostało zebranie sprawozdawcze OSP, na którym podjęta została uchwała w sprawie nabycia obiektu „starej szkoły”. Jednak w niedługim czasie okazało się, że niektóre osoby, nawet ze składu Rady Sołeckiej, nie były skłonne do przyjęcia takich rozwiązań. Szło jak po grudach. Czas pokazał, że trzeba było czekać kolejnych trzynaście lat, by powrócić do tego tematu.

30 stycznia 1985 r. w Urzędzie Wojewódzkim w Bielsku-Białej odbyła się narada samorządowców, którą prowadził wicewojewoda Michał Krzyśko. Pozwolę sobie przytoczyć tylko niektóre z poruszonych tam spraw: „W województwie bielskim średnia powierzchnia gospodarstwa rolnego wynosiła wówczas 1,9 ha, przy średniej krajowej 4,5 ha. Z uwagi na duży procent gleb kwaśnych (84 %) zużycie wapna wynosiło zaledwie 303 kg, a powinno było wynosić 630 kg. Mówiono, że 1 kombajn przypada na 194 ha zbóż. Wspominano też, że państwo ma zrezygnować z wymagań w zakresie obowiązku posiadania kwalifikacji rolnych przy przejmowaniu gospodarstw rolnych. Dowiedzieliśmy się, że 37 tys. zagród wiejskich pozostaje do zwodociągowania, a koszty zaopatrzenia wsi w wodę wyniosłyby 15 ówczesnych miliardów złotych. W zakresie zagrożenia przeciwpowodziowego powiedziano, że uregulowanych zostało 1243 km rzek, a pozostało jeszcze ponad 2000 km, na co przy obecnym tempie (w roku 1982) potrzebne byłyby 73 lata”. W szybkim tempie zbliżamy się do półmetku tego czasu. Upłynęło raptem 30 lat. Czy ówczesne władze były aż tak przewidujące, że w tym zakresie, pomimo zawirowań w naszej historii, niewiele się zmieni. Czy zdążymy z tą regulacją?

Już 31 stycznia odbyła się kolejna sesja GRN. Radny Bogdan Rymorz składał interpelację w sprawie przejazdu na torach kolejowych koło Radonia oraz dokończenia remontu drogi w kierunku Bładnic – od stawów po potok Bładnica. Sam wnioskowałem na sesji w kilku sprawach. Między innymi o kontrolę jakości wykonania dróg przez Rejon Eksploatacji Dróg w Wapienicy, z uwagi na konieczność dokonywania częstych poprawek po ich pracach, a także o uruchomienie przejścia pod torami kolejowymi, koło potoka Radoń, jak również w kwestii słabego zaangażowania się mieszkańców większych wiosek w sprawy czynów społecznych, na których wówczas oparty był w wielu przypadkach program „remontów i unowocześniania” wszystkiego co we wsi. Naczelnik gminy poinformował zebranych o przystąpieniu do konkursu „Gmina Mistrzem Gospodarności”.

Na dzień 5 lutego zwołane zostało posiedzenie Komisji RN ds. Ochrony Środowiska, Ładu i Porządku, na które zostali zaproszeni również sołtysi. Inspektor ds. budownictwa poinformował zebranych o przystąpieniu do opracowania nowego planu zagospodarowania przestrzennego gminy, określeniu strefy ochronnej wokół „Cementowni w Golezowie” oraz o jej likwidacji. To były początki jej końca. Zostaliśmy poinformowani również o problemie odprowadzania ścieków oraz o konieczności wytypowania miejsc na lokalne wysypiska. Tak, tak. Na lokalne wysypiska. Na spotkaniu wnioskowałem, aby podczas prac polowych traktorzyści RKS i SKR w Golezowie zwracali uwagę na stan pozostawionych dróg po wyjazdach z pól.

Kolejne wybory do samorządu wiejskiego w roku 1988 wywołały wiele emocji związanych z remontem drogi pod Chełmem, w kierunku Żydowa. Zaproponowałem wówczas Gustawowi Markowi, aby został sołtysiem na kolejną kadencję. Prawie osiem lat sołtysowania, w tych trudnych warunkach, to by wystarczyło. Wolą zebrania wiejskiego, tak się też stało. Jego kadencja trwała jednak 2 lata, ze względu na nowelizację przepisów o samorządzie.

Dzisiaj muszę powiedzieć, że nie do końca „władza” w sprawie tej drogi, „zagrała z nami na czysto”. Drodze tej po latach została nadana nazwa „Pod Chelmem”, co oznacza, że należy do Goleszowa Dolnego, ale nakłady na remonty przez lata przypisane były naszemu sołectwu. No cóż? Takie życie.

27 maja 1990 r. przeprowadzone zostały pierwsze wolne wybory samorządowe, skutkiem czego na wiosnę następnego roku, przeprowadzono wybory do Rad Sołeckich. Sołtysem został wybrany Eugeniusz Lach, który piastował tę funkcję przez dwie kadencje, do lutego 1999 roku. Do Rady Gminy został wybrany Bogdan Rymorz.

Czas szybko płynie, zbliżał się rok 1991. Gmina wchodzi w kolejną fazę postępu cywilizacyjnego. Zapowiadana od kilku lat telefonizacja gminy zaczyna nabierać realnych kształtów. Na zebraniach wiejskich zostają powołane Społeczne Komitety Budowy. Inaczej wówczas rozwiązania tego problemu nikt sobie nawet nie wyobrażał. Dzisiaj mógłby ktoś powiedzieć, po co nam to było? 14 marca 1991 r. został powołany Społeczny Komitet Telefonizacji wsi Godziszów oraz określone zasady jego działania. Na podstawie art. 104 KPA oraz § 2 Uchwały Rady Ministrów nr 60 z 13 kwietnia 1984 r. w sprawie czynów społecznych oraz pomocy państwa w ich organizowaniu i realizacji, została wydana Decyzja Nr GK-4314/12/91 z 20 marca 1991 r. Wójta Gminy Goleiszów zatwierdzająca siedmioosobowy skład. Przypadł mi w udziale, ten jakże zaszczytny obowiązek, bycia jego przewodniczącym. To dwa lata pracy na wysokich obrotach. Po drodze cała masa uzgodnień, prac i rozliczeń. Patrząc dzisiaj na to wszystko co za nami, to pewnie wówczas nie zdawałem sobie sprawy, jakiego zadania się pojąłem. Na komitecie spoczęło wszystko. Zatwierdzony regulamin był krótki, ale konkretny. Zawierał szereg obowiązków i upoważnień, które należało zrealizować w okresie prowadzenia tego zadania. Czytamy w nim m. in., że „prowadzona telefonizacja odbywa się przy udziale czynu społecznego osób, którym został przydzielony abonament telefoniczny...”. W tym czasie, najwyższy numer domu, który znajduję na posiadanym przeze mnie zestawieniu to 138. A przyznanych numerów do podłączenia w pierwszym etapie budowy było 35. Ograniczenie to wynikało z możliwości technicznych posiadanej centrali telefonicznej na poczcie w Goleiszowie. Prawdopodobnie zakładana rozbudowa centrali, o której wspominał naczelnik Sztwiertnia na naradzie 11 stycznia 1983 r., nie przewidywała takiego wzrostu zainteresowania telefonami, że obecnie okazuje się również za mała? W tym czasie telefony „należały” pod Dyрекcję Generalną Polska Poczta Telegraf i Telefon. Co do kolejności przyznania numerów PP przyjęła rozwiązanie, że decyduje numer wpływu wniosku mieszkańca o telefon. Komitet w tym zakresie nie miał nic do powiedzenia. W początkowym postępowaniu należało wykonać sporą ilość uzgodnień. Najtrudniejszą kwestią były uzgodnienia dotyczące przebiegu linii. To z kolei miało wpływ na liczbę słupów oraz zapotrzebowanie na odpowiednią ilość przewodów telefonicznych, a także pozostałego sprzętu związanego z montażem. Na początku szło ciężko, ale powoli wszystko się dotarło.

Jedno ważne rozwiązanie udało się wówczas przeforsować. Trudno powiedzieć, kogo w tym jest największy sukces, ale postanowiono, że budowana linia będzie zabezpieczona do przyszłych ewentualnych podłączeń.

W kwestii innych uregulowań ustalono, że udział Społecznego Komitetu Telefonizacji stanowić będą środki finansowe zainteresowanych w wysokości 2,5 mln zł, płatne w 3 ratach, na konto komitetu. Wyznaczone zostały daty wpłat poszczególnych rat i odsetki w razie nie

wpłacenia należnej kwoty w wyznaczonym terminie. Ostatecznie do drugiego etapu budowy zostało zaliczonych 11 odbiorców. Zapewniono im możliwość podłączenia się do linii, po rozbudowie centrali w Goleszowie. Nikt jednak nie wiedział, kiedy to nastąpi. Dyrekcja Generalna Polska Poczta Telegraf i Telefon postawiła warunki, że może to zostać przyspieszone, jeżeli przyszli odbiorcy przyczynią się do wpłat na rzecz rozbudowy centrali w kwocie 2 mln zł. Biorąc wówczas pod uwagę duże zainteresowanie posiadaniem telefonu, podjęte zostały decyzje w kwestii rozbudowy linii, w stosunku do pierwotnej wersji, pod warunkiem jednak, że zainteresowany poniesie koszty budowy przekraczające odległość 200 m. To były znaczne kwoty, ale do niej wliczony został koszt własny w zakresie budowy tego odcinka linii.

Komitet upoważniony został również do dokonania ostatecznego rozliczenia wniesionych udziałów i poniesionych kosztów oraz do wystąpienia do Dyrekcji Generalnej Polska Poczta Telegraf i Telefon o zwolnienie z opłaty taryfowej za przyznanie abonamentu telefonicznego. To ostatnie stanowiło wyzwanie na miarę XXI wieku. Teraz można było przystąpić do opracowania projektu technicznego. Został sporządzony w sierpniu 1991 r. W projekcie przewidziano postawienie 92 słupów i ponad 8 km kabli telefonicznych. Największą trudność w zakresie projektowania stanowiło ustalenie przebiegu linii do Godziszowa z trzech kierunków. W grudniu 1991 r. zostało podpisane porozumienie pomiędzy Dyrekcją Wojewódzką PPTiT a Społecznym Komitetem Telefonizacji w Godziszowie, m. in. w sprawie ustalenia okresu inwestycji. Pierwszy etap zaplanowano od 20 marca do 30 czerwca 1992 r., a drugi od 1 stycznia do 31 grudnia 1992 r. Dyrekcja wojewódzka PPTiT zapewniała w tym momencie, że będzie 46 numerów dla członków tego komitetu oraz że po rozliczeniu zadania będzie można złożyć wnioski o zwolnienie z opłat taryfowych i jednostek licznikowych dla jej członków. Decyzja Nr 7351/42/92 Urzędu Gminy w Goleszowie zatwierdziła budowę sieci rozdzielczo-telefonicznej w Godziszowie. Od tego momentu rozpoczął się wyścig z czasem. W czasie prac związanych z postawieniem słupów największe problemy wystąpiły na zboczach góry Chełm, gdzie trzeba było się zmierzyć z dużymi pokładami kamienia. Uzbrojenie słupów w linię kablową wykonała Spółka „Telbud”. Dzięki dużemu zrozumieniu mieszkańców i ich zaangażowaniu, zadanie zostało wykonane w terminie. 25 września 1992 r. zgłosiłem do Dyrektora Telekomunikacji Polskiej S.A. w Cieszynie wykonanie sieci rozdzielczej w Godziszowie do odbioru. Protokół odbioru ostatecznego sporządzono 20 listopada 1992 r. Sporym problemem okazało się podłączenie odbiorców, którzy zostali zaliczeni do drugiego etapu. Sprawa była nawet omawiana na XXVI sesji Rady Gminy 13 lipca 1993 roku. Ujawniono, że do podłączenia wszystkich oczekujących na terenie gminy zabrakło 204 numerów.

Wartość całej inwestycji w Godziszowie została oszacowana na 318.450.000,00 zł. Odbiorcy na 4 lata zostali zwolnieni z opłaty telefonicznej. Dużą pomocą w zakresie organizacyjno-prawnym, w trakcie prowadzenia tej budowy służyli mi: Dyrektor Telekomunikacji Polskiej S.A. w Cieszynie Bogumił Jaeschke, jego zastępca Paweł Wechman oraz Wójt Gminy Jan Sztwiertnia.

Czas szybko przemija. Zbliżyliśmy się milowymi krokami do XXI wieku, a wiele spraw nie mogło ruszyć z miejsca. W marzeniach budowa remizy, drogi asfaltowe, most na Bładnicy i stara szkoła. Otrzymywane dotychczas środki na drogi pozwalały położyć zaledwie kilkaset metrów asfaltu.

Na zebraniu wiejskim w lutym 1997 r. pojawia się promyk nadziei. W nieskończoność ciągnęła się sprawa położenia nawierzchni asfaltowej „Pod Chelmem”. Od centrum do Bryndzwerka udało się to jakoś „dopuścić”, ale dalej? Pozostało jeszcze ponad 1,5 km. Pewnie z myślą, że nikt nie kupi takiego pomysłu, zaproponowano, że są środki na drogi z Agencji Restrukturyzacji Rolnictwa, pod warunkiem jednak, że mieszkańcy się dołożą. Pomimo wielu wątpliwości, do takiego sposobu współfinansowania remontu drogi, zebrani, z powodu braku perspektyw na poprawę stanu dróg, przystali na to. Uchwałą zebrania wiejskiego ustalono, że każda rodzina wpłaci po 80 zł. Zwolnieni zostali emeryci i renciści. Było też przyobiecane, że w następnych latach program będzie kontynuowany. W ten sposób, w ciągu jednego roku, udało się ten odcinek drogi wykonać. Jak później się okazało, tylko godziszowianie przystąpili do tego programu i nigdy więcej taki program nie został ogłoszony.

Kolejna, już dziewięćdziesiąta, rocznica Ochotniczej Straży Pożarnej w Godziszowie, zorganizowana została 19 lipca 1997 r., na terenie „starej szkoły”. Uroczysty meldunek oraz wręczenie odznaczeń odbyły się pod przygotowanym namiotem, w strugach deszczu. Z ramienia Zarządu Gminnego Ochotniczych Straży Pożarnych w Goleszowie w uroczystości brał udział prezes, druh Gustaw Pieszka. Przemawiając do zebranych strażaków i mieszkańców, przypomniał, że posiadamy najstarszy obiekt strażacki na terenie gminy Goleszów, który można już nazwać „staruszką”. W swym wystąpieniu zachęcał, a może wręcz prowokował wszystkich, do podjęcia starań związanych z budową nowego obiektu. A może był zorientowany o toczących się rozmowach pomiędzy prezesem OSP a wójtem gminy na ten temat.

Już 16 lutego 1998 r. na zebraniu wiejskim prezes Ochotniczej Straży Pożarnej Stanisław Pinkas poinformował o gotowym planie budowy nowej strażnicy oraz jej lokalizacji. Zaproponował też powołanie społecznego komitetu budowy tego obiektu. Uchwałą zebrania wiejskiego mieszkańcy Godziszowa zdecydowali, że nowy obiekt ma powstać przy znacznym udziale czynu społecznego i dobrowolnemu opodatkowaniu się na ten cel mieszkańców. To najnowsza historia. Na jej temat każdy mógł znaleźć coś dla siebie na łamach „Kalendarza Goleszowskiego”.

Z dotychczas nie publikowanych informacji i ciekawostek wspomnę, że przy budowie pracowało około setki osób, a tych, którzy przepracowali więcej niż 10 godzin było aż 71. Przez cztery lata byłem wyłączony z innych prac. Wspomnę tylko, że były to setki godzin pracy na rzecz gminy, a przede wszystkim dla społeczeństwa Godziszowa.

Kiedy zerkać do kalendarza z 1998 r. to oprócz pracy przy budowie nowej remizy, widzę około trzydziestu różnego rodzaju spotkań, zebrań i uroczystości, które w tym czasie również miały miejsce.

Wykorzystując ogromne zaangażowanie społeczeństwa w tym czasie zaproponowałem, aby zorganizowany został zespół do odnowienia starej szkoły, która wówczas zaczęła wszystkich straszyć. Jeszcze w lipcu 1998 roku udało się ruszyć z pracami remontowymi, a w miesiąc później przystąpiono do wykonania nowych schodów przy naszym kościółku. Pod koniec października zaplanowane prace zostały pomyślnie ukończone. Byłem tu i tam. A jakże – inaczej być nie mogło.

23 stycznia 1999 r. (sobota), w czasie kolejnego spotkania komitetu, wysunąłem propozycje budowy lokalnej oczyszczalni ścieków, w okolicy nowo powstałej remizy. Pomysł nawet został „kupiony”. Dokonano też rozpoznania w okolicznych domach, co do ewentual-

nego podłączenia się do planowanej oczyszczalni. Odzew był bardzo pozytywny. Ze względu jednak na ogrom prac stojących przed komitetem, chwilowo pomysł odłożono, a z czasem zapomniano o nim.

Spółeczny Komitet Budowy Strażnicy pewnie spełnił oczekiwania mieszkańców Godziszowa. Oczekiwania wielu pokoleń, którym nie dane było doczekać tego momentu. W pracach na rzecz budowy naszej remizy udało się zaangażować osoby, które nie były mieszkańcami Godziszowa. Ofiarność ludzi przekroczyła nasze wyobrażenia i najśmielsze oczekiwania. Na zebraniu wiejskim 16 marca 1998 r. komitet został rozwiązany.

Po latach sortysowania i przeprowadzeniu różnego rodzaju prac, o których wyżej wspominałem, przyszło mi zmierzyć się z wieloma zadaniami stojącymi przede mną jako przed radnym.

11 października 1998 r. zostałem wybrany w okręgu sołectwa Godziszów do Rady Gminy Goleszów. Byłem wówczas jednym z dwudziestu dwóch radnych. Praca w Radzie Gminy i jej komisjach, to kolejny rozdział mojej pracy samorządowej. Pierwsza sesja III kadencji Rady Gminy Goleszów na lata 1998 – 2002 została zwołana przez Przewodniczącego Prezydium Sejmiku Samorządowego Województwa Bielskiego Jana Sztwiertnię na dzień 30 października 1998 r. Zostałem wybrany przewodniczącym Komisji Rozwoju Gospodarczego Gminy oraz członkiem Zarządu Gminy Goleszów. Po kolejnych wyborach, zaliczanych do IV kadencji Rady Gminy Goleszów, przypadło mi w udziale pełnienie funkcji przewodniczącego w latach 2002 do 2006. Od tej kadencji w skład rady wchodziło 15 radnych. 11 listopada 2001 r. w cieszyńskim teatrze, po raz pierwszy, jako wiceprzewodniczący rady, wspólnie z zastępcą wójta gminy Bogusławą Podzorską miałem przyjemność wręczać laur Srebrnej Cieszyńianki Przewodniczącemu Rady Gminy Januszowi Gabrysiowi.

W sołectwie milowymi krokami zbliżały się uroczystości związane z obchodami 100-lecia powstania OSP. Pomimo, że nigdy do straży nie należałem, mogę powiedzieć, że aktywnie ją wspieram. Nie wiem, czy za takiego mnie środowisko straży postrzeże? No cóż... Czas biegnie, a do zrobienia pozostało jeszcze sporo. Dzięki ogromnemu zaangażowaniu wielu ludzi udało się wszystko przygotować. Pozostało jeszcze opracowanie scenariusza uroczystości i okolicznościowych przemówień. A potem szło jak z płatka. Po czasie dobrze tak powiedzieć.

Budowa remizy nakręciła też pozytywną energią wielu ludzi. Co roku organizowaliśmy Dzień Dziecka, Mikołaja i Spotkania Seniorów. Były też rozgrywki piłki nożnej – kawalerzy na żonaty i rozgrywki reprezentacji przysiółków o puchar radnego.

12 listopada 2006 r. zostały przeprowadzone w 10 okręgach wyborczych wybory samorządowe na V kadencję Rady Gminy Goleszów, na lata 2006–2010. Przez krótki okres pełniłem funkcję przewodniczącego Komisji Finansów. W roku 2010 w kraju obchodzono 20-lecie funkcjonowania samorządu terytorialnego. W czasie zorganizowanego uroczystego spotkania w sali Gminnego Ośrodka Kultury w Goleszowie, 2 czerwca, miałem zaszczyt wygłosić referat na ten temat. Jego ślad znajduje się w prowadzonej „Kronice Gminy”.

Ponownie – 12 listopada 2010 r. – w wyborach do VI kadencji rad, dzięki wyborcom Godziszowa, znalazłem się wśród 15 radnych, wybranych w 10 okręgach na terenie Gminy Goleszów.

Największym, a może i najważniejszym wydarzeniem, w tym okresie było przygotowanie i przeprowadzenie uroczystości 105-lecia OSP w Godziszowie, połączonej z wręcze-

niem sztandaru tutejszej jednostce. Jako przewodniczący Komitetu Organizacyjnego oraz przewodniczący Społecznego Komitetu Fundacji Sztandaru obarczony zostałem szeregiem obowiązków. Na brak pracy nie narzekałem, ale miałem okazję spotkać wielu ludzi, którym



Przekazanie pamiątkowego obrazu od burmistrza partnerskiej gminy Prittitz (RFN) – lipiec 2005 r.

równie mocno zależało na dobrym przygotowaniu tej uroczystości. Z racji rangi uroczystości, na trzy miesiące przed tym terminem mieszkańcy naszej gminy mogli zapoznawać się co miesiąc ze stosowną informacją na ten temat.

Warto w tym miejscu dodać, że sołtys Grzegorz Ząbek tworząc godziszowską stronę internetową (www.kopernik.netus.pl/godziszow/) motywował mnie do ciągłego przysyłania kolejnych materiałów na temat naszego Godziszowa. Pisać nadal jest co, ale czasu coraz mniej. Czas biegnie coraz szybciej.

Jesteśmy w połowie obecnej, szóstej, kadencji Rady Gminy. Przed

nami jeszcze dwa lata. Trudne lata. Gdy weźmiesz, Drogi Czytelniku, do ręki ten oto „Kalendarz Goleiszowski”, będziemy po najtrudniejszych decyzjach w radzie. Zapewne będzie już wszystkim wiadomo o wielu sprawach, z którymi przyjdzie nam się zmierzyć w roku następnym.

Na łamach obecnego kalendarza nie sposób było zamieścić szczegółów dotyczących pracy związanej z wykonywaniem funkcji radnego. Zasygnalizowałem tylko niektóre wydarzenia. Jeżeli dane mi będzie, to pozwolę sobie w kolejnych wydaniach „Kalendarza Goleiszowskiego” podzielić się z posiadaną na ten temat wiedzą i zdobytym doświadczeniem.

Zapewne nie wymieniłem wszystkich prac oraz zadań, z którymi w tym trzydziestolecium miałem do czynienia. Prawie wszystkie prace wykonywane dla naszego społeczeństwa i naszej gminy, zrealizowane zostały dzięki ludziom dobrej woli, którzy wykazali się wielkim zaangażowaniem, a także oddali swoje serce i wolny czas dla wspólnej sprawy, często wykonując swoją pracę anonimowo. Za to wszystko chylę czoło przed nimi, że wspólnie udało nam się zrobić coś dla następnych pokoleń.

W opracowaniu wykorzystałem własne notatki z lat 1982–2012 oraz fragmenty informacji z „Kroniki Goleiszowa” pod redakcją Jana Wałaskiego.

„NIE KŁADŹ GROSZA W OBCE KASY”. ZARYS HISTORII BANKU SPÓŁDZIELCZEGO W CIESZYNIE Z OKAZJI 140 ROCZNICY POWSTANIA

JANUSZ SPYRA

Aby żyć i działać człowiek potrzebuje środków, jeśli ich nie posiada może, a często musi, je pożyczyć. Dotyczy to zarówno jednostek, jak i mniejszych lub większych grup społecznych i instytucji, państw oraz narodów. Przez długie wieki, mimo kościelnych potępień, brakującą gotówkę pożyczano przede wszystkim u różnego rodzaju lichwiarzy, przeważnie na bardzo wysoki procent, który miał im rekompensować ryzyko ich nie odzyskania. Nie oddawali zwłaszcza najbogatsi: królowie, arystokracja, szlachta...

W połowie XVIII wieku, w czasach Oświecenia, w takich krajach jak Anglia, Niemcy czy Szwajcaria zrodziła się idea celowego gromadzenia pieniędzy w kasach oszczędności, których głównych celem miałyby być wspieranie rozwoju materialnego, ale i moralnego jednostek i grup, poprzez propagowanie oszczędzania, co z kolei miało umożliwiać udzielanie taniego kredytu. Szczególnie szybko rozwijały się one po zakończeniu wojen napoleońskich. W pierwszej połowie XIX w. idee oszczędności spółdzielczej dotarły także na ziemię podzielonej rozbiorami Polski, gdzie m.in. traktowane były jako jeden ze sposobów pracy organicznej i ekonomicznego podniesienia poziomu kraju dla przyszłego wykorzystania w walce o odzyskanie niepodległości. W Wielkopolsce już w 1821 r. powstało Poznańskie Ziemstwo Kredytowe, w 1849 r. kasy oszczędności w Środziszewie i Poznaniu. Od początku lat 60. XIX w. powstawały włościańskie spółki pożyczkowe i kasy oszczędnościowe, które od 1871 r. wchodziły w skład Związku Spółek, na którego czele, jako patroni, stali ks. Szamarzewski i ks. Piotr Wawrzyniak. Nieco później kasy oszczędności zaczęły działać na Górnym Śląsku i Pomorzu, a większość z nich oparta była o system wymyślony przez Hermanna Schultze z Delitsch. Istniały też miejskie kasy oszczędności, ale przeważnie prowadziły politykę niechętną Polakom. W Królestwie Polskim władze zajmowały się początkowo jedynie kredytem dla borykających się z problemami finansowymi ziemian, pod zastaw ich gruntów. Od 1843 r. zakładano kasy oszczędności w większych miastach, od 1868 r. w gminach wiejskich, ale większość została zamknięta przez władze carskie w latach 1891–1894.

Także pierwsze towarzystwa zaliczkowe w zaborze austriackim były oparte o system Schulzego, a pierwsza kasa oszczędności powstała dopiero w 1844 r. we Lwowie, następna w 1861 r. W 1874 r. powstał w Galicji Związek Stowarzyszeń Zarobkowych i Gospodarczych. W monarchii austriackiej pierwsza kasa oszczędności powstała w 1826 r. w Wiedniu, ale panujący wtedy cesarz Franciszek I, który zwykł był osobiście regulować prawie wszystkie sprawy swoich poddanych, troszczył się tak bardzo o bezpieczeństwo ich pieniędzy, że nie pozwalał na zakładanie dalszych. Dopiero więc regulatyw cesarza Ferdynanda I z 1844 r. ustalał zasady tworzenia i funkcjonowania kas oszczędności, które miały umożliwić niezamożnym warstwom społecznym gromadzenie oszczędności, a przede wszystkim uzyskiwanie taniego kredytu, o co dotąd było bardzo trudno nawet szlachcie. Regulatyw zwracał wielką uwagę na bezpieczeństwo lokat, zgodę na założenie kas wydawał sam cesarz. W efekcie w 1848 r., kiedy

w Anglii działało już ponad 600 kas oszczędności, a w Prusach ponad 190, w całej monarchii austriackiej istniało ich zaledwie 17.

Te same regulacje prawne i polityka władz obowiązywały także na Śląsku Cieszyńskim. W Cieszynie już w 1853 r. grupa mieszczan wystąpiła z projektem uruchomienia kasy oszczędnościowej połączonej z zakładem pożyczkowym, który miał służyć wspieraniu rzemiosła. Władze preferowały jednak miejskie kasy oszczędności, które mogły zapewnić większe bezpieczeństwo wkładów. W latach 1858–1859 podjęły działalność dwie komunalne kasy: w Bielsku i w Cieszynie, podobne stopniowo uruchomiono we wszystkich miastach Śląska Cieszyńskiego. Zaczęły też powstawać komercyjne instytucje kredytowe, a banki z Wiednia i innych większych miast otwierały w miastach Śląska Cieszyńskiego swoje filie. Przed I wojną światową na Śląsku Cieszyńskim działało kilkadziesiąt samodzielnych instytucji bankowych albo ich filii, a w samym Cieszynie było ich kilkanaście. Jeszcze większe, nastawione na obsługę przemysłu, lokowały się w Bielsku.

Funkcjonujące w miastach instytucje finansowe skupiały się na obsłudze handlu, rzemiosła i przemysłu, wymagały też odpowiedniego zabezpieczenia albo gwarancji. Rzadko kiedy byli to w stanie spełnić niezamożni rolnicy, przede wszystkim zaś nie mogli liczyć na tanie kredyty. Poza tym, banki znajdowały się w ręku Niemców albo osób skłaniających się do kultury niemieckiej i zależność od kredytu była dodatkowym narzędziem utrzymania przewagi nie tylko politycznej, ale i ekonomicznej, nad ludnością polską, stanowiącą większość mieszkańców Śląska Cieszyńskiego. Zdawali sobie z tego doskonale sprawę polscy działacze narodowi, zwłaszcza skupieni wokół założonego w 1869 r. Towarzystwa Rolniczego dla Księstwa Cieszyńskiego. Bardzo często o pożytkach i konieczności zakładania kas taniego kredytu pisała także „Gwiazdka Cieszyńska”. Jednak austriackie władze nie dopuściły do utworzenia kasy pożyczkowej przez Towarzystwo Rolnicze.

Dopiero 9 kwietnia 1873 r. została uchwalona przez parlament w Wiedniu Ustawa o stowarzyszeniach zarobkowych i gospodarczych, która określała ogólne ramy podejmowania działalności gospodarczej przez różne podmioty gospodarcze działające na zasadzie spółdzielni. Dotyczyło to m.in. spółdzielni spóżywców oraz spółek, których celem było oszczędzanie i wspomaganie kredytem swoich członków (w ówczesnej terminologii spółka oznaczała tyle co spółdzielnia). Był to długo oczekiwany przez Polaków ze Śląska Cieszyńskiego akt prawny, który pozwalał na realizację wcześniejszych projektów. Po wstępnych przygotowaniach na zebraniu konstytucyjnym w dniu 28 października 1873 r. powołano do życia Towarzystwo Zaliczkowe w Cieszynie i uchwalono jego statut. Podpisało go 122 członków założycieli, należących do wszystkich warstw polskiej społeczności, bez względu na wyznanie, pochodzenie czy majątność. Celem Towarzystwa było zapewnienie dostępu do taniego kredytu członkom, głównie rolnikom, z dogodnymi ratami spłat oraz ułatwianie gromadzenia drobnych kapitałów, ale też (czego w statucie oczywiście nie zapisano) stworzenie niezależnej od Niemców instytucji wspierającej działalność polskiego obozu narodowego. Każdy członek zobowiązany był do wpłaty wpisowego oraz udziału w wysokości od 25 do 500 złotych austriackich. Pokryciu ewentualnych strat służyć miał fundusz rezerwowy, na który składały się wpisowe oraz 5% zysku z każdego roku. Organami stowarzyszenia były Walne Zgromadzenie, wybierana przez nie 11-osobowa Rada Nadzorcza oraz 3-osobowa dyrekcja.

Statut podpisało także trzech członków wybranej dyrekcji Towarzystwa, którymi byli Franciszek Hillebrand jako kontroler, Józef Klebinder jako kasjer oraz referent Władysław

Wacław Lech. Ten ostatni, urzędnik bankowy sprowadzony z Krakowa, miał zapewnić niezbędną fachowość w prowadzeniu operacji finansowych. Nowa polska instytucja powstawała bowiem od zera, przy braku i gotówki, i lokalu, a co najważniejsze – doświadczenia. Towarzystwo Oszczędności i Zaliczek otworzyło swoje biuro w dniu 22 listopada 1873 r. na parterze ówczesnego hotelu „Pod Złotym Wołem” na rogu Górnego Rynku i obecnie ulicy Szersznika. Początki były bardzo trudne, a problemem było nawet zaopatrzenie się w niezbędne wyposażenie: jednym z najważniejszych sprzętów była ogniotrwała kasa firmy Wiese z Wiednia zakupiona w 1874 r. Brakowało przede wszystkim własnego kapitału, który pozwoliłby udzielać kredytów na większą skalę – Towarzystwo zaczynało z śmiesznie małą kwotą 3,5 tys. złotych. Tutaj z pomocą pośpieszyli działacze polscy z Galicji: dzięki niskoprocentowanemu kredytowi Towarzystwa Wzajemnych Ubezpieczeń oraz Kasy Oszczędności w Krakowie (po 10 tys. zł.) już w pierwszym roku działalności udzielono 262 pożyczek na kwotę ok. 45 tysięcy złotych austriackich, a kapitał obrotowy wzrósł do 35 tysięcy złotych. Od 1877 r. Towarzystwo było członkiem Związku Stowarzyszeń Zarobkowych i Gospodarczych we Lwowie. Wcześniej, w 1874 r. zmieniono nazwę na Towarzystwo Oszczędności i Zaliczek w Cieszynie. W roku następnym w skład dyrekcji wszedł Hilary Filasiewicz i pozostał w niej aż do 1922 r., jako najdłużej związany z tą instytucją działacz. Miał niewątpliwie ogromny wkład w jej sukcesy, ale wielki rozwój Towarzystwa Oszczędności i Zaliczek był zasługą liczного grona działaczy wywodzących się z wszystkich warstw miejscowego społeczeństwa polskiego: duchowieństwa, inteligencji, mieszczan i rolników.

Jak bardzo była potrzebna tego rodzaju inicjatywa pokazuje przede wszystkim szybki wzrost ilościowy Towarzystwa Oszczędności i Zaliczek. W pierwszym roku działalności liczba członków wzrosła do 257, następne lata to stały, nieprzerwany rozwój. W 1900 r. Towarzystwo liczyło już ponad 5 tysięcy osób, stan wkładów oszczędnościowych wynosił ok. 1,7 miliona austriackich złotych, a czysty zysk ok. 2,8 miliona. Skłaniało to władze towarzystwa do zakładania filii, które miały jeszcze bardziej ułatwić rolnikom, tak często zajęтым na polu, pozyskiwanie potrzebnych im środków. Pierwszą filię założono w 1875 r. w Jabłonkowie. W 1913 r. liczyła ona prawie 1400 członków, co pokazuje jak bardzo była potrzebna miejscowym rolnikom. Kolejne filie powołano do życia we Frysztacie (1876 r.) i w Boguminie (1879 r.), każda z nich liczyła ponad tysiąc członków. Po kilkunastu latach powstała jeszcze w 1895 r. filia w Skoczowie dla ułatwienia obsługi coraz liczniejszych członków i klientów Towarzystwa z rolniczych okolic Skoczowa i Strumienia. W 1913 r. oddział liczył 600 członków. Kolejne filie, w górniczych regionach zagłębia karwińsko–ostrowskiego rozwinęły się w mniejszym stopniu. Filia w Dąbrowej powstała w 1900 r., przed wojną liczyła ponad 300 członków. W 1903 r. założono filię towarzystwa w Łazach, która miała jedynie ok. 40 członków, w 1914 r. jej siedzibę przeniesiono do Orłowej. Tu udało się rozszerzyć w ciągu kilku wojennych lat klientelę do ok. 200 członków. Ogółem zaś Towarzystwo Oszczędności i Zaliczek liczyło przed I wojną światową ok. 7 tysięcy członków (najwięcej w 1912 r. – 7126), udzielało rocznie od 3,4 do 4,5 tysiąca pożyczek w łącznej wysokości 5–6 milionów koron. Rocznie Towarzystwo zbierało wkładów oszczędnościowych na ponad 6 milionów koron, a czysty zysk wynosił ok. 50 tysięcy koron rocznie.

Chociażby z tego tytułu towarzystwo należało do najważniejszych polskich instytucji działających na Śląsku Cieszyńskim, współfinansowało tam też niemal wszystkie ważniejsze przedsięwzięcia w końcu XIX i na początku XX w. Jednak dopiero od 1885 r. w wydat-

kach towarzystwa pojawia się stała rubryka „Na cele społeczne”, przedtem starano się przede wszystkim zbudować trwały fundament działalności. Wydatki na cele społeczne najpierw były skromne, do wojny wzrosły do 5 tys. rocznie, co oznaczało, że niemal każda polska instytucja czy organizacja, w uzasadnionych przypadkach, mogła liczyć na wsparcie finansowe, niekiedy trwające przez wiele lat. Współfinansowano zarówno rzeczy drobne, jak wydanie książki oraz ważniejsze, jak zakup książek do bibliotek szkolnych czy organizację polskich szkół. W dużym stopniu dzięki finansowej pomocy towarzystwa w 1901 r. urządzony został w Cieszynie przy Rynku nr 12 Dom Narodowy – siedziba polskich organizacji narodowych. Nic dziwnego, że zostały tu przeniesione także biura oraz lokal Towarzystwa Oszczędności i Zaliczek.

Przez kilkadziesiąt lat swojej działalność towarzystwo udzieliło w przybliżeniu kilkadziesiąt tysięcy pożyczek. Każda z nich, nawet zawierana na najmniejszą kwotę, dla osób, które o nią zabiegały oznaczała sprawę ważną, czasami uzyskane w ten sposób pieniądze były kwestią życia i śmierci. Ważniejsze, że dzięki tej działalności udawało się przełamać wyuczoną przez wieki bezradność mieszkańców polskiej wsi i umożliwić im przygotowanie się do nowoczesnego, szybko zmieniającego się już wtedy świata. Nieprzypadkowo wciąż największy procent członków Towarzystwa stanowili chłopci, z reguły od 60 do 65%. Przed wojną reprezentacja stanu rolniczego zmniejszyła się do 50%, co nie było dowodem spadku zaufania, ale po prostu zmian zachodzącym w społeczeństwie polskim, wśród którego rosła liczba osób z wykształceniem oraz mniejszym lub większym majątkiem, a więc stanu średniego. W tym czasie towarzystwo nie było już zresztą jedyną polską instytucją finansową, kredytuującą działalność mieszkańców miast i wsi. W ostatniej dekadzie XIX w. także na Śląsku Cieszyńskim szeroko przyjęły się bowiem kasy oszczędnościowo-pożyczkowe systemu Friedricha Wilhelma Raiffeisena. Opracowany przezeń system oszczędzania opierał się na długoterminowym kredycie udzielanym na podstawie skryptu dłużnego, niskim udziale własnym, tworzeniu funduszu rezerwowego na pokrycie ewentualnych strat, bezpłatnej pracy zarządu oraz małym zasięgu działania, co pozwalało na wiarygodną ocenę możliwości kredytobiorców i kontrolę wykorzystania kredytu. Poza poprawą położenia materialnego członków, tworzone przez Raiffeisena kasy starały się też o ich wszechstronny rozwój intelektualny, a nawet moralny. Pierwsza kasa oszczędnościowo-pożyczkowa systemu Raiffeisena w naszym regionie została zarejestrowana w 1891 r. w Starym Bielsku i była to kasa niemiecka, pierwsza polska powstała w marcu 1895 r. w Istebnej, dzięki m.in. pomocy dr. Franciszka Stefczyka. Bardzo szybko „rajfajzenki” powstały niemal w każdej wiosce Śląska Cieszyńskiego, wszystkie początkowo należały do „Związku kas oszczędnościowych i pożyczkowych na Śląsku” z siedzibą w Opawie, co gwarantowało dostęp do tanich funduszy dofinansowanych przez władze krajowe Śląska Austriackiego. Także kasy Raiffeisena działały na podstawie ustawy z 9 kwietnia 1873 r. i nie tylko na bieżąco pomagały swoim członkom i innym mieszkańcom, ale przede wszystkim uczyły samodzielnego planowania wydatków prywatnych i gminnych. W 1909 r. polskie spółdzielnie oszczędnościowe utworzyły własny Związek Spółek Rolniczych w Cieszynie, którego członkiem było także Towarzystwo Oszczędności i Zaliczek, które zresztą zapewniło finansowanie związku w trudnym momencie wyjścia z bogatego, ogólnośląskiego zrzeszenia z siedzibą w Opawie. Kasy Raiffeisena bardzo mocno rozwinęły się też w Galicji, działając jako spółdzielcze kasy zakładane przez Franciszka Stefczyka (w 1912 r. do 236 kas Stefczyka należało ponad 350 tys. członków).

Dodać trzeba, że przed I wojną światową Towarzystwo Oszczędności i Zaliczek działało w warunkach otwartej już rywalizacji narodowej, kiedy to wszystkie obozy narodowe ostro konkurowały o dusze i kieszenie mieszkańców Śląska Cieszyńskiego, powszechnie też sięgano po argument narodowej solidarności – „kupuj u swego”. W takich trudnych warunkach działające Towarzystwa mimo wszystko dawali sobie radę.

Wybuch I wojny światowej w lipcu 1914 r. oznaczał pogorszenie sytuacji materialnej wielu rodzin, zamrożenie aktywności gospodarczej, a także drożyznę. Wzrost cen na artykuły rolne powodował, że wielu rolników spłacało zaciągnięte kredyty przed terminem i rezygnowało z członkostwa w towarzystwie. W ciągu trwania wojny liczba jego członków zmniejszyła się do ok. 5200, wojna powodowała też wiele innych problemów. Pomimo trudności, w 1918 r. Towarzystwo Oszczędności i Zaliczek uruchomiło kolejne filie w Trzyńcu oraz Suchej Górnej. Tymczasowy podział Śląska Cieszyńskiego w 1919 r. na część polską i czechosłowacką oraz wymiana dotychczasowej waluty austriackiej na czechosłowacką koronę i markę polską przyniosło dalsze kłopoty. Marka polska szybko się dewalutowała, czemu zapobiegła dopiero reforma walutowa i wprowadzenie silnego polskiego złotego w 1924 r.

Po zakończeniu wojny i powstaniu niepodległych narodowych państw Polski i Czechosłowacji, Towarzystwo Oszczędności i Zaliczek nadal odgrywało na Śląsku Cieszyńskim bardzo ważną rolę, zwłaszcza w trudnych latach po zakończeniu wojny, w warunkach aprowizacyjnych i materiałowych braków, niestabilności waluty, a przede wszystkim niepewności politycznej. Po podziale Śląska Cieszyńskiego w 1920 r., na prośbę zarządu towarzystwa, władze Polski i Czechosłowacji wyraziły zgodę na jego dalszą wspólną działalność po obu stronach granicy przez pięć lat. W tym okresie towarzystwo, które nadal przynosiło znaczne zyski, miało się przygotować do podziału na dwie odrębne instytucje, co nastąpiło w końcu 1925 r. Strona polska otrzymała 1/3 majątku towarzystwa, strona czechosłowacka 2/3, stosownie do liczby członków po obu stronach granicy. Po polskiej stronie pozostała bowiem dotychczasowa siedziba towarzystwa w Cieszynie oraz filia w Skoczowie, liczące razem 1711 członków. Większość członków (5197) wraz z filiami w Boguminie, Dąbrowej, Frysztacie, Jabłonkowie, Orłowej, Suchej Górnej i Trzyńcu znalazła się w Czechosłowacji.

Towarzystwo Oszczędności i Zaliczek w polskiej części Śląska Cieszyńskiego działało od początku 1926 r. jako samodzielna instytucja z siedzibą w Cieszynie (w Domu Narodowym) i z filią w Skoczowie. Nową prawną podstawę funkcjonowania stanowiła ustawa o spółdzielniach z 29 października 1920 r. Od 1928 r. towarzystwo działało pod nazwą „Towarzystwo Oszczędności i Zaliczek. Bank Spółdzielczy w Cieszynie”. Początkowo liczyło ponad 2000 członków, w końcu dwudziestych lat XX w. wraz z poprawą położenia ekonomicznego Polski, nastąpiła też poprawa wyników ekonomicznych, w tym czystego zysku. Przełożyło się to na wzrost liczby członków (do 3642 w 1930 r.). W 1928 r. została założona nowa filia w Chybiu, która miała ułatwić korzystanie z usług towarzystwa członkom z całej okolicy. Rozwój został zahamowany przez wybuch światowego kryzysu ekonomicznego, który zaczął się w 1929 r., co uwidoczniło się od 1931 r. m.in. znacznym spadkiem ilości członków. Towarzystwo ponosiło też straty na skutek upadku niektórych innych instytucji bankowych np. Banku ewangelickiego w Cieszynie. W efekcie dla oszczędności zlikwidowano oddziały w Chybiu (1934 r.) i Skoczowie (1935 r.). Kryzys spowodował znaczne zubożenie obywateli, a niskie ceny produktów rolnych (słynne „nożyce cen”) obniżyły możliwości spłat zaciągniętych przez rolników kredytów. Nadal stanowili oni większość klienteli towarzystwa,

a jedynym ich zabezpieczeniem była posiadana ziemia i budynki, których towarzystwo nie chciało licytować. Dopiero w 1936 r. nastąpiła poprawa sytuacji gospodarczej Polski i Towarzystwo Oszczędności i Zaliczek mogło prowadzić normalną działalność, wykazywało też zyski. Jednak liczba członków nadal się zmniejszała do ok. 1600 w 1938 r. Mimo finansowych problemów przez cały okres międzywojenny towarzystwo przeznaczało część zysków na cele społeczne.

Część towarzystwa działająca poza granicami Polski także działała samodzielnie jako Towarzystwo Oszczędności i Zaliczek w Czeskim Cieszynie, z siedzibą przy ulicy Illicha (ob. Čapkova). W 1931 r. centrala towarzystwa została przeniesiona do wybudowanego przez siebie, przy wsparciu innych organizacji, polskiego „Domu Reprezentacyjnego”, który potem funkcjonował jako hotel „Polonia” oraz „Piaś”. Centrali w Czeskim Cieszynie podlegało sześć wcześniej powstałych filii, w okresie międzywojennym powstały dwie nowe: w Karwinie, założona w 1927 r. oraz w Dolnych Błędowicach (1929 r.). W latach 1929–33 działała też filia w Suchej Dolnej. Towarzystwo należało do prężnie rozwijającego się Związku Spółek Zarobkowych i Gospodarczych w Czeskim Cieszynie, które liczyło prawie 20 tysięcy członków. Przed II wojną światową Towarzystwo Oszczędności i Zaliczek w Czeskim Cieszynie miało prawie 4500 członków, osiągając, mimo przeważnie niesprzyjających warunków, znaczne zyski finansowe. W dużej mierze przeznaczano je na wspieranie spraw ważnych dla polskich mieszkańców Zaolzia.

Po włączeniu Zaolzia do Polski, w październiku 1938 r., Walne Zgromadzenia obu towarzystw w maju 1939 r. podjęło uchwałę o zjednoczeniu, a właściwie o powrocie do stanu wyjściowego. Trwało to jednak bardzo krótko. W 1939 r. Towarzystwo Oszczędności i Zaliczek z siedzibą w Cieszynie Zachodnim zostało przez okupantów hitlerowskich przemianowane na „Spar- und Vorschußvereine“ i oddane pod kierownictwo niemieckiego zarządcy. W 1945 r. Towarzystwo Oszczędności i Zaliczek w Czeskim Cieszynie wznowiło działalność, ale musiało jej zaprzestać w 1953 r.

Także w powojennej Polsce, która szybko stała się Polską Ludową, towarzystwo przeżywało niełatwe chwile. 16 grudnia 1945 r. podjęto decyzję o reaktywowaniu „Towarzystwa Oszczędności i Zaliczek Bank Spółdzielczy”, które rozpoczęło funkcjonowanie z dniem 1 stycznia 1946 r. w lokalu przy ulicy Menniczej 50. W 1947 r. doszło do połączenia towarzystwa ze Związkiem Spółek Rolniczych w Cieszynie. Udało się odzyskać pięć posiadanych przed wojną nieruchomości, problemem były natomiast rozliczenia z bankami centralnymi z tytułu przedwojennych pożyczek, obecnie nieściągalnych. Przede wszystkim jednak nowe, komunistyczne władze coraz mocniej decydowały o nie swoim majątku, narzucając spółdzielcom niechciane przez nich rozstrzygnięcia. W 1948 r. – po reformie prawa spółdzielczego – towarzystwo stało się bankiem z ograniczoną odpowiedzialnością pod nazwą Spółdzielnia Oszczędnościowo-Pożyczkowa, która działała pod nadzorem Związku Rewizyjnego Spółdzielni Rzeczpospolitej Polskiej. W 1949 r. nastąpiła kolejna zmiana nazwy na Gminną Kasę Spółdzielczą, do której podstawowych zadań należało udzielanie pożyczek właścicielom gospodarstw rolnych. Kasa straciła samodzielność i stała się najniższym szczeblem państwowego systemu bankowego, o którym decydowały komunistyczne władze. Jedynie w niewielkim stopniu zmieniały to podejmowane w latach politycznych przełomów reformy, np. w 1956 r., kiedy spółdzielnie oszczędnościowo-pożyczkowe otrzymały większy zakres kompetencji. Gminna Kasa Spółdzielcza stała się Kasą Spółdzielczą w Cieszynie, działającą

w składzie Związku Spółdzielni Oszczędnościowo-Pożyczkowych w Warszawie. W 1958 r. z okazji 75-lecia istnienia podjęto nawet uchwałę o przywróceniu pierwotnej nazwy. Pod nazwą „Towarzystwo Oszczędności i Zaliczek. Kasa Spółdzielcza w Cieszynie” bank funkcjonował do 1962 r., a od tego roku jako Bank Spółdzielczy w Cieszynie.

Mimo ubezwłasnowolnienia, Bank Spółdzielczy nadal wypełniał podstawowe cele, do jakich został powołany przed kilkudziesięciu laty, ułatwiając osobom potrzebującym uzyskanie względnie taniego kredytu, choć to już nie personel kasy ustalał jego warunki oraz zasady wewnętrznego funkcjonowania. Poza samym miastem, Kasa Spółdzielcza – potem Bank Spółdzielczy w Cieszynie, obejmowały swoim zasięgiem także sąsiednie gminy lub gromady: Hażlach, Ogrodzoną, Pastwiska, Pogwizdów i Puńców. Razem kilkanaście wsi. Bardzo dużą uwagę poświęcano promowaniu idei oszczędzania wśród młodzieży szkolnej, m.in. przez popieranie Szkolnych Kas Oszczędności. Przez cały czas Bank Spółdzielczy uzyskiwał dodatnie wskaźniki ekonomiczne, oceniany był z reguły jako jeden z najlepszych banków spółdzielczych w województwie. W latach 70. XX wieku liczba członków wynosiła ponad 2 tysiące.

Po politycznym zrywie w czasach „Solidarności” w 1982 r. uchwalono nowe prawo bankowe i prawo spółdzielcze, które zapoczątkowały starania o przywrócenie samorządnego charakteru banków spółdzielczych. Ostatecznie doszło do tego dopiero na podstawie ustawy z 20 stycznia 1990 r., która znosiła spółdzielcze związki wojewódzkie i centralne. Od wiosny 1990 r. Bank Spółdzielczy w Cieszynie jest jednostką samodzielną i samorządną. Na przestrzeni ostatnich lat możemy zaobserwować jego dynamiczny rozwój, który pozwala mu umacniać swoją pozycję na lokalnym rynku. Pozostając bankiem o wyłącznie polskim kapitale, służy mieszkańcom cieszyńskiego, podtrzymując historyczne tradycje Towarzystwa Oszczędności i Zaliczek w Cieszynie.

Bank Spółdzielczy w Cieszynie jest jedną z najdłużej działających instytucji bankowych w Polsce. Ma za sobą 140 lat nieprzerwanej działalności, choć pod różnymi nazwami i w różnych formach organizacyjnej działalności. Nie jest oczywiście możliwe nakreślenie na kilku stronach, nawet skrótowo, dziejów tak dużej i ważnej instytucji. W różnych momentach swego istnienia była ważnym elementem życia tysięcy osób, zarówno klientów, jak i pracowników. Niektórzy z nich pracowali w banku krótko, inni związali z nim całe swoje życie, a w tym szkicu nie zostali nawet wymienieni. Na kolejną rocznicę wskazane byłoby opracowanie solidnej monografii Banku Spółdzielczego. Należy się to dawnym i obecnym członkom Banku Spółdzielczego, a także tysiącom jego klientów.

ROZDZIAŁ 2

NASZA GMINA DAWNIEJ I DZIŚ

RYCERZE XX WIEKU NA CZANTORII (WSPOMNIENIA UCZESTNIKÓW BITWY)

FRANCISZEK GIECEK

Pierwszy, prawdopodobnie, o tragicznej walce na Czantorii napisał i zamieścił w kalendarzu „Głos Ludu” na rok 1947 pięciostronicowe opowiadanie pt. „Partyzanci u śpiących rycerzy w Czantorii”, Henryk Jasiczek, zaznaczając, że jest ono oparte na prawdziwych zdarzeniach i opisuje autentyczne osoby. 30 listopada 2013 r. obchodząc będziemy 70. rocznicę tragicznej bitwy małej grupy partyzanckiej „Czantoria” z kilkusetosobowym oddziałem wroga, złożonym z policjantów, żandarmów i żołnierzy Wehrmachtu. Po tej nierównej i tragicznej walce zginęli wszyscy znajdujący się w bunkrze: dowódca – Klemens Starzyk (ps. Szpak) i Jan Bujok (ps. Jawor) z Ustronia, Alojzy Badura (ps. Tobiasz) z Chorzowa, Jan Polok (ps. Lis) i Jan Pytel (ps. Góra) z Nydku, zaś śmiertelnie ranny Paweł Śliż (ps. Czarny) zmarł na drugi dzień w trzynieckim szpitalu. Prochy ich spoczywają na cmentarzu ewangelickim w Nydku.

O oddziale partyzanckim „Czantoria” napisano już wiele artykułów oraz opracowań historycznych, ale mimo to, jeszcze bardzo mało wiemy o jego działaniach oraz tworzących go ludziach. Musimy pamiętać, że na nas spoczywa obowiązek przekazania następnemu pokoleniu prawdy o okrucieństwie faszyzmu hitlerowskiego, a tym samym niedopuszczenia do powtórzenia krzywd, jakie wyrządził on okupowanym narodom. Do rozważań tych zmobilizowały mnie dwie kwestie:

1. potrzeba niedopuszczenia do zatarcia pamięci o tym tragicznym zdarzeniu, zwłaszcza w obliczu zbliżającej się 70. rocznicy,
2. przedstawienie bezpośrednich uczestników tych wydarzeń, którzy przeżyli tragiczną bitwę, zaś ich relacje można uzupełnić o wspomnienia Marii Łukosz, córki dowódcy grupy – Klemensa Starzyka.

Przypomnieć w tym miejscu należy, że od 1942 roku uaktywniła się w Beskidach partyzantka, rekrutująca się z szeregów zbiegów politycznych, dezertersów z armii niemieckiej

(miejscowego pochodzenia) oraz uciekinierów z przymusowych robót. Początki oddziału „Czantoria” sięgają 1940 roku, kiedy to na zboczach Wielkiej i Małej Czantorii zaczęli pojawiać się pierwsi partyzanci. W latach 1941–1942 zaczęła stopniowo formować się grupa pod dowództwem Karola Schreiberera (ps. Jastrząb), wchodząca w skład Armii Krajowej. Oddział liczył ponad 20 członków i tyłuż łączników oraz współpracowników

Ze wspomnień Marii Łukosz dowiadujemy się, że jej ojciec – pracownik kuźni, działacz „Siły” oraz sympatyk PPS (po wybuchu wojny aktywnej), współorganizował pomoc dla pracowników prześladowanych przez Niemców. Został aresztowany w 1941 roku i przewieziony do więzienia w Cieszynie. 23 grudnia 1942 roku, przy współpracy ze strażnikiem więziennym, w czasie transportu współwięźnia do pobliskiego szpitala, podczas pobytu w izbie przyjęć udało mu się zbiec. Postanowił udać się wówczas do domu, by zobaczyć swą rodzinę, szczególnie zaś syna Jana, który narodził się po jego aresztowaniu. By nie narażać bliskich na prześladowania, opuścił jednak dom i udał się pod Czantorię, by dołączyć do partyzantów, przez których został radośnie przyjęty. Obrany został ich dowódcą.

Podczas tragicznej walki czterem partyzantom udało się przebić przez pierścień obławy i ocalić swe życie. Grupa ta miała za zadanie osłaniać odwrót oddziału. Wiedząc, że sytuacja jest beznadziejna, postanowili się wycofać po drodze zabijając dwa policyjne psy. Byli to: Jan Madzia (ps. Listek) z Nydku, Józef Pieter (ps. Bem) z Wędryni, Paweł Łamacz (ps. Dąb) z Nydku i Jan Klancznik (ps. Jarząbek) ze Skoczowa.

Jak relacjonuje w swych powojennych wspomnieniach Jan Madzia¹, jesień 1943 roku była piękna, sucha i ciepła. Oddział do połowy listopada, w liczbie 12 osób, czynił przygotowania do zimy. Uznano, że bunkier – pomieszczenie o wymiarach 3x3 m – nie może pomieścić całej grupy przez okres zimowy. Postanowiono się rozdzielić na dwa oddziały. Doszło do tego ok. 14 listopada, a łącznikiem między nimi miał być gajowy Prokop. 20 listopada spadł śnieg, którego warstwa sięgała 30 cm, tak iż partyzanci musieli uważać, by nie zostawiać śladów. 26 listopada, w nocy, grupa ustronńska powróciła, gdyż miejsce jej pobytu zostało zdradzone. Po dyskusji wspólnie podjęto decyzję o budowie drugiego pomieszczenia. Ziemiarki kopano tylko pod osłoną nocy. 30 listopada planowano zakończyć budowę. W godzinach między 14.00 a 15.00 na warcie stali Tobiasz i Dąb. Około 15.00 przybiegł Tobiasz (Alojzy Badura) i zameldował, że z dołu i z boków zbliża się tyraliera. Dowódca Szpak wydał rozkaz, by pobrać broń i wycofać się. Nagle na wzgórzu pojawił się zielony żandarm, z dwukrotnym okrzykiem „bunkier”. Dostrzegł go Szpak i natychmiast do niego strzelił, ten osunął się na ziemię. Ogłoszono alarm. Wszystkie jednostki obławy kierować zaczęły się na bunkier, który został obrzucony granatami (zginęli wówczas wymienieni wyżej partyzanci), po czym nastąpiła cisza. Zabici, jeszcze wieczorem, przewiezieni zostali do kaplicy ewangelickiej w Nydku, gdzie z ciała usunięto złote zęby i pierścionki, a następnie, rozebrane do połowy, wystawiono przez dwa dni na widok publiczny, celem rozpoznania. Kolejnego dnia, nie odzyskawszy przytomności, w szpitalu zmarł Czarny (Śliż). Informacje te, Jan Madzia uzyskał od swojego teścia, który był miejscowym, grabarzem. Po dwóch dniach, wspólnie z uczniem Ruckim, którego brata Stanisława stracono w Nawisu, musieli wykopać zbiorową mogiłę na

¹ Jan Madzia – zanim dotarł do oddziału pod Czantorią został aresztowany w hucie trzynieckiej i podczas transportu do więzienia w Cieszynie uciekł z dworca kolejowego w Trzyńcu. Kajdanki pomógł mu zdjąć Jan Pilch, zamieszkały w pobliżu bunkra partyzantów.

cmentarzu w Nydku. W miejscu tym, po wojnie, Bem i Listek, przy pomocy lokalnych władz postawili skromny nagrobek z tablicą pamiątkową, zaś tam, gdzie stał bunkier, po polskiej stronie, ZBOWiD, wraz z harcerzami wznosił pomnik. W swych wspomnieniach Jan Madzia wymienia, że ocaleni spotkali się wieczorem w punkcie zbiorczym u Jana Pilcha (Nydek 160). Gospodarstwo jego leżało na skraju lasu, na górze (ok. 700 m n.p.m.). Człowiek ten, jako antyfaszysta, udzielał partyzantom wszelkiej pomocy, od naprawy broni, po reperowanie butów. Tam też, po tragicznej bitwie członkowie grupy dowiedzieli się o ofiarach wśród partyzantów i ze strony Niemców. Ci ostatni stracili czterech, pięciu zostało rannych. Byli również zabici, po których wysłano na Czantorię wozy konne. W całej akcji, jak obliczono, brało udział około 200 Niemców.

Wśród pozostałych przy życiu czterech mieszkańców bunkra (prochy pozostałych spoczywają na cmentarzu w Nydku) był Józef Pieter (ps. Bem) z Wędryni. Urodził się on 3 września 1925 roku. Był synem zaangażowanej w ruch oporu Marii Pieter, siostry działacza ludowego Jerzego Wiselki. Bem, mając 17 lat, należał już do oddziału Czantoria. Jak napisał w swych wspomnieniach, partyzanci musieli zdobywać broń rozbrajając patrole niemieckie, służbę leśną lub pojedynczych żołnierzy. Z biegiem czasu stali się oni dla okupantów coraz bardziej uciążliwi, w związku z czym zaczęto organizować na nich obławy. Odbywały się one prawie co niedzielę. Nie przynosiły jednak oczekiwanych wyników. Nie udało się mimo to uniknąć drobnych potyczek z patrolami policji niemieckiej, która zawsze ponosiła większe straty, utrzymywane w tajemnicy przed ludnością. Ranni, a nawet ofiary śmiertelne, trafiały się i po naszej stronie. Wynikała z tego konieczność leczenia poszkodowanych (operacje, lekarstwa). Pomocy w takich sytuacjach udzielali lekarze: Paździora z Goleszowa, Mazurek z Bystrzycy i Soroka z Trzyńca.

Powróćmy jednak do tragicznej bitwy z 30 listopada 1943 roku. W obławie brało udział przeszło 200 hitlerowców. Zaatakowano bunkier, którego lokalizację zdradzili dwaj robotnicy leśni z Lesznej Górnej, w wyniku czego zginęło sześciu partyzantów. Jeden ze zdrajców zaraz po bitwie wyjechał z Lesznej (prawdopodobnie na front wschodni) i nigdy już tam nie powrócił. Drugi, pod koniec wojny, został przez pozostałych przy życiu partyzantów „rozliczony”, a po wojnie aresztowany przez władze i osądzony. Zmarł w Lesznej ok. 1964 roku.

W dalszych wspomnieniach Bem napisał, że czterem partyzantom udało się przebić przez kordon policji:

Jarząbek i ja (Bem) przebijamy się w kierunku szczytu Małej Czantorii, zaś Listek i Dąb w kierunku Nydku. Pod szczytem Małej Czantorii zostają napadnięci przez patrol policji, zaś ja musiałem stoczyć walkę z psem policyjnym używając noża, gdyż broni nie używałem, by nie zdradzić swojego miejsca i ściągnąć na siebie policji. Pod Małą Czantorią rozdzielamy się z Jarząbkim. Jarząbek udaje się w kierunku Tułu, a ja w kierunku Stożka.

Bem czynił starania o kontakt z innymi partyzantami, nie udało mu się go jednak nawiązać. Ukrywał się w krzakach między Czantorią a Równicą. Wieczorem nad Wisłą napotkał samotnego policjanta, którego rozbroił i związał. Przy przesłuchaniu powiedział on, że został tu czasowo ściągnięty z Pszczyny, a zapytany o zabitych z bunkra, stwierdził, że gestapowcy kazali ciągnąć za nogę ciężko rannego, pod sam las do Nydku, odwiezionego następnie do szpitala. Powiedział też, że straty po stronie Niemców wyniosły 24 zabitych i 38 rannych, lecz nie



Pomnik w Cisownicy

wiadomo, czy ich nie zawyżył. Jeniec został puszczonej wolno, bez broni, zaś sam Bem dalej poszukiwał kontaktów z żołnierzami podziemia. Czynił to w okolicy Baranej Góry, Istebnej u Cieślarów, Kamesznicy, Milówki, Zwardonia, Babiej Góry. Zbliżały się śnieżne i mroźne święta Bożego Narodzenia. Ukrywał się w chlewie w okolicach Rajczy – Zwardonia. 24 grudnia o godz. 16.00 został nakryty przez policję. Na posterunku pytano go o dokumenty, a że ich nie posiadał,

podał, że nazywa się Józef Bem, jest sierotą z Żywca i chodzi po okolicy, szukając pracy. Przewieziono go na Gestapo do Żywca, gdzie, mimo tortur, nic więcej nie powiedział. Bema zaczęto obwozić po okolicznych wioskach celem rozpoznania. Był duży mróz. Partyzanta przywiązano łańcuchem do samochodu, bito, kopano do utraty przytomności. Uratował go partyzant radziecki, który po czterodniowej wędrówce, zaprowadził go do szpitala polowego (bunkra). Bem przebywał w nim przeszło 3 miesiące, po czym przeprowadził grupę radzieckich partyzantów w Beskidy. Po powrocie do Nydku ukrywał się nadal, zaś lekarz Paździora podczas odwiedzin w kryjówce leczył go z odmrożeń. Odzyskawszy zdrowie, Bem ponownie włączył się w działalność ruchu oporu. W lipcu 1944 roku nawiązał kontakt z oddziałem Salema, z dawnej grupy „Życie albo grób”. Stoczyła ona kilka starć m. in. w Goleszowie, pod Chełmem i w Cisownicy. W nocy z 16 na 17 lutego, w okolicach Brennej został ranny od wybuchu granatu i około miesiąca leżał tam w bunkrze, skąd powrócił do Lesznej. Pomocy udzielił mu znów lekarz Paździora z Goleszowa. Po wojnie nadal leczył się u niego – jemu też zawdzięczał powrót do zdrowia. W grudniu 1947 roku rozpoczął służbę w armii czechosłowackiej, którą zakończył po dwóch latach. Za zasługi w okresie wojny otrzymał odznaczenia polskie i czechosłowackie. Uzyskał również awans na wyższy stopień wojskowy. Odszkodowanie, które mu przysługiwało polecił przekazać dla wdów i sierot po poległych partyzantach i więźniach. W 1949 roku rozpoczął pracę w hucie trzynieckiej – najpierw w ślusarni, a potem walcowni. Żonaty, ma trzech synów. We wspomnieniach napisał:

„Wspominając lata okupacji nie chcę robić z siebie bohatera, ale chciałbym, żeby nasza młodzież dowiedziała się o okrucieństwach faszyzmu hitlerowskiego, żeby nasze dzieci i dalsze pokolenia nie doznały już nigdy takich krzywd, jakie okupowanym narodom wyrządziły faszystowskie Niemcy”.

Źródła:

Pisemne wspomnienia Jana Madzi ps. Listek.

Pisemne wspomnienia Józefa Pietra ps. Bem (opublikowane w nr 6, 7, 8 i 9 miesięcznika „Zwrot” z 1968 roku).

Ustne wspomnienia Marii Łukosz – córki Klemensa Starzyka ps. Szpak.

Opracowano w przeddzień tragicznej bitwy partyzantów oddziału Czantoria.

105-LECIE OCHOTNICZEJ STRAŻY POŻARNEJ W CISOWNICY

BOGUSŁAW KONECKI

Dzień 16 lutego 1908 roku zapisał się w szczególny sposób w historii Cisownicy. W tym właśnie dniu zwołane zostało pierwsze zebranie, na które przybyło 30 mieszkańców Małej i Wielkiej Cisownicy w celu powołania Ochotniczej Straży Pożarnej. Wydarzenie to poprzedzone było opracowaniem statutu (15 października 1907 roku) oraz jego zatwierdzeniem dokładnie miesiąc później w Opawie. Pierwszym naczelnikiem wybrany został kierownik szkoły Jan Ożana, a w skład zarządu weszli: Paweł Kubok, Jan Kłoda, Jerzy Krzok, Jan Hiner, Paweł Kowala, Salamon Wechsberg, Jan Lanc, Paweł Myrmus. Jak wynika z protokołów, dzięki zaangażowaniu i zdyscyplinowaniu założycieli oraz członków OSP, jej działalność była bardzo prężna. Jeszcze w 1908 roku strażacy wybudowali małą strażnicę i zakupili wóz konny z ręczną pompą, który wykorzystywany był także po drugiej wojnie światowej. W 1932 roku zakupiono pierwszą motopompę, która służyła strażakom aż do 1966 roku.

Chociaż oficjalne powstanie Ochotniczej Straży Pożarnej w Cisownicy wiąże się z rokiem 1908, to we wcześniejszych dokumentach istnieją wzmianki dotyczące straży pożarnej. Już w 1885 roku ówczesny kierownik szkoły powszechnej Jan Ożana założył w Cisownicy straż ogniową. Czternaście lat później, po święcie żniw, w poniedziałek 2 października 1899 roku w Goleszowie wybuchł groźny pożar podszyty wiatrem, obejmujący swym zasięgiem całe centrum gminy. Spłonęły 22 gospodarstwa – w sumie 60 obiektów: domy mieszkalne, stajnie, stodoły i inne zabudowania wraz z całymi zbiorami. W ślad za tym wydarzeniem w Goleszowie i innych gminach przystąpiono do organizowania straży ogniowych. 22 grudnia 1899 roku, na posiedzeniu wydziału gminnego opracowano porządek na wypadek pożaru w gminie Wielkiej i Małej Cisownicy. Porządek ten przedstawiał się następująco:

1. Gmina Wielka i Mała Cisownica będzie ponosiła koszty mogące powstać z powodu pożarów dla straży ogniowej albo osób czyniących usługi przy ratunku pożarowym jak w punkcie 7 wyszczególnionym jest.
2. Podczas pożaru powinien każdy usłuchać nakazów przełożonego gminy lub jego zastępcy.
3. Właściciele koni zobowiązani są natychmiast dostarczyć zaprzęgu koni do przewiezienia narzędzi i sprzętów potrzebnych do gaszenia.
4. Właściciele beczki na wodę lub gnojówkę powinni stawić się na miejsce pożaru w jak najkrótszym czasie i dowozić wodę potrzebną do gaszenia.
5. Wszystkie osoby zdadne do jakichkolwiek usług przy ratunku podczas pożaru zaprasza się, żeby zgłosiły się u przełożonego gminy do tychże usług.
6. Od czasu do czasu ogłosi się spis ochotników do ratunku podczas pożaru.

7. Wynagrody za usługi przy pożarach otrzymują na żądanie:
- a) właściciele koni za dostarczone zaprzęgi podług czasu spędzonego i oddalenia miejsca pożaru od 1 zł reńskiego do 2 zł reńskich podług uznania,
 - b) osoby inne biorące udział w ratunku podczas pożaru 20 do 30 koron na dzień lub noc,
 - c) wynagrody za poniesione szkody na rzeczach używanych przy ratunku nie otrzyma żaden od gminy,
 - d) kto by się wzbraniał nieść pomoc w nieszczęściu pożaru zostanie ukarany do 10 zł reńskich albo aresztem do 48 godzin.

Pierwsze, po zakończeniu II wojny światowej, Walne Zebranie odbyło się 8 lipca 1945 roku. Wybrano Zarząd w składzie: Ludwik Sikora, Michał Sikora, Rudolf Mach, Jan Fober, Paweł Miech, Karol Gluza. Po wznowieniu działalności członkowie OSP w Cisownicy nie szczędzili czasu ani sił działając na rzecz jednostki. W 1954 roku jednostka wzbogaciła się o samochód bojowy, a w 1966 r. o motopompę M-800. Na podstawie osiągniętych wyników, OSP w Cisownicy została uznana w 1997 roku przez Zarząd Gminny za jedną z trzech, obok Golezowa i Puńcowa, wiodących jednostek na terenie gminy. W ślad za wynikami szło doposażenie w sprzęt bojowy. W listopadzie 1996 roku OSP Cisownica otrzymała motopompę Honda, a w lutym 1997 wycofany z użytkowania przez Państwową Straż Pożarną samochód pożarniczy STAR 244 (rok prod. 1986) z autopompą i zbiornikiem wody o poj. 2,5 tys. litrów. Po otrzymaniu drugiego samochodu marki Żuk, OSP w Cisownicy została zaszeregowana do jednostek typu S-2. Dużym wyróżnieniem, będącym zarazem mobilizacją do ciągłego doskonalenia umiejętności i sprawności działania, było włączenie w kwietniu 2002 roku do Krajowego Systemu Ratowniczo-Gaśniczego.

Osobny rozdział w dziejach cisownickiej jednostki stanowi budowa nowej remizy. Dotychczasowy budynek nie spełniał podstawowych wymagań dotyczących dalszej działalności straży pożarnej. Przeprowadzane ciągle prace remontowe i konserwatorskie nie przynosiły spodziewanych efektów. Po wielu dyskusjach nad przyszłością cisownickiej OSP, w kwietniu 1997 roku zapadła decyzja o budowie nowej remizy. Z uwagi na konieczność zapewnienia finansowania tej inwestycji, prace rozpoczęły się w następnym roku. 28 sierpnia 1998 roku przystąpiono do wykopów pod fundamenty. Do końca tego roku wybudowano część operacyjną, tj. 2 garaże, kotłownię, umywalnię wraz z sanitariatami, świetlicę. Ogrom pracy wykonanej w tak krótkim czasie był możliwy dzięki postawie członków i sympatyków straży oraz wszystkich mieszkańców Cisownicy. W 1999 roku wykonano piętro wraz z pokryciem dachowym, instalacje, tynki. Dwa następne lata to prace wykończeniowe w górnej kondygnacji. Nowa remiza strażacka w Cisownicy została oddana do użytkowania 14.10.2001 r. Wartość robót według kosztorysu powykonawczego wyniosła 589 489,25 zł, z czego dotacje z Urzędu Gminy to 236 892,08 zł, zaś wkład własny OSP Cisownica 352 597,17 zł. Własne środki pochodziły z następujących źródeł: środki finansowe z oszczędności własnych, wkład pieniężny mieszkańców i firm z terenu Cisownicy oraz wkład pracy osób bezpośrednio zaangażowanych w budowę, wynoszący ponad 14 tysięcy roboczogodzin i 458 godzin pracy ciągników przy transporcie materiałów. Znaczący wkład w budowę remizy wnieśli: Zarząd

Wojewódzki ZOSP RP, Urząd Gminy w Goleszowie, Architekt J. Gross, Firma Budowlana Jochacy, Firma Budowlana Kawulok, Transhandel Cisownica, Tartak K.Szymański, Tartak Wałaski, Firma Budowlana Pabis, Szlifiernia Poloczek, Kamieniołom Leszna, RKS Goleszów, Kółko Rolnicze Cisownica, Koło Gospodyń Wiejskich Cisownica.

Wybudowana wspólnymi siłami mieszkańców Cisownicy remiza służy dziś nie tylko strażakom. Z pomieszczeń korzysta Kółko Rolnicze oraz Koło Gospodyń Wiejskich. Przy organizacji większych imprez (np. Dzień Matki) z sali korzysta miejscowe przedszkole. Co roku w maju organizowane jest dla przedszkolaków zwiedzanie remizy połączone z pokazem sprzętu bojowego oraz ćwiczenia z udziałem zastępów JRG Państwowej Straży Pożarnej. W 2008 roku OSP Cisownica obchodziła 100–lecie działalności. Z tej okazji mieszkańcy ufundowali swojej jednostce sztandar, który został wręczony podczas jubileuszowych uroczystości. Po roku 2008 OSP Cisownica ciągle się rozwija. Zarząd pozyskał nieodpłatnie od Państwowej Straży Pożarnej w Cieszynie uszkodzony samochód gaśniczy Renault Midliner. Po wyremontowaniu zastąpił on w 2010 roku Stara 244. Nowy samochód jest dumą cisownickich strażaków–ochotników. Środki finansowe na remont samochodu przekazali: Kółko Rolnicze w Cisownicy, Gmina Goleszów, OSP Goleszów. Wymagania stawiane strażakom są coraz większe, zarówno w kwestii wyszkolenia, jak i wyposażenia w specjalistyczny sprzęt. W latach 2010–2012 jednostka wyposażona została w następujący sprzęt ratowniczy: Torba R–1 wraz z zestawem do tlenoterapii i deską transportową, 2 aparaty do ochrony dróg oddechowych, ubrania ochronne. Wszystkie zmiany mają na celu przygotowanie strażaków–ochotników do niesienia pomocy w ciągle zmieniających się warunkach i zmagania się z nowymi zagrożeniami.

Jednostką kieruje Zarząd w składzie: Jarosław Sztwiertnia – prezes, Jan Kiswa – naczelnik, Andrzej Kohut – zastępca naczelnika, Jan Malec – skarbnik, Andrzej Jakubik – sekretarz, Jan Gluza – gospodarz.

Bibliografia:

1. Protokoły Ochotniczej Straży Pożarnej w Cisownicy.
2. Ochotnicza Straż Pożarna w Cisownicy – rys historyczny autorstwa Józefa Waszuta.

ZABOBONY, MAGIA... A MOŻE LUDOWA MĄDROŚĆ?

LIDIA LANKOCZ

Dwudziesty pierwszy wiek, era techniki i technologii, które w ubiegłym stuleciu tylko niewiele osób urzeczywistniało w swoich najbardziej futurystycznych wizjach. Internetowy dostęp do wiedzy praktycznie z każdej dziedziny. Dostęp do opublikowanych wyników wieloletnich naukowych badań, a mimo to z każdej strony bombardowani jesteśmy anonsami wrózek, wróżbitów i jasnovidzów. Nasuwa się wiele pytań. Obecnie na ogół jesteśmy bardzo sceptyczni i nie wierzymy w cuda ani zabobony. Współczesny człowiek woli twardo stąpać po ziemi i mieć poczucie bezgranicznego panowania nad całą otaczającą go rzeczywistością. Nie wierzymy w boskie istoty władające wichrami, wodami, burzami i grzmotami, które jak się zdenerwują, to ciskają ognistymi piorunami. Powszechnie bowiem wiadomo, że powodem tych zjawisk są zwykle wyładowania atmosferyczne. Są czymś zupełnie naturalnym i normalnym. Ich występowanie, nasilenie i częstość zaistnienia zależą od warunków atmosferycznych i uwarunkowań klimatycznych, a nie od kaprysu istoty nadprzyrodzonej. No, niby tak, ale... ilu z tych sceptyków, ufających jedynie własnemu rozumowi, w czasie wielkiej nawałnicy z grzmotami i piorunami nie wykonało gestu przeżegnania się lub nie wypowiedziało, często zupełnie nieoczekiwanie, słów „o Boże”? To właściwie, jak to jest? Kto tak naprawdę włada tymi piorunami? Człowiek wierzący nie będzie miał problemu z odpowiedzią na tak postawione pytanie, ale pewnie zastanawia się nad funkcjonowaniem przejawów dawnej kultury tradycyjnej we współczesnym świecie.

W dawnej kulturze ludowej widzenie świata było nieco inne. Głównie miało charakter magiczno-mityczny i ściśle było związane z systemem wartości. Aby zrozumieć zachodzące procesy i wzajemne relacje pomiędzy poszczególnymi ich etapami, musimy poznać myślenie ówczesnego człowieka, jego wizję stworzenia świata i antropocentryczność. Według pradawnego mitu, który mimo drobnych różnic, powtarza się w wielu przekazach dawnych kultur, między innymi Słowian, Świat stworzony został za przyczynkiem boskim. W wielkim skrócie wyglądało to mniej więcej tak:

Na początku była tylko woda, a Bóg pływał sobie po niej na swojej łodzi. Pewnego razu napotkał diabła, który znudzony tym ciągłym pływaniem poprosił Boga o kawałek suchej ziemi, aby mogli oboje odpocząć. Bóg wysłuchał prośby i wysłał diabła w głębiny, aby ten w jego imieniu przyniósł mu z dna garść piasku. Już wtedy diabeł wykazywał skłonności do nieuczciwych praktyk i zazdrości, nabierając więc garść piasku powiedział, że bierze ją w imieniu własnym. Kiedy wypłynął na powierzchnię, piasku w jego dłoniach nie było. Coraz większa złość budziła się w czercie, ale popłynął jeszcze raz. Tym razem zrobił tak, jak rozkazał mu Bóg. Kiedy wypłynął na powierzchnię, piasek w jego dłoniach pozostał. Bóg wziął piasek i rozsypał go po falach. Z piasku powstał suchy kawałek lądu, na którym mieścił się Bóg i diabeł. Oboje położyli się obok siebie. Kiedy Bóg zasnął, zazdrosny diabeł postanowił zepchnąć Boga w głębiny. Jednak za każdym razem, kiedy Bóg już miał wpadać w otchłań, suchy ląd się pod nim powiększał. Diabeł przesuwał Boga na wschód i zachód,

na północ i południe, ale ziemia pod nim się tylko powiększała. W pewnym momencie Bóg się obudził i odkrył nieczne zamiary diabła. Ziemia jednak była już tak duża, że Bóg postanowił stworzyć na niej życie. Zaś zazdrosny i złośliwy diabeł utrudniał, jak tylko mógł realizację zamysłu Boga i na każde jego stworzenie, odpowiadał swoim. Dlatego, kiedy Bóg stworzył pożyteczną pszczołę, diabeł stworzył osę itd.

Zgodnie z transmisją tradycji, mit ten krążył w przekazach ustnych i ulegał różnym przekształceniom. Wraz z nadejściem chrześcijaństwa stworzenie świata zobrazowała Księga Rodzaju, jednak dawne ludowe myślenie trudno było tak od razu wyeliminować. Według ówczesnego rozumowania, wszystkie zło na tym świecie było dziełem diabła. Dualizm świata w kulturze ludowej rozumiany był bardzo prosto – dobro i zło – białe i czarne. Dobro to Bóg – białe to boskie, zło to diabeł, a czarne to diabelskie, szatańskie. Bóg robi wszystko, aby człowiekowi pomóc, a diabeł wszystko, by mu zaszkodzić. W pośrodku tych dwóch skrajności odnaleźć musiał się człowiek. Jego poziom wiedzy o wszechświecie i zjawiskach w nim zachodzących, w relacji do ówczesnych możliwości, był raczej niewielki. Człowiek musiał sobie jednak jakoś radzić. Panowanie nad wszystkim i podporządkowanie sobie całości, nakazywała mu jego antropocentryczna wizja wszechświata. Według niej człowiek stanowił jego centrum i cel. Pozycja człowieka była bardzo silnie umocowana w ludzkiej perspektywie zjawisk, zwłaszcza z jego punktu odbioru. Budował więc własną kosmogonię, która pomagała mu, zgodnie z jego myśleniem, zapewnić trwanie i bezpieczeństwo. Ów dualizm kategoryzował świat i myślenie w kulturze ludowej w jeszcze jednej bardzo ważnej w naszych rozważaniach kwestii, a mianowicie sacrum i profanum. Biorąc pokrótce, sacrum (z łac. sfera świętości), to coś związane ze świętością, uduchowieniem. Może być miejscem, narzędziem, myślą – wszystkim wokół czego koncentrują się wierzenia i obrzędy, praktyki religijne. Sacrum skupia w sobie to, co jest istotą wartościowego życia. Przeciwnością tego jest profanum – tak zwana sfera świecka, czyli wszystko to, co ludzkie. W sferze tej odbywa się ogół codziennych wydarzeń z życia człowieka. Połączeniem obu sfer była granica. Dlatego odgrywała tak bardzo ważną rolę w tradycyjnej kulturze ludowej. Owa granica to nie było tylko jakieś miejsce, symboliczna linia. Granicą mogła być też konkretna przestrzeń czasowa. Sacrum, to nie tylko miejsce święte czy poświęcone, przykładowo kościół, ale każde miejsce, które człowiek dla siebie, dla zaspokojenia swoich potrzeb, powiedzmy *uświęcił*. Zawsze obok sacrum istniało profanum i odwrotnie. To, że coś uznawane było za sacrum, poznawało się po tym, że wokół tego czegoś było profanum i vice versa. Przykładem takiego usankcjonowania przez człowieka sacrum był dom. Wszystko wokół niego było profanum. Granicę stanowiły okna, komin i próg domu. Dlatego z nimi, a zwłaszcza z drzwiami i progiem związanych było tyle ludowych wierzeń. Przykładem może być chociażby obawa przed podawaniem komuś ręki przez próg lub przy wyprowadzaniu zwłok, uderzanie o próg trumną ze zmarłym. To, co uważano za sacrum było rzeczą względną. Owo profanum zaczynające się za progiem domu, stawało się sacrum, kiedy brano pod uwagę obszar całej wsi. Wtedy granice wyznaczały rogatki. Najczęściej w tych właśnie miejscach stawiano kapliczki, aby te ochraniały wieś przed przybyszami z zewnątrz, czyli obcymi. W myśleniu wiejskiego ludu sacrum było czymś dobrym, zapewniającym dostatek i bezpieczeństwo. Tam nie mogło spotkać człowieka nic złego, no chyba, że sam sobie był winien, a zdarzało się to wtedy, kiedy nie przestrzegał ogólnie przyjętych zasad.

Poza sacrum, czyli w profanum, czyhało zło, a wejście w taki obszar niosło ze sobą zawsze zagrożenie. Kojarzono było z niebezpieczeństwem, budziło strach i niepewność. Uważano, że w takim obszarze, przestrzeni czy czasie przebywają zbłąkane dusze, czyhają złe moce i nic nie podlega ustalonemu porządkowi. Nasuwa się prosta, acz nie całkowita analogia: to, co człowiek potrafił poznać, zrozumieć i *oswoić*, z czym czuł się dobrze i bezpiecznie, to było dla niego sacrum, zaś to, nad czym nie mógł zapanować, co budziło lęk i grozę, to kategoryzował jako profanum. Jednak jego antropocentryczna wizja świata nakazywała mu etnocentryzm i podporządkowanie sobie, przynajmniej w teorii, wszystkich zjawisk, rzeczy i istot tu na tym ziemskim świecie.

Budował koncepcje, które miały mu w tym pomóc. Dom dawał poczucie bezpieczeństwa, bo od samego jego początku kształtowany był właśnie w tym celu. Starannie najpierw wybierano miejsce, które musiało być czyste, pozbawione jakichkolwiek obciążeń związanych z siłami nadprzyrodzonymi. Znaczyć to mogło, że przykładowo nie mógł w tym miejscu nikt zginąć lub być pochowany (dawniej osoby, które np. odbierały sobie życie chowane były w różnych miejscach). Dom musiał być stosownie ukierunkowany, a w odpowiednich miejscach: pod oknami, pod progiem, na belkach umieszczano przedmioty lub znaki, które miały zapewnić dostatek i bezpieczeństwo. Przed wprowadzeniem się do nowo wybudowanego domu, wpuszczano do niego najpierw jakieś zwierzątko, zazwyczaj kurę, aby ściągnęło na siebie wszystkie złe moce. Dopiero wtedy można było w takim domu z ufnością zamieszkać.

W czasach przedchrześcijańskich uważano, że dom chronią dobre duszki mieszkające pod progiem, a w późniejszym okresie jego ochronę dopełniał *święty kąt* (*miejsce, gdzie wisił święty obraz, stała woda święcona, gromnice lub elementy obrzędowych rytuałów przyniesione z kościoła, którymi mogły być przykładowo wielkanocne święconki lub gałązki z ółtarzy na Boże Ciało*) albo stół, który w dawnej kulturze miał szczególne znaczenie (*w czasach pogańskich ze względu na ofiary na nim składane, później ze względów religijnych – pamiątka ostatniej wieczerzy – na nim spoczywał chleb–ciało i wino–krew Boga*). Dawniej stół traktowano jak sacrum – miejsce poświęcone. Na co dzień posiłki spożywano przy ławach. Przy stole zasiadano tylko podczas świąt i wigilijnej kolacji. Jedynym trudnym do *oswojenia* miejscem w domu był komin. Stałe, otwarte połączenie z profanum stanowiło zagrożenie. Tą drogą mogły *przywędrować* zagubione dusze czy istoty pozaziemskie, wszystkie klasyfikowane jako *obce*. Z pomocą człowiekowi przychodził ogień. Tak, jak inne żywioły w kulturze ludowej postrzegany był ambiwalentnie. Z jednej strony dawał ciepło, bezpieczeństwo, życie, z drugiej był niszczycielski, zwodniczy, niebezpieczny. Płonący ogień odstraszał złe moce i miał moc oczyszczającą. Rozjaśniał ciemności nocy i rozświetlał obszar, przez co ten (podobnie jak dzień) stawał się domeną człowieka. Stanowił środek apotropaiczny (*mający według dawnych wierzeń własności magiczne, broniący przed złymi duchami, klęskami, chorobami, odpędzający zło*). Niestety jego dualistyczne właściwości nie zawsze zapewniały ochronę. Ogień kojarszony z mocami piekielnymi, atrybut diabła, stanowił niejako połączenie świata ludzi ze światem demonicznym. Kto zatem umiał go *poskromić*, w mniemaniu oczywiście ówczesnego wiejskiego ludu, przykładowo kowal czy później kominiarz, budził na wsi respekt, ale i cieszył się ogólnym szacunkiem. W większości jednak w przypadku ognia, wykorzystywana była jego pozytywna forma, dająca ciepło i oczyszczenie. Symbolika w dawnej

kulturze tradycyjnej stanowiła podstawę całej sfery sakralnej – duchowej, to zaś zaspokajało potrzeby egzystencjalne człowieka. Ona wyznaczała normy zachowań i kierunki ludzkich działań. Ważną informacją, umożliwiającą lepsze zrozumienie mechanizmu działania kultury ludowej, jest świadomość jej całkowitej funkcjonalności. Dawniej każda rzecz i każde działanie podparte musiało być odpowiednią funkcją. Co oznaczało, że nie tworzone czegoś tylko po to, aby było, ale głównie po to, aby do czegoś służyło. Przykładowo *galonka* – pas błyszczącego materiału, szerokości dłoni kobiety, przyszywany u dołu cieszyńskiej sukni. Obecnie powiedzielibyśmy, że służyła do ozdoby, czyli posiadała funkcję dekoratywną. Ta zaś stanowiła tylko dopełnienie. Zasadniczą jej funkcją była ochrona drogiego materiału, z którego uszyta była suknia. Tak samo funkcjonalizm ludowy tyczył sfery duchowej. W połączeniu z symboliką stawał się sposobem na rozwiązywanie problemów.

Jeżeli zatem według powyższych wzorców dokonamy analizy, wszystko zobaczymy w zupełnie innym świetle. Czym zatem są jeszcze dziś słyszane przestrogi w stylu: *wypluj to słowo, bo ściągniesz na siebie nieszczęście* albo *odpukaj w niemalowane, chwyć się za guzik na widok kominiarza – kominiarz przyniesie ci szczęście?* Czy to magia? Co oznacza tak często dziś słyszane określenie magii ludowej? Magia najczęściej kojarzy nam się z czarami, zaklęciami, urokami – czyli, z grubsza rzecz biorąc, z cudami, a w te trudno nam dziś już uwierzyć. Jednak, kiedy wspominając dawne czasy mówimy o magii, nikogo ona nie dziwi. Wydawać by się więc mogło, że dawniej na wsiach mieszkaly tylko same czarownice i wiedźmy, które zaklinały, czarowały i rzucały uroki. Niestety przyznać trzeba, że też się i takie zdarzały, ale sta-



Widowisko „Wiesieli goleszowski” – obrzęd oczepin (Młodemu Panu kładło się na głowę wiónek Młoduchy, jako symbol wzięcia na siebie całej odpowiedzialności i zabezpieczenia godnej egzystencji swojej przyszłej rodzinie) – Jubileusz 10-lecia ZPiT „Goleszów” rok 2003

nowiły bezwzględną mniejszość i tak samo jak obecnie, i w takich społecznościach postrzegane były negatywnie. Używając więc określenia magii ludowej mam raczej na myśli zachowania, słowa, formuły słowno-obrzędowe, których celem było dobro lub jego czynienie.

Jak wiemy, światopogląd prostego wiejskiego ludu był ograniczony, ale nie umniejszało to naturalnym zdolnościom intelektualnym człowieka i jego skłonności do logicznego myślenia. Może nie miał dostępu do akademickiej wiedzy jako takiej, ale był doskonałym obserwatorem. Zauważał cykliczność zjawisk, zmiany zachodzące w przyrodzie, w otaczającym go środowisku, umiał obserwować przyrodę i potrafił wyciągać konstruktywne wnioski.

Swoje ideologie tworzył na podstawie wieloletnich introspekcji i osobistych doświadczeń. Determinacja i antropocentryzm zmuszały go do tworzenia *mechanizmów obronnych*, pomocnych w radzeniu sobie z tym wszystkim, z czym musiał zmagać się w swym codziennym bytowaniu. Nie wszystko jednak udawało mu się sobie podporządkować. Największe obawy wywoływały rzeczy, które działy się niejako same z siebie, bez jego ingerencji (np. grzmot, pioruny, woda, wicher, choroby). Te zjawiska zagrażały jego poczuciu bezpieczeństwa, były dla niego obce, a jeśli obce, to odbierane w kategorii zła, a jak były złe, to były nie jego, więc były nie z tego świata. Z takimi zjawiskami nie mógł walczyć. Z góry stał na przegranej pozycji. Starał się więc je obłaskawić. Tu przychodziła mu z pomocą ta tak zwana magia.

Charakterystyczną cechą tradycyjnej kultury ludowej było myślenie magiczno-mityczne. Jeśli w ten sposób kojarzyć będziemy magię, to ta towarzyszyła dawnym społecznościom praktycznie stale. Pomagała im po prostu trwać, żyć i pokonywać codzienne trudności. Trzeba jednak pamiętać, że to nie było takie sobie *hokus-pokus* i pioruny przestawały uderzać, a niebo w momencie zajaśniało. Polegała ona głównie na zastosowaniu prostych czynności lub formuł słownych. Uważano bowiem, że *podobne czyni podobnym* albo, że rzeczy raz ze sobą zetknięte stale będą na siebie oddziaływały. Skoro bowiem w ziemię wkładało się jedno ziarenko, a z niego wyrastał cały kłos albo – weźmy przykładowo takie jajko – można go zjeść, a ono ma w sobie nowe życie, można go rozmnożyć. Czyż dla ówczesnego człowieka nie było to wystarczające, aby te i podobne zjawiska uznać za cud? Uważano, że w odpowiednich warunkach i czasie *podobne* może spowodować rozmnożenie, stworzenie *podobnego* albo uzdrowienie chorego lub uchronienie od zła, straty czy choroby. Wkładanie siekiery pod stół wigilijny miało zapewnić siłę i odporność na choroby domownikom, jajko symbolizowało zdrowie, płodność i obfitość, ze względu na swe właściwości i kształt traktowane było bardzo szczególnie. Nie bez powodu w święta wielkanocne, czyli w okresie wiosennego przesilenia, właśnie jajko odgrywało tak ważną rolę w wiejskiej obrzędowości. Według dawnych wierzeń w tym właśnie czasie ziemia budziła się po zimowym odpoczynku i szykowała swe pola do przyjęcia ziarna i wydania kolejnych plonów. Aby zabezpieczyć jak największy i najlepszy zdrowy plon, trzeba było odpowiednio ziemię do tego przygotować. Rytuał obrzędowy polegał głównie na wykonywaniu różnych czynności symbolicznie związanych z zapłodnieniem, nowym życiem, zdrowiem i obfitością. W trakcie oczepin, czyli znów w szczególnym dla młodej mężatki czasie, śpiewano pieśni, które nie tylko określały sposób i kierunek przyszłych działań, jako przyszłej gospodyni i matki, ale zawierały w sobie ową moc sprawczą, która miała zapewnić realizację i oczekiwany efekt – przykład: *Jak cie bedóm czepić spojrzj do powały, co by twoji dziecka czorne łoczka miały (dawniej sufity były zawsze osmolone-czarne); Jak cie bedóm czepić spojrzj do kumina, co by żeś piyrszego porodziła syna.* Takie i podobne praktyki przez J. G. Frazera (antropolog społeczny, filozof i historyk religii 1854–1941) nazwane zostały magią homeopatyczną lub wegetatywną. Dawne obsypywanie się w kościele owsem w dniu św. Szczepana, mające zapewnić obfitość przyszłych plonów, wkładanie pieniędzy pod obrus podczas wigilijnej kolacji mające zapewnić ich dostatek w nadchodzącym roku, witanie chlebem i solą nowożeńców mające uchronić ich w przyszłości od głodu, pieczenie na święta makowców (mak ze względu na swoją niepoliczalność miał zapewnić obfitość), wkładanie kawałeczka chleba, pieniążka i kartki z religijnej książki (Biblia, kancjonał, książeczka do nabożeństwa) do *krzyżówki* (becika) niemowlęcia przy chrzcie

mające zapewnić mu kolejno: obfitość pokarmu, dostatek pieniędzy i bycie religijnym, to tylko nieliczne jej przykłady. Niektóre z nich przetrwały do czasów obecnych. Dla J. G. Frazera były to pozostałości wierzeń przedchrześcijańskich, pradawnych kultur. Nasi przodkowie drogą transmisji zasymilowali część z nich i przystosowali do własnych potrzeb. Oczywiście nie rozpatrywali swoich zachowań w kategoriach magii. Magia ma jednak to do siebie, że jaka by nie była, stwarza wokół siebie aurę tajemniczości i uczucie nie do końca poznanej siły. Dawna wiara w powodzenie i zadziaływanie sprawiała, że nasi przodkowie choć w części czuli się bezpiecznie. Moc sprawczą przypisywali istocie boskiej. W okresie chrześcijaństwa była to tak zwana opatrność boska, która stale czuwała, a przez czynności lub wypowiedane słowa, uruchamiało się ów cały mechanizm. Uważano, że Bóg stale człowieka i cały wszechświat ochrania, a tylko wszędobylskie zło od mitycznego początku (jak w wyżej przytoczonym micie o stworzeniu świata) mogło zburzyć lub skomplikować ten ustalony porządek. Co roku jednak dobro wygrywało ze złem, światło zwyciężało mrok i wszystko powtarzało się od nowa. Cykle następowały stale w tej samej kolejności. Księżycy ubywało i przybywało, słońce zachodziło, ale rano znów się pojawiało, na zimę dzień się kurczył, ziemia zasypiała i odpoczywała, ale z wiosną dzień się robił coraz dłuższy, a ziemia budziła się i rodziła plony. Rok za rokiem, wiek za wiekiem. Mimo, że co roku od stworzenia świata cykle powtarzały się, nikt nie miał absolutnej pewności, że tak będzie następnym razem. Mógł przecież przyjść taki czas, że rankiem słońeczka by nie było albo ziemia po zimie by się nie obudziła. Starali się więc zadbać o najdrobniejszy szczegół, stworzyć warunki, aby taka ewentualność nigdy nie zaistniała. Skrupulatnie przekazywano w sposób naturalny z pokolenia na pokolenie wszelkie rady i społeczne *przykazania*. Nie tylko te o charakterze magicznym, ale i tak zwaną mądrość ludową. To ona edukowała młodego człowieka i często pomagała w wyborze odpowiedniej drogi. To ona określała normy zachowań i zasady uważane za wyznacznik moralności i dobrego wychowania. Ktoś, kto się nie chciał podporządkować, musiał liczyć się ze społeczną dezaprobata, a ta potrafiła być bardzo okrutna.

Wiele praktyk z zakresu ludowej mądrości przyporządkowano obecnie mianu zabobonu. Miały one jednak za zadanie stworzenie określonych warunków, aby te pociągnęły za sobą odpowiednie zachowania, a te z kolei zabezpieczyły odpowiednią, życiową potrzebę człowieka. Przykładowo, dawniej ciężarnej kobiecie zabraniało się wielu rzeczy, często nawet pod groźbą zniekształcenia, zeszczenia nienarodzonego jeszcze dziecka lub jego śmierci. Taka wizja skutecznie odbierała kobiecie ochotę na różne wybryki czy niedozwolone prace. To zaś skutkowało jej dobrym zdrowiem, a przez to i zdrowiem dziecka. Cel więc został osiągnięty, a ta, tak zwana ludowa mądrość, była tylko środkiem do osiągnięcia celu.

Człowiek poddawany był owej edukacji przy każdej okazji. Nawet małe dziecko wiedziało, że do piwnicy nie wolno mu wchodzić, bo tam *je bebok*. Wystarczyło pokazać dziecku wejście do pomieszczenia, skąd roztaczała się ciemność. Właściwie to nikt nie wiedział, kto to jest i jak wygląda *bebok*. Dziecko też nie pytało, ale wołało trzymać się z dala od piwnicy i innych niezbyt znanych, niekoniecznie ciemnych miejsc. *Bebok* przecież mógł być wszędzie, więc lepiej było się trzymać w bezpiecznej odległości. Był on również skutecznym lekarstwem na nieposłuszeństwo małych dzieci. Nawet największych twardzieli zniechęcała wizja spędzenia czasu w ciemnej piwnicy z *bebokym*. Na podobnej zasadzie funkcjonowały nocnice, sotóny czy *utopce*. Wizja bycia wciągniętym w odmęty przez zielonego stwora,

skutecznie zniechęcała do kąpeli w niedozwolonych miejscach, chodzenia wzdłuż niebezpiecznych brzegów wszelkiego rodzaju akwenów, a myśl o spotkaniu w lesie *nocznicy* rozbudzała wyobraźnię i zniechęcała do samotnych spacerów. Wszystko to miało ochraniać człowieka i dbać o jego zdrowie.

Były też i takie przypowieści, które pomagały zapamiętywać terminy okresowo wykonywanych czynności lub sposób ich wykonywania, mawiało się przykładowo, że *na Marcina dobro gynsina (młoda gospodyni wiedziała, że gęsi się bije na Marcina, ciekawe czy któraś z obecnych młodych gospodyń wiedziałaby dlaczego?)*, *na św. Roch mosz w stodole groch; siyj łowies w błoto bydziesz zbiyroł złoto albo soli nie przesolisz, kapusty nie przemaszisz*. Życie na wsi zdominowane było pracą na roli i w gospodarstwie, a te nierozzerwalnie związane były z cyklami przyrody. Wiedza na ten temat kształtowała się dziesiątkami lat i podparta była wieloletnimi obserwacjami i empirycznymi doświadczeniami (*Jak kukulka kuko w maju spodziywej się urodzaju; chłódny marzec ciepły maj, beje zboże jako gaj; kiedy na grómnice mróz, szykuj chłopie wóz, bydzie pogoda, bo jaskółki wysoko lotajóm; kohót pieje na zymy, czas się zmiyni*). Wbrew pozorom kultura ludowa była bardzo wartościowa, a z pozoru śmieszne lub określane jako zabobonne formuły, przy głębszej analizie wykazują wiele logicznej mądrości – oto kilka przykładów: *Jako stare woły ryczóm, tak się łód nich młode uczóm; Gdo na kogo wyrczy, tego mu Pan Bóg wstycrzy; Ni ma nic złego, co by na dobre nie wyszło; Gdo długo lygo, tego chlyb łodbiygo; Jak doł Pónbóczek krowiczke, to do i trowiczke; Kaj sóm garce ukidane, tam sóm dziełchy usmarkane; Kiej nie dosz krowie pod rogi, to ji nie siyngej miyndzy nogi*). To, że tworzył ją prosty lud, wcale nie oznacza, że głupi. Każde działanie i każdy wytwór miały swój określony cel, jakim było zaspokojenie potrzeby. To nie była sztuka dla sztuki. Bardzo ważna była wiara w to, co się robi. Całą tradycyjną obrzędowość i zwyczajowość podpierала bezgraniczna wiara w magiczno-mistyczne zapewnienie dobrobytu, zdrowia i bezpieczeństwa.

Dawniej wierzone w tak zwane okresy przejścia. Jeśli coś się kończyło, aby rozpocząć coś nowego musiało przejść przez taki właśnie czas. Zaliczano do nich cykle zachodzące w przyrodzie. Przykładowo przesilenia – zwłaszcza wiosenne, zimowe i letnie, dzień–noc, noc–dzień, samo południe dnia (*wtedy słońce zastęgało na moment w jednym miejscu – odpoczywało, aby podjąć dalszą wędrówkę ku zachodowi*), święta (zwłaszcza Godowe, Wielkanocne i Dzień Zmarłych – Wszystkich Świętych) i wiele innych. W życiu człowieka do najważniejszych zaliczano narodziny, chrzest, komunię, konfirmację, ślub i śmierć. Odmienność takiego czasu charakteryzowało wiele rzeczy. Cała noc, w ogóle ciemność, *zarezerwowana* była dla złych mocy. W naszym regionie uważano, że wtedy właśnie uaktywniają się *nocznice*, *sołóny* i inne negatywne postaci, które czyhają na nieposłusznego człowieka. Ból barku, kręgosłupa, kolan, duszności przypisywano właśnie im. Miała to być kara za włóczenie się po nocy (*Gdo chodzi po nocy szuko djobła ku pumocy*). Jeśli ktoś koniecznie musiał wyjść po zmroku, wychodził w towarzystwie, często z zapalonym ogniem. Wierzone, że w takim odmiennym okresie wszystko jest jakby na opak, zupełnie inaczej niż na co dzień, postawione jakby na głowie. Kiedy przychodził ten czas, wszystko ulegało zmianie, tworzył się bałagan – nic nie było w zgodzie z codziennym porządkiem, był ogólny chaos, a w chaosie wszystko się mogło zdarzyć.

Jeśli chodzi o tradycje obecnie, zwłaszcza związane z praktyką obrzędową, czyli o tak zwany żywy folklor, możemy mówić głównie o szczątkowych już jego formach, często wy-

rwanych z całościowego kontekstu. W gruncie rzeczy jedynie całościowa forma stanowiła dawniej wartościowy wydzwięk. Jeśli z całego kontekstu zdania wyrwiemy kilka słów, otrzymamy podobny efekt. Takie zabiegi często zmieniają zupełnie znaczenie całej wypowiedzi. Z tradycją jest podobnie, mimo że jej charakterystyczną cechą jest jej wariantowość. Ta zaś oznacza, że dopuszczalne są zmiany i różnice. Są one nawet wskazane! Jest to bowiem naturalna kolej rzeczy, ale owe zmiany dotyczyć mogą tylko rzeczy niejako niezwiązanych bezpośrednio z tradycyjną formą (przykład: *przez lata mogła ulegać zmianom, zgodnie z panującą modą, przykładowo długość cieszyńskiej sukni – midi, maxi, ale nigdy nie zmienił się jej pierwotny krój, który miał swoje określone funkcje, czyli był niejako osadzony w tradycji*). Podobnie powinno się dbać o kulturową formę dawnej obrzędowości i zwyczajowości. Egzemplifikację przeobrażeń, jakie od pewnego czasu zachodzą, wypaczając w ten sposób pierwotne wzorce, podam na przykładzie dawnej obrzędowości związanej z weselem, a dokładniej ze *szlogami*. Był to zwyczaj zatrzymywania orszaku weselnego podczas drogi do kościoła. Grupa poprzebieranych osób sprytnie tarasowała drogę tak, aby zmusić weselników do zatrzymania się. Odgrywali później kilkuminutowe, śmieszne scenki lub tworzyli zmyślane historyjki. Całość wieńczyło zawsze *winszowani*, czyli składanie *młodym* życzeń. Były to głównie *dobre rady* – dowcipne, ale nie pozbawione *życiowej mądrości* i dobrego smaku. Do ślubu *młodzi* (*młoda para*) jechali osobno. W pierwszej *kolesie* jechał pan młody (*żynich*), a na końcu orszaku w ostatniej jechała pani młoda (*młoducho*). Osobno kierowano życzenia do *żynicha*, a osobno do *młoducho*. Cały ceremoniał był bardzo ważny, a wszystkie jego elementy musiały następować kolejno po sobie.



Zaś każdy, kto brał w nim udział znał doskonale swoją rolę i swoje miejsce. Wszyscy wiedzieli, jak wolno im się zachować, jakie słowa mogą wypowiadać, a czego należy się wystrzeżać. Było to bowiem zawarte w przekazach od pokoleń. Nie przekazywano kulturowego podłoża danej tradycji, nie tłumaczono dlaczego właśnie tak, ale każdy wiedział, że skoro wiedza ta

Współczesna szloga – symboliczne zatrzymanie orszaku weselnego, mające na celu przekazanie daru słownego czyli życzeń Młodej Parze (na zdjęciach mężczyźni przebrani za kobiety, a kobiety za mężczyzn, niektórzy w cieszyńskich strojach)



pochodzi od wiejskiej starszyny (starsi ludzie dawniej cieszyli się wielkim autorytetem), to ma wielką wartość i godzi się ją naśladować. Wszystko miało mocne podparcie kulturowe. Dla nowożeńców był to okres przejścia (ze stanu wolnego w stan związku małżeńskiego). Był to więc dla nich bardzo niebezpieczny czas – odmienny czas – czas chaosu i burzenia ustalonego porządku. Owe poprzebierane osoby w czasie *szlogi* symbolizowały właśnie tę odmienność. Normalnie na co dzień przecież nie chodzili tak ubrani. W chaosie uaktywniały się siły nadprzyrodzone, a z nimi nie było żartów. Próbowano więc *oswoić* sobie ten trudny okres. Symbolicznie stwarzali sami obraz chaosu i postaci, które pomagały, w ich mniemaniu, im go opanować. Uważali bowiem, że jeśli opanują symboliczny chaos, to łatwiej opanują i ten rzeczywisty (*podobne czyni podobnym*). Wierzano, że *obcy* mają moc przywracania porządku, dlatego tak często w obrzędowości pojawiają się osoby poprzebierane za żyda, śmierć, babe (żebraczkę), dziada (żebraka), policjanta, kominiarza, diabła. Oni bowiem uznawani byli za *obcych*, ale takich *swoich obcych*. Lepiej było mieć świadomość symbolicznego pokonania *oswojonego* diabła (przebierańca) z nadzieją zadziałania magii, niż czekać z założonymi rękami na nieprzewidywalny rozwój sytuacji.

Czasoprzestrzeń takiego okresu wypełniona była istotami z zewnątrz. Panowało bowiem przekonanie, że w takich wyjątkowych okresach przejścia otwierają się bramy nieba i piekieł. Kiedy więc ów czas był dla młodej pary i nie tylko dla nich czasem niebezpiecznym, wszyscy wykazywali swoją solidarność. Starali się działać zachowawczo. Wierzano także, że wypowiedane w takim czasie formuły słowne lub wykonywane czynności magiczno-obrzędowe posiadają podwojoną moc sprawczą, czyli działają jakoby z podwojoną skutecznością, zdobywając w ten sposób większą szansę realizacji – spełnienia. Dlatego składali *młodym* życzenia, czyli przynosili dar. Dar słowny, który w kulturze ludowej posiadał ogromną moc sprawczą, a słowa wypowiedziane w nietypowych momentach, do jakich zaliczano okresy przejścia, nabierały podwójnej mocy. Poczęstunek, który w zamian otrzymywali nie stanowił głównego przyczynku. Owszem był miłym dodatkiem, ale raczej stanowił dopełnienie całości niż miałby być głównym motorem ich działania. W kulturze ludowej wszystko miało swój czas i swoje miejsce. Jeśli coś zaistniało, musiało zaistnieć po coś, a to z reguły pociągało za sobą kolejne elementy układanki. Jeśli coś byłoby nie tak, cała układanka byłaby do niczego. Toteż *młodzi* musieli pamiętać o odwdziękowaniu się za otrzymany dar, nawet ten słowny. Gdyby tego nie zrobili, nie zadziałałaby moc sprawcza. Życzenia by się nie spełniły, a na *młodych* czekałyby same niepowodzenia. Dlatego pamiętali o odwdziękowaniu się, a to stanowił właśnie ów poczęstunek. Poza tym, kiedy młoda para po błogosławieństwie rodziców opuszczała dom, opuszczała swoje sacrum, gdzie według wierzeń mogła czuć się bezpiecznie. Podczas całej drogi do kościoła (kolejnego sacrum) narażona była na niebezpieczeństwa czyhające w profanum. Wtedy właśnie potrzebowali pomocy i ochrony. Dlatego, zgodnie z tradycją, *szlogi* robiło się tylko w czasie drogi do kościoła. Po wyjściu młoda para mogła czuć się bezpiecznie, chaos został opanowany. W świetle powyższego, organizowane obecnie *szlogi* po wyjściu z kościoła, nie mają kulturowego uzasadnienia.

Dożyliśmy specyficznych czasów. Nasi rodzice pamiętają z dzieciństwa czasy elektryfikacji wsi. To wcale nie było tak dawno. To pokolenie wie, jak kosiło się zboże kosami, odbierało sierpami i wiązało w snopki *skryntkami* albo *porwóslami*. Następnie wszystko stawiało się w *paniynki* i czekało aż zboże wyschnie, dopiero wtedy zwoziło się, wozami drabiniastymi zaprzężonymi w konie, do stodoły i układało w *sómsieku*. Wcześniej, kiedy nie było elek-

trzczości, młóciło się zboże *cepami*. Później pojawiły się specjalne maszyny – młóckarnie, które młóciły zboże, ale trzeba je było obsługiwać ręcznie. Skonstruowano też snopowiązałki. Maszyna ciągnięta przez traktor, kosiła zboże i wiązała od razu w snopki, a te gotowe wypadały z tyłu maszyny i trzeba je było tylko postawić w *paniynki*. Teraz wjeżdżają na pole kombajny, gotowe ziarno sypie się prosto na przyczepę i... I po przyjemności. To, co kiedyś zajmowało tygodnie pracy kilkunastu osobom, teraz skurczyło się do kilku godzin. Ale to, że kiedyś praca w polu i to nie tylko przy żniwach trwała dłużej i gromadziła większą ilość osób, dawało okazję do rozmów i przekazywania ważnych wskazówek. Wtedy między innymi dokonywała się najczęściej transmisja tradycji. Po pracy zawsze trzeba było odpocząć. Zgodnie z tradycją niedziele i święta przeznaczone były na odpoczynek i nie wolno było w tych dniach pracować. Wyjątek stanowiło przygotowanie posiłków lub praca w polu. Ta zaś dopuszczalna była jedynie na okoliczność zabezpieczenia plonów. Można więc było stawić siano do kopek albo zwozić go z pola, albo sprzątać do stodoły zboża, ale tylko wtedy, kiedy zbierało się na deszcz. Oczywiście wolne od pracy nie dotyczyło obrządku w oborze. Bydełko, jak dawniej mawiano, musiało być zawsze *łoporóżndzone*.

Odpoczynek był rzeczą świętą, a niedostosowanie się do tradycji skutkowało karą boską. Tak więc gdyby dawna tradycja nadal obowiązywała, nie potrzebowalibyśmy dziś ustawy o zakazie handlu w święta. Dawniej nie było tylu ustaw i zakazów, a jednak społeczeństwa potrafiły same zadbać o moralność, etykę, ład i porządek. Ludowe mądrości przekazywane były z dziada pradiada. Młodzi ludzie cenili sobie rady starszych, bo w nich kryło się doświadczenie i szacunek dla drugiego człowieka. Oczywiście, jak w każdej kulturze, zdarzały się wyjątki. Wiele z tradycyjnych reguł trudno było zaakceptować. Wiele, drogą naturalnej selekcji, zostawało eliminowane. I dobrze, bo świat idzie z postępem. Bardzo wiele się zmieniło zarówno w samym otoczeniu, jak też postrzeganiu i obrazie świata. Jednak magiczno-mistycznego myślenia nie da się całkowicie wyeliminować. Magia dawnych tradycyjnych kultur jest i naszym udziałem. Idąc tokiem tradycyjnego myślenia możemy zanalizować chociażby nasze potoczne *Dzień dobry*. Przekazując je drugiej osobie na przywitanie, życzymy jej dobrego dnia. Czyli wypowiadamy formułę słowną, która według dawnych wierzeń ludowych, sama w sobie zawiera moc sprawczą. Wypowiadając ją, automatycznie niejako uwalniamy ową moc i uruchamiamy niewidoczną machinę. Coś ma nam zagwarantować dobry dzień – co? Czyż to nie magia? Niektóre słowa posiadały same w sobie moc sprawczą, dlatego dawniej trzeba się było dobrze zastanowić zanim wypowiedziało się niektóre z nich, szczególnie, kiedy niekoniecznie chodziło o życzenie komuś dobrego dnia czy pomyślności. Dawniej wierzono też w klątwy i uroki. Trzeba się było umieć przed nimi obronić. Do dziś przetrwały formuły słowne lub słowno-czynnościowe, używane przez naszych przodków, jako swoistego rodzaju antidotum, np. *odpukaj w niemalowane* albo *wypluj zaraz to słowo, na psa urok, bez uroku*. Miały one spowodować przerwanie owej mocy sprawczej wypowiedzianego słowa. Zatrzymanie było bardzo trudne. Nie zawsze wypowiedziane antidotum skutkowało. Istniały też słowa tabu, których nie można było wypowiadać, bo wierzono, że mogą sprowadzić nieszczęście (*Trzeba słowo siedym razy poobrać w gymbie, niż sie go wypuści, bo potym go już ani sztyryma kóniami nie cofniesz; Bardziej boli łód jynzyka niż łód kija; Słowo jak wróbel, a bodzie jak byk*). Często w domach wieszano na ścianach wyhaftowane słowem makatki tzw. *wyrocзки*, które informowały domowników i odwiedzających o panujących w tym domu zasadach, etyce i dobrym wychowaniu (*Zanim przestąpisz domu tego*

progi, wytrzyj piyrsze jynzyk, a dopiero nogi; Biada tymu dómowi, kaj ciele rozkazuje wołowi; Kaj dobro gaździno warzi, tam sie dycki dobrze darzi; Do ludzi po rozum, do matki po serce; Robota mo ciyrpki korzyń, ale owoc słodki; Kaj miłość i zgoda, tam dobro uroda, a kaj się wadzóm, tam kupe tracóm).

Głęboka potrzeba rozumienia świata, nadawanie wszystkim zjawiskom sensu, a przede wszystkim wiara w moc sprawczą, uzasadniały i wartościowały dawne zachowania. Wiara w pomyślność wszelkich zabiegów była bardzo mocna, jako że całą siłę przypisywano tak zwanej opatrności boskiej. Ta zaś według dawnych wierzeń, była bardzo mocarna i stałe nad człowiekiem czuwała. Jak w micie przytoczonym na początku tekstu: diabeł nie spał, ale nawet śpiącego Boga nie udało mu się pokonać. Jedyne, co mu się udało, to trochę pokrzyżować Bogu szyki. Często jeszcze dzisiaj przytaczane jest dawne powiedzenie *lichu nie spi*, albo *diabeł nie spi*. Wobec tego, w myśl dawnych przekonań, to nie Bóg sprowadzał na ludzi nieszczęścia, tylko zawistny diabeł. Bóg zaś obarczony problemami całego kosmosu nie zawsze zdążał z pomocą. Poza tym dał przecież człowiekowi wolną wolę, a że stworzył człowieka na własne podobieństwo, to już z samego założenia człowiek powinien być dobry i umieć sobie radzić. Bóg okazywał swoją pomoc na wyraźną prośbę człowieka, a ten przedstawiał ją za pomocą modlitw, ale i formuł słowno-obrzędowych. Wiara w istotę boską była bardzo mocna i to zarówno w okresie przedchrześcijańskim, jak i później. Cały system wartościowania czasu sprowadzał się do traktowania go niejednorodnie. Był czas święty, mityczny, powtarzalny i czas świecki – codzienny. Ten pierwszy był cykliczny (zmieniające się pory roku, ale od niepamiętnych czasów następujące po sobie w ustalonej kolejności, *przybywanie* i *ubywanie* dnia) i przybierał kształt koła, czyli nie miał początku ani końca (podobnie, jak istota boska), był czasem sacrum. Czas świecki był linearny i niepowtarzalny – profanum. Wszystko w nim miało swój początek i koniec. Człowiek miał świadomość przemijania. Liczyło się dla niego wszechogarniające *teraz*. Nie znał bowiem astronomii i nie miał pewności, czy w granicznym momencie przesilenia zimowego, dnia znów zacznie przybywać, a słońce po raz kolejny wygra odwieczną walkę z ciemnością. Dziś wiemy, na jakich zasadach *słońce wędruje po niebie*, ale czy zmieniło się wartościowanie czasu? Może nie zastanawiamy się nad nim, wiemy tylko, że za szybko przemija, ale czy nie zmienia się cyklicznie w następujących po sobie porach roku? Czy czas świąteczny nie przeplata nam codzienności? Tę zaś każdy z nas ma niejako swoją, inną i modelowaną przez samego siebie.

Może babcina *magia ludowa* (nie mylić z czarami) trąci przesądami i zabobonami, ale mądrości w jej myśleniu nie da się zakwestionować. To, jak i w jakich kategoriach postrzegać będziemy nasze dziedzictwo kulturowe i jak przekazywać je będziemy naszym spadkobiercom, zależeć będzie tylko od nas. Jakby jednak nie patrzeć i jak nie nazywać przyznać należy, że wiele mamy wspólnego z dawną kulturą naszych przodków. I o to w tym wszystkim właśnie chodzi. O tradycję i jej dalszy przekaz. Tylko wtedy jesteśmy w stanie istnieć. Tylko wtedy istnienie ma wartość.

HISTORIE STARYCH DOMÓW W CISOWNICY

DOM NR 28

JAN PUCZEK

Najstarszy posiadany przeze mnie dokument dotyczący nieruchomości nr 28 w Cisownicy to kserokopia księgi wieczystej powiatu cieszyńskiego. Księgi wieczyste pierwotnie znajdowały się w Skoczowie (*Gerichtsbezirk – Soudni okres: Skotschau*). Austriackie księgi wieczyste, prowadzone od 1880 r., miały rubryki opisane w języku niemieckim i czeskim (austriacki Śląsk Cieszyński miał zarząd krajowy w Opawie), a zapisy do 1918 roku prowadzone były tylko w języku niemieckim. W księdze wieczystej nr 27, str. 325 dla *Katastralgemeinde Große und Klein Zeislowitz*, jako pierwszy wymieniony jest Josef Walaski, właściciel nieruchomości w 1880 r. Nieruchomość określona została jako *Angerhäuslergrund*, to jest gospodarstwo górskie, pasterskie. Być może jest to jakiś ślad po pasterstwie wołoskim (wałaskim), na którego obrzeżu była także Cisownica. Charakterystyczne tu nazwisko *Walaski*, etymologicznie związane z pasterzami Wołochami (Wałachami), chyba jest zbieżnością przypadkową. W drodze zakupu kolejnym właścicielem nieruchomości zostaje Anna Dytko, następnie w 1901 r. Johann Dytko. Od tego ostatniego w 1901 r. nieruchomość kupuje mój dziadek Georg Puczek. Mój ojciec Paweł Puczek odziedziczył w spadku nieruchomość i wybudowany na niej dom nr 28 w roku 1928, a w roku 1963 przekazał go mnie.

Przed I wojną światową. Początkiem XX wieku na niewielkiej parceli budowlanej nr 31 w Cisownicy stała stara, drewniana chałupka nr 28, obok równie stary chlew. Mój dziadek Jerzy (Georg) miał jedenaścioro dzieci – pięciu synów (dwóch poległo na frontach I wojny światowej) i sześć córek (jedna zmarła na suchoty). Dziadek dobrze gospodarował, handlował końmi, z myślą o dzieciach kupował nieruchomości. Z tą myślą kupił m.in. wspomnianą wyżej nieruchomość, na której postanowił wybudować porządną dom, murowany według ówczesnych, nowych technik budowlanych. Według ustnego przekazu projekt budynku wykonał budowniczy Kohut z Kozakowic. W podobnym stylu i zbliżonym czasie wybudowane zostały również domy nr 104 (Burk lub Burg – na Kępie) i nr 58 (Kralówka).



Rodzice autora – Ema i Paweł Puczkowie (I poł. lat 50-tych)

Dom według zachowanych zapisów na murach datowany jest na 1903 rok (wpis urzędowy: „11 August 1904”). Odtworzona ze szczytowej ściany tablica fundatora, przeniesiona w 2002 r. na ścianę frontową, nosi napis: GPF 1903 (GPF – Georg Puczek fundator).

Podczas kopania fundamentów znaleziono w naniesionym, rzecznym mule *taaakóm rybe*, o czym wspominał mój ojciec i mój stryj Jan, pamiętający czas budowy. Druga anegdota związana jest z budową sklepienia nad piwnicą:

– *Chłopi, jo wóm dzisio nie zapłacym, boście na tym sklepiyniu zrobili za mały cyrkiel – powiedział w sobotę gazda Jura Puczek do robotników. Do pyndziałku sklepiyni spadło.*

Dom miał charakter secesyjnej wili wiejskiej, stylu dominującego na przełomie XIX i XX w. W połowie jest podpiwniczony – jedna piwnica ma pełne sklepienie z cegły, druga część – sklepienie odcinkowe na jednym, podłużnym trawersie. Stropy nad parterem, odcinkowe (po trzy łuki), są sklepione z cegły, wsparte na dwóch poprzecznych w każdej połowie domu, żelaznych trawersach. Sień również sklepiona. Dom posiada facjatkę (tzw. gibel, dawniej zamieszkiwany) o ścianach bocznych poszerzonych poza ściany podporowe, z wyraźnie wysuniętym ryzalitem, wspartym na żelaznych szynach. Nad wejściem do domu zawieszona była lampa naftowa, co wieczór rozpalana, a w szczycie facjatki znajdował się zegar



Zachowane dawne drzwi frontowe



Zegar stojący



Dom nr 28 w Cisownicy zbudowany przez Jerzego Puczka
w 1903 r. i należący do Rodziny Puczaków do dziś

(widoczne na pocztówce sprzed I wojny światowej). Na strychu w części południowej izba użytkowana latem, a po bokach *sypani* na zboże i uwędzone połcie wieprzowiny oraz *surdzik* na plewy. W drugiej części domu i nad *zolym* – strych na siano. Pokrycie dachu stanowiła ceramiczna, po wypaleniu na gorąco ulepszona powierzchniowo gorącą smołą, o odcieniu grafitowym, dachówka, tzw. marsylka. Do sieni i sklepu prowadziły szerokie, z częściowo obrobionego piaskowca, schody. Drzwi do sieni – od drogi – piękne, o bogatej ornamentyce, dębowe, dwuskrzydłowe, zachowane w oryginale do dziś, ale przeniesione do dobudowanej od podwórza części domu. W górnej (płd.–zach.) połowie parteru umieszczony był sklep z okazałym wejściem i dużym oknem wystawowym. Pierwszy najemca sklepu nazywał się Lipowczan. Mieszkanie w drugiej części budynku początkowo też było wynajmowane.

Obok domu w podwórzu stał stary, częściowo murowany chlew, wyburzony w 1949 r. Nowy, zbudowany z cegły, pokryty został cementową i częściowo starą, ceramiczną dachówką. Od strony północnej – stodoła (rok budowy 1906), zmniejszona do połowy w 1971 r.

Parcela, na której stał dom, była niewielka. Zdarzyło się w sobotę w gospodzie żyda Wechsberga:

– *Jura – łodezwoł sie gazda Malec do gazdy Puczka – tobie Pónbóczek doł moc dziecek, a jo móm moc pola. Jo ci sprzedóm kónsek zogrody.*

– *Mówicie prowde, gazdo? Nie robicie se błozna? – spytoł sie mój starzik.*

– *Mówiym prowde.*

W pyndziątek pojechali do Cieszyna, do notara. Tata mi prawił, że skyrz tego był wielki krawal.

W latach 1908–1909 za namową różnych osób (*Jura, tu byłaby piekno gospoda, jyny dobudować zol*) dziadek Jerzy dobudował salę imprezowo-widowiskową, o wewnętrznych wymiarach 10x10 m, połączoną z budynkiem wejściem do szynku i kuchni. Ściany sali wy-

konane były z wielkopieczowego żużla zmieszanego z wapnem gaszonym, wlewanego do przygotowanych szalunków, podłoga i strop – drewniane. W przyziemiu pod częścią sali znajdowały się wynajmowane dwie izby mieszkalne. Z protokołów gminy Wielka Cisownica dowiadujemy się, że 11 czerwca 1910 r. gmina wniosła rekurs (sprzeciw) przeciwko udzieleniu koncesji na trzecią we wsi gospodę i wyszynk pod Nr 28, skoro istnieją już dwie gospody w odległości 5 minut. Rekurs został odrzucony. W sali odbywały się różne imprezy: zebrania, wieczorki teatralne, czakaczki weselowe; po II wojnie światowej również obóz zuchów ze szczepu harcerskiego Huty Batory z Chorzowa i in.



Impreza na zakończenie roku szkolnego w Cisownicy (przy domu autora, pierwsza połowa lat 30-tych)

Okres międzywojenny. Dom był wynajmowany do roku 1928, w którym poprzez dziedziczenie otrzymał go mój ojciec Paweł i prowadził dalej sklep i gospodę, jako własny interes. W 1931 r. Paweł Puczek ożenił się z Emą Chmiel z Kojkowic i mieszkał w dolnej części budynku. Kilka lat później sklep wraz z mieszkaniem (kuchnia w przybudówce) wynajął Samuelowi Steltzerowi, wyznania mojżeszowego, który zamieszkał tu wraz z żoną i dwoma córkami. Nie ustalono, do którego roku działała gospoda. Między *zolem* a korytem Cisówki zamocowany był na stałe „gepel” (kierat), używany przy młóceniu zboża jeszcze po II wojnie światowej.

W połowie lat 30. zaczęli przyjeżdżać do Cisownicy *kómpielorze* z Warszawy, w większości ewangelicy. Bywali też u nas. Cisownica była tańsza, bardziej sielska, nowo powstałe jeziorko po wybudowaniu tam na potoku Przykopa stanowiły atrakcję. Również w tym czasie latem odbywały się w Cisownicy ćwiczenia żołnierzy IV Pułku Strzelców Podhalańskich z Cieszyna. Był wśród nich Marusarz (chyba Andrzej), o którym mówiono, że wielki „szportowiec narciorz”. Miał duże powodzenie wśród miejscowych dziewcząt.

O sytuacji (biedzie) mieszkaniowej lat trzydziestych XX w. świadczy liczba mieszkańców domu nr 28. W górnej części budynku znajdował się sklep i mieszkanie (pokój, kuchnia) czteroosobowej rodziny żydowskiej; w dolnej – mieszkali moi rodzice z trzema synami: Erwinem, Pawłem, Janem; w dwóch izbach *pod zołym* – rodzina Toszków (po wojnie Kozłowski) oraz rodzina Cieślarów. W facjatce mieszkała czteroosobowa rodzina Drozdów. W 1934 r., w czasie powodzi stulecia, w której Cisówka jedyny raz wystąpiła tu z brzegów, nastąpiło zalanie pomieszczeń w przyziemiu, które nie nadawały się od tego momentu do zamieszkania.

II wojna światowa. Po wybuchu wojny zagrożona nazizmem rodzina Steltzerów ewakuowała się na wschód, ale na skutek odcięcia dalszej drogi (do Rosji) powróciła do Cisownicy. Potem przymusowo zamieszkała w wydzielonym sektorze żydowskim w Cieszynie, by w końcu podzielić tragiczny los milionów... (nie ma jej nazwiska na tablicach upamiętniających martyrologię mieszkańców Cisownicy i gminy Goleszów). Poszerzone pomieszczenia sklepowe wynajęło jakieś niemieckie towarzystwo (Gesellschaft) handlowe z Orłowej. W 1942 r. do domu doprowadzono prąd elektryczny.

Zimą 1944/45 w szkole w Cisownicy zakwaterowana została kompania Wehrmachtu. Część żołnierzy zakwaterowano w domach prywatnych. W naszym mieszkaniu (kuchnia, pokój), w kuchni mieli swoje warsztaty, pracowali i spali na przynoszonych siennikach, krawiec (nazywał się Kuckenberger) i szewc (Rieder). Obaj, Austriacy z Tyrolu, porządni, z dobrymi manierami, szczególnie „Kucky”, który bardzo lubił dzieci. W facjatce (giblu) kwatrował i miał swój warsztat siodlarz (rymarz).

W *zolu* codziennie odbywały się wojskowe, poranne odprawy. Pamiętam szczególnie jedną. Była Wielkanoc 1945 r. W jednym z domów na Budzinie aresztowano dwóch żołnierzy, dezertersów Wehrmachtu. Pod strażą umieszczono ich w naszej kuchni. Nasza mama, za zgodą niemieckiego dowódcy, poczęstowała ich wielkanocnymi kołaczami. Smutni, powoli jedli. A potem, przed frontem kompanii, były „patriotyczne”, potępiające ich zdradę, przemowy. *Vaterland, Vaterland* – to było najczęściej powtarzane słowo. Zostali rozstrzelani w Cieszynie.

Wraz z cofającym się frontem uciekali na zachód cywilni Rosjanie i Ukraińcy, którzy kolaborowali z Niemcami, bądź nie chcieli żyć w kraju *gdzie tak wolno diszit czelawiek*. W ruderze, *pod zołym*, zamieszkało czterech czy pięciu takich uciekinierów. Pracowali gdzieś w Ustroniu. Bardzo serdeczni i mili, można się było z nimi jakoś dogadać. Lubili dzieci, a chłopcom dawali zakurzyć *cygaretle*, papierosy zwijane ręcznie z papieru gazetowego i machorki. Wtedy też, jako 7-letni brzdąc, poznałem ostry, szczypiący smak dymu machorki. Niekiedy wieczorami zasłaniaли szczerlnie okno i cicho, na dwa głosy, tęsknie śpiewali:

Wołga, Wołga, mał radnaja,
Wołga, Wołga, matusza...
 Smutny i tragiczny był ich los.

Pod koniec marca 1945 r. front znajdował się w okolicy Pogórza, Skoczowa. Któregoś dnia doszły do nas odgłosy kanonady artyleryjskiej Armii Czerwonej. Żołnierze niemieccy byli zdenerwowani. Wkrótce potem zostali przemieszczeni w rejon Gumien, Krasnej, Gułdów.

Włamania do sklepu. W latach trzydziestych złodzieje próbowali w nocy włamać się do sklepu. Wycięli drewniane okiennice i byli tuż, tuż... Ale Samuel Steltzer usłyszał, dyskretnie wezwał na pomoc Pawła Puczka i obaj z bronią wyszli na zewnątrz domu.

– *Gdo tam je?* – ostro zapytał mój ojciec.

– *Ch...* – padła niecenzuralna odpowiedź.

Jeden i drugi strzał z dubeltówki mojego ojca skutecznie przepędził trzech rabusiów, z których jeden, rykoszetem, został ranny.

W zimie 1944/45, również w nocy, do sklepu włamali się partyzanci z grupy „Czantoria”. Po śladach na śniegu żołnierze niemieccy dotarli do lasu Czantorii. Z dalszego tropienia zrezygnowali.

Latem 1946 r. do sklepu włamali się partyzanci prawdopodobnie z Narodowych Sił Zbrojnych.

– Jesteśmy AK. Proszę zachować spokój... – nienaganną polszczyzną mówił dowódca grupy, do osłepianego reflektorem latarki elektrycznej, mojego ojca. Tropienie i dochodzenia nie dały rezultatu.

Jak się żyło. Przekaz ustny sięgał pamięcią do przełomu XIX/XX w. Wspominanie okresu pańszczyzny, Wiosny Ludów – to były jakieś dalekie echa nędzy i głodu. Mój ojciec pamiętał, że największy *siedlok* Cisownicy, Malec, niekiedy jeszcze używał sochy (może przez sentyment?, szkoda, że się nie zachowała), a mój dziadek Jerzy, jako pierwszy w Cisownicy odważył się kosić pszenicę kosą, ”na ścianę”. Cóż to było za oburzenie! Pszenicę kosą? Na której każdym *zorku* upamiętniona jest twarz Chrystusa? Której żadne *kłóska* nie powinno było upaść na ziemię!

Bogatsze rodziny za mieszkanie miały kuchnię i izbę. Dodatkowe izby zamieszkiwali *starzyca na wymowie*, albo młodożeńcy. Biedniejsi mieli tylko jedną kuchnio–izbę. Byt materialny tutejszych mieszkańców stopniowo ulegał poprawie od czasów wybudowania huty żelaza w Ustroniu (1772 r.), potem w Trzyńcu (1835 r.) i wreszcie pod koniec XIX w. – „wieku pary i elektryczności”, wybudowania cementowni w Goleszowie itd. Ale nadal było to skromne, często głodne i biedne życie. Sytuacja części najbiedniejszych („kumorników”) poprawiła się po I wojnie światowej, kiedy to rozparcelowano książeży folwark pod Machulą, w Równi i tzw. Pański Grunt, od centrum wsi, przez Wędoły do granicy z Dziegielowem. Na polach Równi, dotychczas oddzielających Wielką i Małą Cisownicę, powstało wiele domów, a dotychczasowe dwie wioski zostały połączone w jedną Cisownicę. Wszyscy, którzy mieli kilka hektarów i więcej, przeważnie prowadzili gospodarkę według pewnego stałego wzorca: cztery zboża, ziemniaki, kapusta, fasola, burak pastewny, brukiew, koniczyna, *prziłóg* (trawa) i łąki na siano. W domu i chlewie: krowy, świny, owce, drób różnego rodzaju. Koło domu ogródek (warzywnik), trochę kwiatów i „zogroda” – sad. „Kaporkrze” (do 0,5 ha) mieli kozy.

Najstarszym obiektem ruchomym w domu jest wykonana z lipowego drewna zabytkowa trówa na ubrania. Z zewnątrz pomalowana ornamentami roślinnymi i zachowanym oryginalnym napisem: „Anna Cichego Roku Pańskiego 1853”. Trówę otrzymałem w drodze daru od p. Jana Kozła, Cisownica 17. Anna Cichy, według niepewnych ustaleń, to nasza praprababcia. Babcia Maria Puczek była z domu Kozieł.

Ze starych narzędzi w naszym domu jeszcze po II w. św. zachował się i był używany pług z drewnianym grzędzielem i drewnianą *odwalnicą* (odkładnica) oraz brony z zębami na

drewnianej ramie. Moi rodzice posiadali pole (2 ha) za cmentarzem na pagórku Goruszka. Daleko (ok. 1,5 km) i uciążliwie pod górę. Dwie krowy, Chowana i Kontesa, potem Belona i Krasula, i inne, spokojne, były dobrze przyuczone do ciągnięcia wozu, toteż większość zwózek z Goruszki odbywało się krowami.

– Ooo! Krowy ciągną wóz! – wołali przyjezdni.

Stopniowo następowały zmiany, zwłaszcza u *siedloków*. Starsze pokolenie małorolnych, w tym i moi rodzice, uczuciowo związani z ziemią, jakby kurczowo trzymali się myśli, że kontynuacja dotychczasowego gospodarowania jest koniecznością, obowiązkiem nadrzędnym, „bożym” porządkiem, prawie misją...

Siej, choćbyś plonów nie widzieć miał...

Dopóki starczyło sił. W liczniejszych rodzinach – jak mówiono – „jeden musiał robić na to pole”. Ale też do czasu. Poprawiało się zaopatrzenie w sklepach. Ziemia była wynajmowana większym gospodarzom. Znikały małe i średniorolne gospodarstwa. Powiększające się duże gospodarstwa w Cisownicy stopniowo przekształcały się w farmy hodowli bydła.

Nasza mama miała ambicję pozostawienia po sobie czegoś trwałego. Na nieużytkach i polu najniższej klasy górnej części Goruszki posadziła 0,3 ha lasu. Powoli, mozolnie w kamienistej glebie sadziła dęby, jesiony, modrzewie, świerki i in. Po kilku... kilkunastu latach Goruszka zmieniła wygląd. Na zaokrąglonym, trawiastym grzbiecie pagórka, na którym przed II wojną światową odbywały się festyny (rozległy, okólny widok) wyrósł las.

Lata powojenne. 9 maja 1945 r., piękna majowa pogoda. Przed południem zawyły okoliczne syreny.

– Koniec wojny! Koniec wojny! – wszyscy powtarzali.

W kilka dni później drogą od Cieszyna i Dziegiełowa ciągnął niekończący się wąż różnych konnych furmanek – to byli „Rusi”, krasnoarmiejcy, którzy rozlokowali się czasowo w Cisownicy i okolicznych wioskach. Oprócz tych konnych, w Dąbkach pod Machulą, stacjonowała kompania samochodowa. Samochody, jedzenie, prawie wszystko mieli amerykańskie. Widać ich było potem wszędzie. Nie można powiedzieć, zachowywali się poprawnie. W naszym domu ich nie było.

Do swidania – powiedział któregoś dnia sympatyczny „Rusek” u sąsiadów. Do śniadania – tak go zrozumieli. Ale następnego dnia na „śniadaniu” już go nie było!

Pomieszczeniami sklepowymi w naszym domu zainteresowała się spółdzielnia „Społem” z Ustronia, która je wynajęła. Kilka lat później sklep przejęła Gminna Spółdzielnia „Samopomoc Chłopska”, która korzystała z nowego prawa, przyznającego jej wyłączność w handlu wiejskim. Sklep został powiększony przez wyburzenie ściany działowej, a magazyn umieszczono w przystosowanej do tego przybudówce.

W dużej sali (*w zolu*) była zawieszona wysoko na belce huśtawka – huśtano się „od powału do powału”, a pomieszczenia piwniczne, *zol*, stodoła i koryto potoku znakomicie nadawały się do zabawy w różne „skrytki”, a zwłaszcza w tzw. „ruskóm strzyłowke”. Chłopców w okolicy było wielu, stąd po lekcjach, w domu i koło niego było gwarno. W 1959 r. „zol”, ze względu na stan techniczny, został wyburzony. W naszym mieszkaniu założony został wodociąg. Woda, silnie w tej części Cisownicy wapienna i żelazista, pochodziła z przydomowej studni. W 1961 roku zażądaliśmy opuszczenia przez sklep naszego domu. Nowe prawo chroniło przed kwaterunkiem domy jednorodzinne. Sklep został przeniesiony do lokalu gmin-

nej gospody. Przywrócono ścianę działową, wymieniono część stolarki, w tym okna, znikło okno wystawowe i drzwi wejściowe do sklepu, zmieniły się fasady domu.

W latach 1971–73, głównie za sprawą mojego brata Pawła, dokonano rozbudowy domu i nadbudowy od podwórza. Sień od drogi została zamurowana, drzwi dębowe przeniesiono do nowego wejścia od podwórza. Na piętrze powstało trzypokojowe mieszkanie z kuchnią i łazienką, wykorzystywane głównie latem. Na południowej szczytowej ścianie umieszczono tablicę fundatorów rozbudowy: „PJP 1973” (Paweł, Jan Puczek 1973). W 1990 r. doprowadzono do budynku gaz ziemny. W 1996 r. dom został podłączony do kanalizacji komunalnej. Kolejne zmiany nastąpiły po remoncie w latach 2001–2002: centralne ogrzewanie na parterze przy pozostawieniu pieców kaflowych, posadzki ceramiczne, połączenie części sieni z pokojem południowo–zachodnim i amfiladowy układ pokoi, wymiana stolarki drzwiowej i części podłóg, ocieplenie ścian, renowacja elewacji z odtworzeniem i uzupełnieniem detali na fasadach, na ścianie szczytowej facjatki zamontowano elektryczny zegar.

W 100–lecie domu, w 2003 r. odbył się tu V Zjazd rodzinny potomstwa Zuzanny z Hławiczków i Jana Chmielów. W kościele odbył się uroczysty koncert, w którym uczestniczyła goszcząca z rewizytą w Cisownicy grupa ewangelików z partnerskiej parafii Ryslinge w Danii, wyjechano samochodami na Spowiedzisko.

W 2010 r. dom został podłączony do oczekiwanego od lat wodociągu komunalnego. W tym samym roku dachówka, z zewnątrz optycznie w dobrym stanie, wymagała już bezwzględnie wymiany. W trakcie remontu okazało się, że wymiany wymagają również wszystkie stare krokwie, łąty itd. Położono nową, pod względem kształtu również „marsylkę”, cementową dachówkę koloru kasztanowego.

W 2011 r. do celów użytkowych adaptowano strych w północnej części budynku. Wnętrza domu gospodarz stara się utrzymywać w stylu retro – naturalne drewno, starsze, w miarę stylowe meble, zegary, oświetlenie itp.

– *Kiedy ludzi nie stanie, niech mówią kamienie...* – powiedziano na uroczystości z okazji 100–lecia Domu.

Szanowni Mieszkańcy Cisownicy! Piszcie historię, zwłaszcza swoich starych domów. Zakładajcie kroniki domowe. Kiedy ludzi nie stanie, zapisana historia ich przypomni. Tak wiele zniknęło za życia mojego, starszego już pokolenia. W centrum Cisownicy nie ma już starej ewangelickiej szkoły z 1835 r., wcześniej zniknął pamiętający XVIII w. Pański Grunt i regionalnie stylowa, bardzo stara, drewniana chałupka Na Kępcę... Nie ma nawet ich zdjęć! Jako mały chłopiec znałem i miałem jeszcze kontakt z urodzonymi w latach 60. XIX w. najstarszymi Cisowianami, którzy pamiętali m.in. prostowanie koryta meandrującej Cisówki, powstanie nowego koryta Rzeczycy, która, już jako Przykopa, a w końcówce Szpera, wyłobila głęboki jar; likwidację huty ustroniskiej i przewóz jej ciężkich urządzeń do Trzyńca. Wspomnieć tu muszę jeszcze o kilkunastu gazdach, ostatnim pokoleniu tych, którzy chodzili za pługiem, ręcznie kosili zboża i łąki. Wspominam też gaździne, które raz w tygodniu, i częściej, zarabiały w dzieżach ciasto, piekły chleb i kołaczki w piekarszczoku. I chodziły w pole z *podobiodkami i swacznymi*.

Ludzie tworzą swoje siedliska, a te muszą ustąpić przed nowym życiem. A jednak jakaś częśćka powinna zostać zachowana, ażebyśmy wiedzieli – my i nasi potomni – *skąd przychodzimy...*

ROZDZIAŁ 3

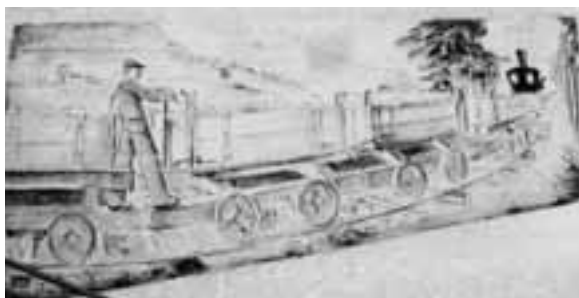
ODPRYSKI PRZESZŁOŚCI

PRZYWRÓCILIŚMY PAMIĘĆ

MAGDALENA DZIENDZIEL

Podobóz w Goleszowie naziści założyli w 1942 roku – 70 lat temu. To kawał czasu... Nie ma już cementowni, której zabudowania wykorzystano jako budynki mieszkalne dla więźniów. Jednak dzięki zaangażowaniu pana Pawła Stanieczonek ocalały naścienne malowidła zdjęte wraz z tynkiem ze ścian i przetransportowane do Muzeum Auschwitz-Birkenau. To jedyne ślad i jedyne tego typu malowidła, które zachowały się na terenie obozu i licznych podobozów KL Auschwitz. Te sześć obrazów o wymiarach około 2,5 metra na 1,7 metra namalowanych węglem, ukazujące pracę więźniów w cementowni i kamieniołomach. Kopie dzieł więźnia – artysty umieszczono w Izbie Oświęcimskiej w Goleszowie, gdzie każdy zainteresowany może je zobaczyć. Autor pozostawał w cieniu dzieł. W publikacjach podawano niepełne informacje, a jego powojenne losy uznano za nieznanne. Dominował pogląd, że więzień nie przeżył obozu, być może zginął podczas ewakuacji na trasie „marszu śmierci”. Po wielu latach dzięki zaangażowaniu kilku osób, wykorzystaniu Internetu i wielu szczęśliwym zbiegom okoliczności artysta przestał być anonimowy – udało się odtworzyć jego życiorys. Przede wszystkim okazało się, że przeżył wojnę. Interesująca jest jego przedwojenna biografia, okoliczności, które zawiodły go do Goleszowa i fakty z powojennego życiorysu. Rodzina – córka Claudie, wnuczki Nathalie i Julie oraz pozostali członkowie rodziny po wielu latach dowiedzieli się prawdy o wojennej, obozowej przeszłości swojego krewnego.

Jean Bartischan-Balazs urodził się 2 listopada 1919 roku w Oradea w Rumunii (dawna nazwa Nagyvarad), w rodzinie bogatych Żydów węgierskich. Jego rodzice posiadali w Oradea fabrykę farmaceutyków. Chcieli, aby syn poznał języki obce, a przede wszystkim, aby kształcił się w malarstwie. W 1938 roku Jean wyjechał z rodzinnego miasta. Podróżował



po Europie, ale na stałe osiadł w Lille we Francji. Był uzdolniony plastycznie, więc podjął naukę w Akademii Sztuk Pięknych w Rubaix, studiując sztuki i techniki tekstylne. Tam w 1941 roku poznał swoją przyszłą żonę, również studentkę tej uczelni. W czasie okupacji ukrywał się przed prześladowaniami. Gdziekolwiek był, pisał listy do narzeczonej. Simone Journal nie miała żydowskich korzeni, pochodziła z północnej Francji. Musiała jednak rozstać się z narzeczonym, który jako Żyd był przez nazistów skazany na śmierć. Wiadomo, że przez jakiś czas w 1942 roku mieszkał w Nancy u przyjaciół Madelaine i Vlady Koenig. Szybko włączył się w działalność francuskiego ruchu oporu. Od 1943 roku współpracował z oddziałem partyzanckim w okolicy Grenoble. Tam został aresztowany, o czym jego narzeczoną Simone, poinformowała, listem datowanym na 4 kwietnia 1944 roku, pani Goldberger.

Ktoś zdradził, gestapo przygotowało zasadzkę. W końcu marca Jean wraz z przyjacielem Jacquesem zostali schwytani w kolejce górskiej. Prawdopodobnie dostarczali przesyłkę dla partyzantów w Vercors. Obydwaj byli potwornie torturowani. Mimo stosowanego wobec nich okrucieństwa nie zdradzili nikogo, a mieli zaledwie po 24 lata. Przetrwali pobyt w katowni gestapo i znaleźli się w transporcie więźniów pochodzenia żydowskiego oraz człon-



Obrazy Jeana Bartischana-Balazsa

ków ruchu oporu z Drancy koło Paryża. 30 marca 1944 roku Jean został deportowany do KL Auschwitz-Birkenau. Otrzymał numer obozowy 176 124. Stamtąd 5 kwietnia trafił do podobozu KL Gollerschau. W czasie swego kilkumiesięcznego pobytu na ścianach zabudowań obozowych namalował sześć obrazów opowiadających o pracy więźniów.

Okrutnie los obszedł się też z rodziną Jeana. Niemcy deportowali jego matkę, dwudziestoletnią siostrę Verę i większość pozostałych członków rodziny. Matka i Vera zginęły podczas odwrotu nazistów, którzy, by zatrzeć ślady zbrodni, uciekając, zabrali ze sobą więźniów. Tak więc i one znalazły się w „marszu śmierci”. Matka upadła z wyczerpania, nie miała siły

się podnieść, Vera nie chciała jej zostawić, obydwie zostały zakatowane. To dla upamiętnienia zamordowanej siostry pierwsza córka Jeana otrzymała imię Veronique. Nikt z aresztowanych członków rodziny nie przeżył, prawdopodobnie zginęli w komorach gazowych.



Jean i Simone

Jean Bartischana-Balazs przeżył „marsz śmierci” z KL Gollerschau i trafił do obozów w Oranienburgu i Flossenburgu. Po powrocie do Francji w czerwcu 1945 roku zatrzymał się u swoich przyjaciół w Nancy. Ważył wówczas zaledwie 32 kilogramy. Po dwóch miesiącach kuracji wrócił do sił. Niemal każdego dnia pisał listy do swojej narzeczonej Simone Journal. Dopiero kiedy jego stan uległ poprawie, podjął decyzję o spotkaniu z ukochaną. Pobrali się w Mouvaux na północy Francji 8 września 1945 roku. Z tego związku w październiku 1946 urodziła się Veronique (zmarła w 2001 roku), a w styczniu 1950 roku przyszła na świat Claudie, niestety, już po śmierci ojca.



Zdjęcie ślubne
Jeana i Simone

Jean starał się żyć normalnie i raczej nie wspominał o obozowej przeszłości. Dużo malował. Malarstwo stało się jego zawodem, powoli zaczynał być osobą znaną i rozpoznawaną. Przyjął obywatelstwo francuskie i zamieszkał przy ulicy Kleber w Croix. Mimo złego stanu zdrowia podjął pracę w Instytucie Technicznym i Instytucie Joanny d'Arc w Roubaix. Poza pracą wykładowcy zajmował się malarstwem jako artysta i odniósł sukcesy na wystawach i w salonach artystycznych. W 1946 roku otrzymał medal Stowarzyszenia „Zdrowej Konkurencji”. W 1947 roku z okazji Salonu Artystów miasta Roubaix Jean Bartischan-Balazs otrzymał nagrodę Grand Prix przyznaną przez społeczność miasta, a jeden z jego obrazów miasto zakupiło. Jako lider stowarzyszenia Przyjaciół Sztuki pozostawił obrazy, które doceniono oraz projekty wzorów tekstylnych, między innymi wzory tapet.

Mimo młodego wieku Jean nie zdołał odbudować zrujnowanych przez obozy koncentracyjne sił, poważnie chorował na gruźlicę. Wiele czasu spędzał w szpitalu. W sierpniu 1949 roku jego stan bardzo się pogorszył. Rozwinęło się zapalenie opon mózgowych, które lekarze zbyt późno zdiagnozowali. W ostatnich dniach życia bardzo cierpiał, ból uśmierzano morfiną. Jean Bartischan-Balazs zmarł 12 września 1949 roku w szpitalu Calmette w Lille. Miał zaledwie 29 lat. Jego żona Simone nie wyszła za mąż po raz drugi, pielęgnowała pamięć męża i ojca swoich córek, bardzo często opowiadała o nim, tworząc obraz człowieka kochającego, ujmującego i bardzo przyjaznego.

W rodzinie niewiele mówiono o czasach II wojny światowej. Nawet najbliżsi nie znali prawdy o obozowym koszmarze. Jean nie chciał opowiadać o tym, co przeżyli i czego doświadczyli w obozie on i jego przyjaciele. O przeszłości wspominał tylko wytatuowany na przedramieniu numer obozowy. Okruchy prawdy dotyczące aresztowania i przesłuchań przez gestapo ujawnił Simone przyjaciel Jeana – Jacques. Przeszłość obozowa pozostawała tajemnicą.

Zapewne nigdy nie dowiedzieliby się prawdy, gdyby



Jean z córką Weroniką (ur. w 1946 r.)
– widoczny nr obozowy 176 124



Córki artysty Weronika i Klaudia

i obiecał odszukać innych krewnych. Okazało się, że jedna z córek Jeana żyje, mieszka w Nicei i ma na imię Claudie. Dzięki uruchomieniu rodzinnych kontaktów zdobył adres Claudie i przekazał jej uzyskane z Goleiszowa informacje. Córka Jeana Bartischan-Balazs okazała się osobą niezwykle otwartą i chętnie uzupełniła informacje na temat ojca. W mailu napisała, że „z wielką przyjemnością otrzymała wiadomość, dzięki kuzynowi ze strony matki (Jean-Francois), sama poszukiwała kiedyś śladów wojennej przeszłości ojca, wysyłała maile, ale nigdy nie otrzymała odpowiedzi.” Prawda o obozowej przeszłości, o malowidłach wykonanych przez ojca i radość, że odnalazła ważne ślady jego życia, spowodowała, że postanowiła sięgnąć do rodzinnych pamiątek, które przechowywała po śmierci matki. Zebrała zachowane listy (przepisane przez Claudie, bo rękopisy byłyby trudne do odczytania!), fotografie rodzinne, dzieła plastyczne, a ich kopie przekazała drogą mailową. Dopowiedziała historię życia swego ojca.

Z wielkim wzruszeniem pisała, że informacje z Goleiszowa „wywołały lawinę”, w jej spokojne życie „wszedł” ojciec, którego przecież nie znała. Claudie pisała: „Odkrywam tatę,



Jean i Simone

nie splot pewnych okoliczności. Kuzyn córek Jeana – pan Jean Francois Clarisse jest zapalonym internautą. Szperając w Internecie, trafił na stronę Fundacji Dziedzictwa Żydowskiego i z filmu przygotowanego w Gimnazjum w Goleiszowie pt. „Jean Bartischan więzień – artysta”, dowiedział się o malowidłach i tajemniczym więźniu. Zaintrygowany i poruszony tą historią napisał maila do autorów. Okazało się, że odnalazł w ten sposób swego wuja, a my dowiedzieliśmy się, że autor goleszowskich malowideł przeżył wojnę. Pan Clarisse przesłał wycinki prasowe, fotokopie obrazów

który pozostawał dla mnie, urodzonej cztery miesiące po jego śmierci, osobą raczej nierelacyjną i odległą. A teraz staje się coraz bardziej obecny i to mnie niesamowicie porusza. Wydaje mi się teraz, że naprawdę go poznałam, to uczucie trudne do określenia, ono dopiero się rodzi. Byłam bardzo wzruszona przepisując jego listy [...] Jestem za to niezmiernie wdzięczna choć wywróciście moje życie do góry nogami”. Po śmierci swojej mamy Claudie zabrała wszystkie dokumenty, pamiątki, zapakowała i odstawiła. Wiedziała,

21.6.57.	
Name	BARTISCHAU, JEAN
BD	J. M. 44 BP NASSY YALAZD
Next of Kin	
Source of Information	ARR. NO. GOLLESCHAU (AUSCHWITZ)
Last kn. Location	Date
CC/Death	lib
Transf. on	to
Died on	in
Cause of death	
Buried on	in
Grave	D.C. No.
Remarks	NO EXACT DATE OF ARRIVAL OR DEPARTURE IS GIVEN.

Dokument z Instytutu Yad Vashem w Jerozolimie potwierdzający pobyt więźnia J. Bartischan-Balazs w podoboziu KL Golleschau

że wśród nich są listy ojca do mamy, ale nie chciała naruszać ich intymności. Po wielu latach sięgnęła do schowka. I nie kryje, że łyż często przerywały jej czytanie.

Nie wiem, czy to koniec tej historii. Z Claudie utrzymuję kontakt mailowy. Czasem mam wrażenie, jakbyśmy się dobrze znały. Wysyłamy do siebie życzenia urodzinowe, świąteczne, pocztówki

z podróży, zdjęcia. Claudie opowiada o swoich siostrzenicach. Szczególnie bliskie relacje łączą ją z Nathalie. Okazało się, że wnuczki dopiero teraz poznają swego dziadka. Ich mama Weronique nigdy nie rozmawiała z córkami o swoim ojcu. Claudie nadrabia więc zaległości siostry.

Wysłałam do Nicei wspomnienia więźniów obozu Auschwitz-Birkenau w wersji francuskiej „Témoins d-Auschwitz”. Claudie bardzo lubi czytać, ale jak pisze „musiała przerywać lekturę, bo ta prawda wydaje się nie do zniesienia...”. Nie wiem, czy zechce się zmierzyć z historią obozu i poznać miejsca, w których jej ojciec tyle wycierpiał, nie wiem, czy przyjedzie do Polski... Zobaczymy.



Artykuł, który ukazał się w prasie po śmierci J. Bartischana-Balazsa

Korzystałam z pomocy i uprzejmości wielu osób. Dziękuję za tłumaczenia państwu Małgorzacie i Jean-Claudowi Hauptamanom oraz swojej koleżance Beacie Sauer. Wdzięczna jestem pani Agnieszce Sieradzkiej z Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau za kontakt z tłumaczką Dorotą Ryszką, dzięki której przekazane przez Claudie listy zostały przetłumaczone.

MATERIAŁY ŹRÓDŁOWE PRZESŁANE PRZEZ CLAUDIE BARTISCHAN-BALAZS

List pani Goldberger do Simone Journal w sprawie aresztowania Jeana Bartischan-Balazsa

Paryż, 4 kwietnia 1944 r.

Szanowna Pani!

Z żalem informuję Panią o aresztowaniu Pani narzeczonego Bartischana Jeana, które miało miejsce w Grenoble. Został zawieziony do Drancy w tym samym czasie co mój mąż, który mógł mi przestać kilka słów. Nie wiem, w jaki sposób przekazać tę wiadomość. Został zabrany 27 marca z dworca Bobigny w kierunku Metz, następnie jak sądzę, do Niemiec lub do Czechosłowacji. Nie miałam odwagi napisać Pani o tym wcześniej, ponieważ sama zostałam z dwójką dzieci i sama byłam przybita tym nieszczęściem. Odwagi, niech się Pani nie poddaje, mam nadzieję, że wojna nie będzie trwać długo. Jeśli chce Pani dokładniejszych informacji na temat jego aresztowania, proszę mi napisać, powiem Pan i co wiem. Poszłam na dworzec w czasie ich wyjazdu na Wschód, ale niestety nie mogłam ich spotkać.

Proszę wybaczyć mi to opóźnienie, ale mam nadzieję, że Pani nie będzie miała mi tego za złe, ponieważ to nie z lenistwa nie zrobiłam tego wcześniej.

W oczekiwaniu na wiadomość od Pani łączę wyrazy szacunku.

Pani Goldberger

Paris le 4 Avril 1944.

Chère Mademoiselle

De la part de votre femme
Bartischan Jean, j'ai le regret de
vous annoncer l'arrestation qui
a eu lieu à Grenoble, et a été
annoncée à Drancy en même
temps que votre mari qui a
pu me faire parvenir quelques
lettres. Je ne suis pas convenu
de vous annoncer la nouvelle, et
a été amené le 27 Mars en
station gare Bobigny en direction de
Metz puis le soir vers l'Allemagne
ou la Belgique. Je n'ai
pas eu le courage de vous écrire

Oryginalny list J. Bartischana-Balazsa
do pani Goldberger

Kopia listu wysłanego przez Jeana Bartischana-Balazsa do narzeczonej Simone Journal w dniu 28 czerwca 1945 po jego powrocie z obozów do Francji.

Najdroższa Moja,

Spałem jak aniołek (należałoby jeszcze ustalić, czy aniołki śpią w poprzek łóżka) i pierwszą rzeczą, jaka przyszła mi do głowy to to, że mam wrażenie, iż kocham Cię jeszcze bardziej niż wczoraj. To jedno. A potem zjawiała się Madeleine i rozmawialiśmy o Tobie. I o naszych

planach i zamierzeniach na przyszłość. Bardzo Cię lubi, a ty wciąż nie odpowiedziałaś na jej list... Sprawiałabyś jej ogromną przyjemność.

Kochanie, właśnie zdałem sobie sprawę, że to mój pierwszy list... To wspaniałe. Pierwszy od mniej więcej piętnastu miesięcy. Cokolwiek by się stało, miej zaufanie – taka będzie dewiza naszej dynastii, dobrze? Taką zrobię dla nas tarczę herbową (Kocham Cię).



Oryginalny list J. Bartischana-Balazsa do Simone

nic bardziej uroczego. Jestem w nim zaraźnie, wciąż się uśmiecha i tchnie zdrowiem. Jest opalony tak jak i jego pupcia, bo chodzi sobie nagusieńki nad brzegiem rzeki. Ale tego nie da się opowiedzieć, trzeba go zobaczyć i potrzymać na rękach. Przed chwilą przyszedł do mnie, z zaspanymi jeszcze oczami i powiedział do mnie: „Dzień dobry ojczu mój chrzestny”, a mnie zrobiło się tak miękko w sercu i jestem dumny jak król (A kiedy już sam będę miał dziecko... co to wtedy dopiero będzie?!).

Podróż miałem bardzo dobrą, pomimo przepowiedni Świętej Otylii (wtedy na dworcu), a nawet lepszą niż poprzednio; od razu miałem przesiadki i to z tego samego miejsca. Przybyłem jak skowronek, wcale nie byłem zmęczony, ale kiedy są przerwy w podróży, jest znacznie lepiej. A tutaj, na miejscu, cóż za wspaniałe powitanie: czekano na mnie od dawna i nawet pomalowali drzwi do mojego pokoju, bo „byłoby nieładnie, a przecież ma przyjechać Jean.” A potem Jean to, Jean tamto aż się prawie obrazili, że nie zostaną u nich przez trzy miesiące... Przygotowali bardzo pieczołowicie plan, jak mnie postawić na nogi, ale chyba umrę od tej ich troski, od witamin, kalorii, i Bóg jeden wie czego jeszcze. Ale przechodzę do sedna: do mojego chrześniaka.

Powiem uczciwie, nigdy jeszcze nie widziałem kochany, tak jak wszyscy, mówi już bardzo wyraźnie, wciąż się uśmiecha i tchnie zdrowiem. Jest opalony tak jak i jego pupcia, bo chodzi sobie nagusieńki nad brzegiem rzeki. Ale tego nie da się opowiedzieć, trzeba go zobaczyć i potrzymać na rękach. Przed chwilą przyszedł do mnie, z zaspanymi jeszcze oczami i powiedział do mnie: „Dzień dobry ojczu mój chrzestny”, a mnie zrobiło się tak miękko w sercu i jestem dumny jak król (A kiedy już sam będę miał dziecko... co to wtedy dopiero będzie?!).

Jestem tutaj jak u siebie w domu (prawie) i jestem szczęśliwy. Odpocznę tyle, ile trzeba. Jedzenie jest u nich znakomite, więc wszystko w porządku: Toptô, kochanie, kiedy wrócę do Ciebie będę jak z reklamy zdrowych produktów „Bébé Cadum”. Aha, no właśnie: przypomniałem sobie o moim zdjęciu rentgenowskim, które zapomniałem wziąć ze sobą, trzeba będzie je wysłać w takiej kopercie zrobionej z podklejonego papieru pakowego. I nie wolno jej składać!

Powiedz mi „moja najdroższa z istot” czy wiesz, że będziemy bardzo szczęśliwi? Myślę o tym bez przerwy i chciałbym, żeby było między nami jeszcze lepiej i choć może trochę gorzko jest zaczynać w ten sposób, ale tak bardzo pragnę Ci dać, już na początku, wszystko to, na co zasługujesz, wszystkie te piękne rzeczy i udogodnienia, mówić z zachwytem o tych samych sprawach, o których mówił Ci Jocelyn (nie wiem, kto to jest?) Nasz Jocelyn. Ale dojdę do tego, bo bardzo chcę, a kiedy bardzo chcę...

Kocham Cię, wiesz? Zamknij oczy, bo właśnie Cię całuję.

Jean

Kopia listu Jeana Bartischana-Balazsa, napisanego odręcznie 30 sierpnia 1945 roku, w którym opisuje spotkanie z Georgesem, przyjacielem i towarzyszem z Ruchu Oporu

W telegramie przeczytałem: „Będę do 24 godzin”, a poniżej jego podpisu było też inne nazwisko, którego nie znałem. Przez chwilę byłem zaniepokojony, ale zaraz potem uśmiechnąłem się i do głowy przyszły mi właściwe słowa: wojenny pseudonim. No jasne, on też miał taki pseudonim, tak jak my wszyscy, ale nie każdy mógł o tym wiedzieć... Nagle pomyślałem o Yves, który wciąż z nim był: a więc żyją, żyją obydwaj.

Za oknem świt, ciężkie galopujące chmury i przypomniałem sobie od razu inny, jakże podobny początek dnia. Prawie taki sam... Grenoble było jeszcze uspione ze swoimi pustymi oknami i masą potłuczonego szkła na ulicach, a dalej, na opustoszałym cours Berriat niemiecki patrol szedł powoli z karabinami maszynowymi gotowymi do strzału. Wtedy właśnie utraciłem wolność i wtedy też, gołymi rękami, rozpoczęła się milcząca walka. Dzień budził się za chmurami i tak jakbym był obcy dla samego siebie, przeszedłem przez bramę budynku, gdzie zaczęło się tak wiele ludzkich cierpień. Budynek przy cours Berriat... siedziba Gestapo.

Drżałem, stojąc przed oknem w samej tylko piżamie. Potem ktoś zagwizdał gdzieś na ulicy, na dole, kilka nut głupawej piosenki, ale moje serce w jednej chwili zaczęło bić szybciej i wybiegłem czym prędzej na schody, żeby otworzyć drzwi i wpaść w ramiona Georges'a. Przycisnąłem go do siebie tak mocno, jak dziecko przytula się do ojca, kiedy obudzi je jakiś koszmar. Ja też budziłem się z koszmaru i bałem się, że nigdy już nie odnajdę Georges'a, który tak łatwo mógł przecież zniknąć. Ale on był tutaj, poklepywałem go teraz po plecach i patrzyłem na jego twarz, która na mój widok rozjaśniała się w uśmiechu czułym i dobrym. Przedtem, w Ruchu Oporu... jego twarz była stanowcza, jego spojrzenie mroczne i prawie metaliczne; był spięty, gdyż tylko jedna myśl w nim dominowała i wypełniała cały jego umysł: walka. Tę twarz spijałem moimi oczami, był teraz tutaj, przede mną, promienny. Odnaleźliśmy się znowu, dwaj bracia połączeni tą samą walką. On miał więcej szczęścia, gdyż mógł tę walkę doprowadzić do końca. Podczas gdy ja...

Nagle, za jego plecami dostrzegłem młodą kobietę w mundurze koloru khaki, która przyglądała się nam, a w jej oczach zobaczyłem wielką przyjaźń... „To moja żona Annie – powiedział do mnie i objąłem ją jak siostrę, której do tej pory nie znałem (była łączniczką w Villeurbanne). Powiedziała do mnie: „Brakuje tak wielu spośród was, więc zajęłam czyjeś wolne miejsce” – popatrzyła uważnie, a ja odpowiedziałem jej: „tak” i podałem jej rękę. Siedzieli naprzeciw mnie, oboje w mundurach khaki,



Portret więźnia namalowany przez
J. Bartischana-Balazsa

a ja milczałem, gdyż moje gardło ścisnęło się w chwili, gdy widziałem tak wielkie szczęście i tak wielką przyjaźń.

Georges powiedział do mnie: „Dowiedziałem się w Paryżu od Yvesa, że wróciłeś, więc zdjęłem twoje zdjęcie ze ściany”. Moje zdjęcie na ścianie? – „Tak, na tej ścianie, gdzie wcześniej wisały zdjęcia moich rodziców, mojej chrześnicy i gdzie, za każdym razem, gdy się zjawiałeś, odchylałeś krzesło do tyłu i opierałeś się głową o mur. Od tej pory – powiedział mi jakby z poczuciem winy – twoje zdjęcie tam było, pośród zdjęć tych, których rozstrzelano.

Wiedziałem dobrze, że nikt nie spodziewał się ujrzeć mnie żywym. Byłem słaby, wyszedłem dopiero ze szpitala, ale teraz byłem jednak tutaj. Te słowa dźwięczały mi w głowie i powoli otoczyły warstwą realności marzenie z tych długich i ponurych wieczorów: być tutaj! Wyciągnąłem rękę, żeby chwycić jego dłoń, a wtedy jego twarz zachmurzyła się, wziął moje ramię i wierzchem dłoni przesunął po nim tak, jakby chciał zmasać numer, który na nim ujrział. Małe niebieskie cyferki złożone z drobnych punkcików. Przyjrzał się im uważnie: To jest twój wojenny pseudonim – rzekł do mnie.

Podniosłem się z krzesła i poszedłem przynieść coś do zjedzenia. Całą noc byli w drodze. Na zewnątrz było jeszcze ciemno, przez przeszklone drzwi przedzierał się wiatr, wypełniając pokój zapachem sosen. Wszystko było szare, wyblakłe, tak jakby jeszcze przepętnione snem i tylko te dwie sylwetki nabierały cech realności. Noc właśnie się skończyła... I wyszedłem z niej. Ale co z Etienne'm i innymi? ... A my jesteśmy tutaj – mówiłem, jakby kontynuując myśl i bałem się pomyśleć o czymś innym, o zdjęciach na ścianie. Ale on wiedział, czego się obawiam. Odwrócił twarz w stronę bladego światła, przypominał teraz jeden z portretów Rembrandta, a jego usta otwarły się wreszcie, żeby opowiedzieć mi o tych zdjęciach.

Usiadłem głębiej w fotelu, całkiem mały, żeby lepiej znieść cios, który miał mnie dosięgnąć:

Jest tam zdjęcie Etienne'a – Mój Boże, dlaczego wciąż jest tak ciemno – taka była moja pierwsza refleksja, a potem wypełniła mnie pustka. Łzy napłynęły mi do oczu, a stamtąd spłynęły do gardła, żeby rozlać się, parząc i przepętniając całe moje wnętrze. Właśnie On. Tu i teraz, ten którego chcieliśmy najbardziej zachować przy życiu. Z oczami dziecka, ten marzyciel, który mówił nam w 1940 tuż przed Bożym Narodzeniem... „Ale to wszystko jest przecież niemożliwe... Zobaczycie sami, ludzie wyruszą do lasu, ukryją się, zorganizują i tam wykuje się wolność, nasze prawo do wolności”. – No a co z zaopatrzeniem? – „To nieważne – (wykonał nieokreślony gest) – chłopci, nie wiem jeszcze jak to będzie, ale poradzimy sobie, tak, chłopci pomogą, najpierw ci z okolicy, a potem cała Francja. Zobaczycie...”

„Etienne rozstrzelany, Emile deportowany (wrócił przedwczoraj, z dwoma płucami w strzępach)”. Mówiąc to, Georges patrzył przez okno gdzieś w dal. „A potem rozstrzelali małego Lamberta, i jeszcze brata Yvesa. Było tam też twoje zdjęcie, ale mogłem je zdjąć ze ściany”. I znowu uśmiech rozjaśnił mrok i nędzę tego świata. Znowu zagłębiłem się w fotelu, a Anna piła w milczeniu kawę.

„Jakimś cudem dowiedzieliśmy się, co się stało z Etienne'm” – zaczął znowu mówić cichym głosem Georges, jak wtedy, gdy trudno zapanować nad łzami. Udało nam się zdobyć jego akta i zdjęcia. Annie zadrżała. „Tak, zdjęcia, na których było widać jego zniekształconą głowę, obolałą i z oberwanymi uszami. Twarz wykrzywiona okropnym grymasem; nic nie pozostało z twarzy szczęśliwego dziecka, z twarzy marzyciela. Śledzili go, któregoś dnia przyczaili się na niego w jakimś mieszkaniu, do którego miał przyjść. „Pomyliłem adres” – powiedział

im, ale oni już coś wyczuli. Zaczęły się trwające bez końca przesłuchania i tortury. Wracał do swojej celi coraz bardziej zmaltretowany, aż w końcu nie chciał już ani jeść, ani mówić. Chociaż nie, zostało mu jeszcze tyle sił, żeby powiedzieć do tych, którzy szli na przesłuchanie: „Trzymajcie się!”. To była wielka walka, jego walka. I on ją wygrał. Nigdy o tym nie mówił i nigdy o tym już nie będzie mógł nic powiedzieć... Opowiedział nam o tym ktoś inny, jedyny, któremu udało się uniknąć śmierci spośród tych dziewiętnastu, których przetrzymywano razem z Etienne'em. To był student medycyny, który udawał wariata: przez szesnaście dni był zamknięty w pustej celi wiedząc, że jest pod ciągłą obserwacją. Przez szesnaście dni robił dziwne miny albo patrzył gdzieś w dal, robił w łóżku pod siebie, rozmażywał sobie jedzenie po całej twarzy. W końcu przenieśli go do zakładu dla psychicznie chorych. Wkrótce potem siedmiu naszych uciekło z więzienia, i to w jaki sposób! Twarz Georgesa rozpromieniła się i pojawił się na niej niemal radosny uśmiech. Wśród nich był też matematyk z nogą w gipsie, a inny znowu był z całkiem świeżą raną. Porobili wyliczenia i któregoś dnia w samo południe poradzili sobie z drutami kolczastymi za pomocą rzemieni i pasów zdobytych wcześniej w izbie chorych. Dzięki obliczeniom matematyka, strażnik nie wiedział, co się dzieje, bo słońce świeciło mu prosto w oczy i nie pozwalało mu widzieć miejsca, w którym nasi chłopcy uciekali (wszystko zostało dokładnie i naukowo przewidziane przez matematyka). A na dole czekał już samochód... i udało im się. Zajęło to sporo czasu, ale doskonale to przygotowali i powiodło się! Każdy z siedmiu uciekinierów był ranny, więc nic dziwnego, że najpierw musieli się podleczyć. Ukryto ich w małym tajnym szpitalu. Razem ukrywało się ich około dziesięciu u doktora, który też należał do Ruchu Oporu. I oto jakiś czas później nadchodzą wielkie dni, wznoszone są barykady i pewnego pięknego słonecznego poranka nasz doktor schodzi do szpitala, w którym nie ma już nikogo. Ani żywej duszy. Gdzieś w oddali słychać strzelaninę. Doktor uśmiecha się, bo się przecież nie myli: jego pacjenci, w gipsie, z obandażowanymi rękami i z kulami w brzuchu, ledwo chodząc, utykając, są już na barykadach! A w tej bitwie znalazł się i taki, który nagle przypomniał sobie o naszym „wariacie” z zakładu psychiatrycznego, więc wyruszyli natychmiast po niego. Niewiele brakowało, żeby zwariował naprawdę! To dzięki niemu poznaliśmy nazwisko Etienne'a, jego podrobione dokumenty, na podstawie których go aresztowano i mogliśmy odnaleźć zbiorową mogiłę, gdzie wrzucono go razem z osiemnastoma innymi naszymi ludźmi”.

Przemawia do mnie maska, a słowa spływają we mnie jak kawałeczki lodu, przywołując tak wiele złych wspomnień. Jestem cały zdrętwiały, a papieros, który trzymałem w palcach, zamienił się w malutką sztabkę popiołu. Mam teraz wrażenie, jakbym to ja sam był tą szarą, suchą i pozbawioną esencji sztabką.

A przecież mówił mi mój towarzysz tam, w Mariensbourgu [Marienburgu?/Malborku?]: „Zobaczysz, że dopiero później będziemy naprawdę odczuwali wielki ból. Kiedy już będziemy wolni”. I teraz właśnie odczuwam ból, straszliwy ból. Etienne, mały Lambert, brat Yvessa i inni... Zostali gdzieś po drodze, tak jak ci, których zabijano, kiedy nie mogli już dalej iść po niemieckich drogach.

Wielkie radości, wielkie marzenia, chcieliśmy się nimi dzielić. Lecz kiedy skończył się koszmar, odnajduję tylko jednego z tych, którzy razem ze mną czekali na ten moment...

Za oknem słońce rozświetla wreszcie pnie sosen i nisko płynące chmury. Noc dobiegała końca.

Georges był tutaj, razem ze mną, w tym świetle i wyglądaliśmy na ludzi, którzy jeszcze nigdy nie zasnęli...

Zastanawiałem się, czy jeszcze coś powie. Mówiłem do samego siebie: czy to nie on dotyka tych rzeczy i spraw, które tkwią we mnie najgłębiej? I wtedy nagle na otaczający mnie świat spłynęło pocieszenie: przecież on jest tutaj, on i wszyscy inni spośród nas, z ich słowami, ich marzeniami, które były naszymi wspólnymi marzeniami. Marzenie o wolności. To samo pragnienie, a oni zawsze podniosą się, kiedy będzie trzeba, uśmiechnięci, ufni, i wyruszą przed siebie, żeby cierpieć i upaść i nigdy nie powrócić. Ileż tego było... Mój Boże, ile też, ile tak cennej krwi. Każda z napływających mi do oczu łez chciała pogłodzić tę, jakże drogą mi, twarz. Do głowy przyszło mi wtedy zdanie Paula Valéry'ego: „Śmierć mówi do nas cicho, żeby nic nie powiedzieć...”. Żeby nic nie powiedzieć? Ich heroizm właściwie wcale nie jest heroizmem: oni po prostu umierali tak, jak kochali, a przecież tak mocno kochali! Jak bardzo mocno kochali...!

Kopia tekstu napisanego przez Jeana Bartischana-Balazsa zaraz po zbombardowaniu przez Anglików obozu, w którym przebywał.

Nie widzieliśmy jeszcze tak pięknego słońca, od kiedy jestem w tym kraju.

Siedziałem na ziemi oparty o fragment muru „byłego” warsztatu stolarskiego, na czystym piasku, prawie jak nad morzem, i ssałem kawałek drewna. Cudowne słońce spływało na ten pejzaż aż po sam horyzont.

– No właśnie – powiedział Clément – już czas, żeby upiec nasze ziemniaki, po czym poklepał się dobrodusznie po brzuchu.

– Nie mamy ognia – zauważył Bask ponury jak zawsze. Nie mamy ognia? Popatrzyłem wokoło: przestrzeń kilometra kwadratowego wypełniona była lejami od bomb i szczątkami tego, co jeszcze wczoraj było gigantyczną fabryką produkującą granaty z obozem dla deportowanych w środku.

Wczoraj życie wyglądało zupełnie inaczej. Jeszcze wczoraj byliśmy więźniami, tymi przeklętymi, a śmierć przechadzała się wśród nas i miała odrażającą szwabską gębę, śmierć potężna jak huta.

A potem pojawili się Anglicy; nie lecieli wysoko i zasypali to wszystko tymi ich kulkami o wadze 250 kilogramów! Paskudny przeżyliśmy kwadrans, naprawdę paskudny! Ale dzisiaj... cała ta machina do wykańczania ludzi na wolnym ogniu wreszcie się zatrzymała. Po monotonie wlokących się, niekończących się i męczących godzinach, nadszedł czas słońca i nastąpiła przerwa: siedzę sobie spokojnie w słońcu w samo południe, oparty o rozgrzany mur. Dali nam wreszcie spokój. Nie sądziłem, że coś takiego jest jeszcze w ogóle możliwe...

Clément chciał upiec ziemniaki. Nie mamy ognia! A jakbyśmy tak podpalili ognisko pociskiem fosforowym? – zapytał Cyprien. Leżała ich cała masa wokół nas, jak grzyby po deszczu, a większość z nich nie wybuchła. Pociski wyglądały jak grube kredki.

– Fosforem? – odparł z pogardą Bask. – Jesteś jeszcze większym głupolem, niż wczoraj. A jak ci wybuchnie prosto w twarz, to co wtedy powiesz?

Cyprien zaczerwienił się i wyglądał jeszcze bardziej chłopięco niż zwykle.

– Głupol – powtórzył Bask – no bo, żeby znaleźć się tutaj, kiedy się nic nie zrobiło... – nawet nie skończył zdania i patrzył zamyślony na ziemniaki.

Clément podniósł się, wziął do ręki pocisk i zastanawiał się.

Miałem na wpół przymknięte oczy i podziwiałem z przyjemnością i bez znużenia pejzaż. Kilometr od nas, na brzegu kanału widać było barki leżące na boku, które w mocnym i jasnym świetle wydawały się drzeć na rozległej przestrzeni pełnej małych pagórków usypanych z jakichś szczątków i piasku. Kumple łązili jak letnicy na wakacjach aż przyjemnie było na nich patrzeć.

– Można by spróbować – ogłosił Clément dołączając do Baska. – Rzucę pociskiem w ścianę, z dużej odległości, a jeśli trafię właściwym końcem, powinno się udać. Nie wybuchnie, a tylko zacznie się palić. Przygotuj trochę desek.

Patrzyliśmy z daleka, jak się do tego zabiera. Sześć razy rzucił pociskiem o mur, ale bez rezultatu. W końcu jednak dał się słyszeć dźwięk jakby palącego się tłuszczu i oślepiające światło rozlało się wokół. Clément podszedł bliżej i rzucił na ogień deski, które od razu zaczęły się palić. Pomyślałem sobie, jak to musiało wyglądać w Berlinie, kiedy takie pociski spadały tam jak deszcz.

Kiedy skończyliśmy jeść, skrzyłem papierosa z papieru pakowego i zapaliliśmy podając go sobie po kolei. Było przyjemnie, Clément miał ochotę uciąć sobie drzemkę, jak mawiał! Wywołało to uśmiech na twarzy Baska – aż nie mogłem uwierzyć, bo nigdy nie ośmieliłbym wyobrazić sobie jego buźki inaczej jak ze spojrzeniem, które doprowadza małe dziewczynki do płaczu... A przecież nie był z niego zły gość! Ale ta jego mania, żeby czepiać się Cypriena nazywając go „głupolem”, i że zatrzymano go, torturowano i deportowano, nie wiadomo za co. Nie potrafił tego pojąć! Każdy z nas miał jakiś jasny powód, dla którego się tutaj znalazł i każdy z nas pocieszał się tym, że wcześniej na to solidnie „zapracował”. Dlatego Bask wpadał w złość, kiedy widział tego małego mięczaka wśród nas. „No, ale dlaczego nic nie zrobiłeś? – pytał go bez końca, między dwoma spustami surówki w hucie. I dzisiaj znowu to samo już w ruinach tej samej huty. A przecież wiedziałem dobrze, że go bardzo lubi. To może wydać się dziwne, ale byłem tego pewien.

Cyprien nigdy nie odpowiadał, opuszczał ramiona i dalej włókł za sobą swoje życie, tak jak inni. Trochę jak dziewczynka, z drobnymi rękami i szarymi oczami.

– Dajże mu wreszcie spokój. Mamy już powyżej uszu tych twoich historii – mówiłem do niego na koniec, po czym ściągałem beret na nos i próbowałem zasnąć.

Clément schował resztę ziemniaków, które zebraliśmy w ruinach kuchni. Bo nazajutrz po bombardowaniu zapędzili nas z dużego obozu, żeby odgruzowywać – trochę się przy tym uśmiałyśmy – i kiedy już zjawiliśmy się na miejscu, rozproszyliśmy się jak mrówki w poszukiwaniu czegoś, co można by wziąć na ząb. Kapo darli się na nas na darmo, bo spróbuj tylko nas znaleźć w tym labiryncie gruzu, dziur i ruin! A teraz mieliśmy ziemniaki i to nie tyle, co dawali w niedzielę, cztery czy pięć, ale pełen worek! Zsuwały nam się do żołądka tak, jakby były z omastą.

Pomyślałem o naszej ostatniej ziemniaczanej uczcie i w półśnie uśmiechałem się ze szczęścia. Tymczasem Bask znowu zaczął przemawiać, a wtedy wstałem i skierowałem wzrok na małego: patrzył prosto w twarz Baska, ale wyglądało to tak, jakby patrzył gdzieś dalej przenikając go wzrokiem. Dalej nawet niż uszkodzona wieża strażnicza, dalej niż sosnowe lasy i dymy nad Berlinem na horyzoncie.

Słońce zaczynało chylić się ku zachodowi i pomyśleliśmy, że czas już wracać, bo kolumna więźniów formowała się przy wejściu do obozu. Wracać, chociaż się nie pracowało: zupełnie

jak we śnie! „Chyba nie będę mógł zasnąć” – zauważył Bask i wyruszył radośnie w drogę, jak uczniowie wyruszają na wycieczkę na koniec roku szkolnego. Uczniowie, może i tak, chociaż cokolwiek dziwna ta szkoła...

Następnego dnia, zaraz po przybyciu, Schuster, oficer SS, spacerował przed nami ustawionymi w rzędach, jak zawsze, z tą swoją małą główką degenerata i kpił sobie z nas, jak zawsze, półgłosem i jak zawsze po francusku. Organizował ekipy do rozbijania bomb i obiecywał, ten mały wredny sadysta, dodatkowe racje chleba tym, którzy zaryzykują. Niewielu jednak było na tyle pomylnych, żeby tam iść.

Patrzył na nich schowany bezpiecznie w jakiejś dziurze, jak zbliżają się czołgając powoli i dotykają bomby, tak jakby chcieli pogłaskać śpiącą matkę, a potem jak wykręcają zapalnik. Wtedy wyskakiwał ze swojej nory i jak prawdziwy sadysta, ale i kompletny idiota zarazem, opluwał bombę złorzecząc i obiecując, że wyśle ją nad Anglię, trzęsąc się przy tym z wściekłości.

Tego ranka słuchałem go, jak szuka ochotników i myślałem z lubością o naszych ziemniakach.

– Tego to chciałbym kiedyś zobaczyć, jak zdycha na wolnym ogniu, a wtedy byłbym już do końca życia szczęśliwy – powiedział półgłosem Bask. Cyprien popatrzył na niego: Ha – powiedział po prostu jakby nieobecny duchem i już po chwili oddalił się od nas, żeby dołączyć do ustawionych w rzędzie ochotników, po czym ruszył w drogę z Schusterem.

My zaś wróciliśmy na nasz wyznaczony kawałek terenu do odgruzowania, a ściślej rzecz biorąc, do „opychania się naszymi ziemniakami”. W oddali, nawet z tego miejsca, w którym staliśmy, mogliśmy dostrzec Schustera, jak pokazuje lej po bombie jakiemuś koledze, inny znowu wskazuje Cyprienowi, żeby zaraz potem ukryć się w trzeciej dziurze. Bask odkopywał nasze ziemniaki: – Mam ochotę wspiąć się na ten podnośnik – powiedział. – Ten wózek, to jedyna rzecz, która jeszcze stoi tu pionowo, a z jego stalowym pancierzem, nie ma się co obawiać podmuchu od bomby – dodał tonem znawcy. – Ale po co włączisz tak wysoko? Co? Niedobrze ci tutaj, na dole? – zapytałem go sentencjonalnie. „Owszem, ale chciałbym zobaczyć, jak on pieści tę bombę, ten nasz głupol”. „No dobra, chodźmy popatrzeć” – powiedziałem po chwili zastanowienia. Z góry widać było prawie samo dno leja, a w nim Cypriena wielkości mrówki. Przykucnął, ale **nie robił nic**. A potem nagle podniósł się i dał znać Schusterowi, który od razu wylazł ze swojej dziury, żeby jak zwykle naubliżyć bombie. Już zsunął się w dół, zbliżył się do Cypriena, który w tym właśnie momencie popatrzył w naszą stronę i po chwili uderzył dłonią w bombę. Kiedy dym rozproszył się, nie było nic widać. Spojrzałem na Baska: „Co za głupol!” – wyszeptał, a wzdłuż nosa spływała mu wielka łza.

Tłumaczenie z języka francuskiego: Dorota Ryszka

Zdjęcia i dokumenty: archiwum rodzinne Claudie Bartischan-Balazs, Jean-Fracois Clarisse, PMA-B w Oświęcimiu, Instytut Yad Vashem w Jerozolimie.

ROZDZIAŁ 4

ŚWIAT PRZYRODY

O ALTERNATYWNYM SPORCIE NARODOWYM I NIE TYLKO

TOMASZ BECZAŁA

Jak Polska długa i szeroka wyróżnia nas jedna pasja. I nie chodzi w tym miejscu o piłkę nożną czy, co gorsza, o niekończące się dyskusje na tematy polityczne. Tą pasją – wręcz sportem – jest grzybobranie, które tak kochają nasi rodacy. Wiele osób począwszy od wiosny czeka na „cynk”, że grzyby się pojawiły. Ruszamy wtedy w las z nadzieją, że to właśnie nam przytrafi się rekordowy zbiór. Skarbem, bogactwem lasu, a nierzadko łąki, stają się wtedy borowiki, podgrzybki, kanie, koźlarze, opieńki czy pieczarki. Ten ostatni gatunek być może przywołuje uśmiech na twarzy czytelników, lecz, proszę mi wierzyć, „sklepowa” pieczarka nie ma szans w starciu na smak i aromat z jej dziką „rajczulową” kuzynką.

Gmina Goleszów, jako że prawie w całości leży na Pogórzu Cieszyńskim i brak tu kwaśnego podłoża, grzybowym Eldorado nie jest. Owszem, znajdujemy na łąkach wspomniane już pieczarki, w lasach opieńki czy w dawnych wyrobiskach wapieni maślaki. Jednak, gdy liczymy na szlachetniejszy zbiór, wycieczka do Ustronia, Brennej, Wisły czy Trójwsi – czyli szeroko pojmowanej „goraliji” – nas nie minie.

Prawdziwym bogactwem są u nas grzyby rzadkie i chronione. Odwieczny paradoks przyrody. To, co nie jest dobre dla jednych, odpowiada z kolei innym. Nie będzie u nas obfitości borowików szlachetnych, ale dzięki wapiennym glebom spotkamy grzyby, których występowanie, np. w Beskidzie Śląskim, z braku odpowiedniego podłoża jest praktycznie niemożliwe.

Pierwszą z naszych mikologicznych gwiazd jest borowik korzeniasty. Jest to jeden z dwóch gatunków ściśle chronionych borowików w Polsce, drugim jest borowik królewski. Borowik korzeniasty występuje na południowych, bardzo ciepłych stokach Jasieniowej Góry – w buczynie storczykowej, której jest wyznacznikiem. Posiada szarobiałą kapelusz. Hymenofor, czyli rurki po spodniej stronie kapelusza są koloru żółtego. Nazwa „korzeniasty” wzięła się stąd, iż grzybnia na końcu trzonu jest bardzo zbita i tworzy coś na kształt korzenia.



Borowik korzeniasty

chowej i Cis w Cisownicy, na górze Jasieniowa w Goleszowie.

Grzybem, którego z kilku powodów nie można pominąć w naszym artykule, jest maślak trydencki. Po pierwsze, grzyb ten jest niezmiernie rzadki w naszym kraju. Notowany był tylko w Tatrzańskim i Pienińskim Parku Narodowym. Niestety, wielu mieszkańców gminy Goleszów odwiedzających dawne wyrobiska na Jasieniowej Górze odnajduje go później u siebie w jajecznicy. A to ogromna strata dla środowiska przyrodniczego, gdyż każdy zebrany przez nas okaz nie wyprodukuje zarodników (grzyby nie mają nasion a zarodniki), które z kolei nie dadzą początku nowej grzybni. Chrońmy więc ten gatunek, pozostawiając go w lesie, a nie postępując w myśl zasady – „chłop żywemu nie przepuści”. Rozpoznać maślaka trydenckiego jest stosunkowo łatwo – cały jest intensywnie pomarańczowy w odróżnieniu do innych maślaków u nas występujących.

Smańdze to grzyby bardzo tajemnicze. W szlacheckiej, staropolskiej kuchni były tym, czym trufle czy muchomorcy cesarskie w krainie śródziemnomorskiej. Ponadto ich kapelusz posiada wiele bruzd i pofałdowań, przez co przypomina korę mózgu. Trzon i kapelusz są w środku puste. Grzyby te, w odróżnieniu do wcześniej opisywanych, pojawiają się na wiosnę – w kwietniu i maju. Swoje występowanie

Grzyb ten jest niejadalny. W Polsce posiada zaledwie kilka stanowisk, czyli miejsc występowania, przy czym część danych pochodzi sprzed II wojny światowej.

Innym ciekawym a zarazem chronionym grzybem jest purchawica olbrzymia zwana także czasznicą olbrzymią. Spotykamy ją głównie na łąkach, pastwiskach, choć czasem wyrasta też w zaroślach czy prześwietlonych, widnych lasach. Dorasta do imponujących rozmiarów, czasem osiąga nawet do 50 cm średnicy przy wadze około 20 kilogramów w stanie świeżym. W stanie młodocianym jadalna. Na terenie gminy spotykano tego grzyba m.in. na górze Ma-



Purchawica olbrzymia



Smardz jadalny

sygnalizują mocnym, korzennym aromatem. W naszej okolicy występują dwa gatunki – smardz jadalny oraz stożkowaty. Rosną zazwyczaj w zaroślach, lasach liściastych. W ostatnich latach większość nowych stanowisk została odnaleziona na stanowiskach antropogenicznych, czyli stworzonych przez człowieka. Grzyby te dość często pojawiają się na korze, którą wysypujemy niektóre partie ogrodów. Na takich siedliskach smardze obserwowano m.in. przed Bankiem Spółdzielczym w Golezowie i przy Szkole Podstawowej w Bażanowicach. Występowanie smardzów na naturalnych stanowiskach stwierdzono m.in. na Jasieniowej Górze oraz górze Tuł. Smardze już od wielu lat objęte są ochroną, gdyż nie są już tak częste jak kiedyś. Każdy szanujący przyrodę i respektujący prawo grzybiarz powinien je omijać. Osoby, których smak i aromat smardzów zdążył już „uzależnić”, aby mieć czyste

sumienie często jeżdżą w lasy niedalekiej Słowacji – tam te grzyby nie są objęte ochroną.

Na terenie naszej gminy spotkamy jeszcze wiele chronionych bądź rzadkich grzybów. Należą do nich m.in.: gwiazdosze, borowiec dęty czy czarka szkarłatna. Obszar ten – ze względu na zróżnicowanie siedlisk, specyficzne podłoże – nadal wymaga badań i poszukiwań nowych gatunków. Smutna prawda to brak fachowców w tej dziedzinie. Mikologia jest nauką niezwykle trudną i niestety w czasach, kiedy wszystko musi być „na wczoraj” niewiele jest osób, które parają się tą profesją. Potrzeba wielu lat pracy i nauki, aby właściwie rozpoznawać, czyli oznaczać poszczególne gatunki. Grzybów makroskopowych, czyli takich, które w myśl różnych źródeł literaturowych są większe od 0,5 lub 1 cm, jest w Polsce ponad 4 tysiące gatunków, to znaczy więcej niż naszych rodzimych roślin. Należy się obawiać, że wiele grzybów wyginie, także na naszym terenie, zanim zostaną odkryte.

Grzyby, prócz walorów kulinarnych czy estetycznych – najpiękniejsze moim zdaniem są trujące muchomory czerwone – pełnią ogromnie ważną biologiczną funkcję. Biorą udział w rozkładaniu martwej materii, dzięki nim powstaje próchnica i odbywa się obieg pierwiastków w przyrodzie. W tym wypadku nie ma znaczenia czy grzyb jest jadalny, trujący czy tylko niejadalny. Wszystkie są pożyteczne. Zbieramy zatem grzyby jadalne: borowiki, koźlarze, kurki i inne. Natomiast te gatunki, które chronimy, są trujące lub niejadalne, pozostawiamy w lesie. Nie niszczy ich, nie przewracamy. Pamiętajmy, że w lesie jesteśmy tylko gośćmi, a dzięki bogactwu grzybów, tych widocznych jak i mikroskopijnych, otaczający nas świat przyrody może sprawnie funkcjonować.

OSOBLIWOŚCI MRÓWCZEGO ŚWIATA

KAMIL PODŹORSKI

Życie mrówek intrygowało ludzi od tysiącleci. W ich zhierarchizowanych, sprawnie kierowanych społecznościach, dopatrywano się analogii naszej cywilizacji. Podziwiano je za pracowitość, przezorność, karność, zdolność do poświęcenia dla celów kolonii, widząc w nich wzór do naśladowania. Przyglądając się tym owadom postrzegano jednak w ich świecie również odbicie naszych przywar i słabości. Mrówki bowiem, jak się wkrótce przekonamy, tak jak i ludzie, toczą ze sobą wojny, prowadzą grabieżcze wyprawy, biorą jeńców i wysługują się ich niewolniczą pracą. Poznając zwyczaje mrówek, inaczej niż starożytni, musimy jednak mieć w pamięci, iż są one jedynie prostymi, kierującymi się instynktami organizmami, wobec których nie znajdują zastosowania nasze pojęcia etyczne.

Starożytny uczony Klaudiusz Elian wskazywał na mrówczą pracowitość, chcąc napomnieć swych rodaków – antycznych Greków, popadających jego zdaniem w zbytne leniwość. W swym dziele „O właściwościach zwierząt” pisał: „[mrówki] są (...) bardzo chętne do pracy, niestrudzone, nigdy nie szukają wymówek ani usprawiedliwień, nie wymyślają pretekstów dla jakich zaniedbań czy ukradkowych chwil leniuchowania. (...) Ludzie, spójrzcie na siebie! Wymyślicie tysiące pozorów i wymówek dla waszej opieszałości.” Ten sam autor z podziwem opisał również stosunek omawianych owadów do swych martwych towarzyszy. Jego zdaniem wynoszą one ich ciała poza obręb kolonii w swego rodzaju procesji pogrzebowej, osłaniając je przy tym w torebkach nasiennych po pszenicy, pełniących funkcję trumny. Trzeba jednak zaznaczyć, iż mimo tego, że mrówki istotnie (w celach higienicznych) pozbywają się zwłok innych osobników, jednak starożytny uczony nieco ubarwił ich rzekome zwyczaje pogrzebowe, przypisując im w sposób nieuzasadniony ludzkie intencje.

Mroczną stroną mrówczej natury ilustruje natomiast inna opowieść, zrodzona również w kręgu kultury greckiej. Jest nią historia myrmidonów – bezwzględnych wojowników, nie znających lęku i całkowicie posłusznych rozkazom swego wodza Achilleasa, którzy według Homera mieli brać udział w Wojnie Trojańskiej. Jak głosi mit, mieli być oni niegdyś mrówkami (gr. *myrmica*), zamienionymi przez Zeusa w ludzi.

Niezależnie od tego czy patrzymy na mrówki jako na wzorcowych pracowników i gospodarzy, czy okrutnych żołnierzy, musimy pamiętać o znacznej roli, jaką odgrywają w środowisku naturalnym. Istnieją one na Ziemi już od około 100 mln lat, przy czym dziś znamy około 7500 ich gatunków. Liczbę pojedynczych osobników szacuje się na milion trylionów, zaś ich łączna masa wynosi w przybliżeniu tyle, co masa całej ludzkości żyjącej obecnie na kuli ziemskiej, stanowiąc zarazem aż 10% biomasy wszystkich zwierząt zamieszkujących nasz glob. Wpływają one w znacznym stopniu na regulację liczby innych owadów (z których wiele uważamy za szkodniki), pełnią w przyrodzie funkcję sanitarną, utylizując szczątki martwych organizmów, biorą ponadto udział w rozsiewaniu nasion wielu gatunków roślin. Zbiorowości mrówek znacznie różnią się liczebnością. Niektóre mrowiska zamieszkuje zaledwie 50 owadów, inne ponad milion. U wszystkich jednak gatunków występuje podział społeczności na 3 zasadnicze grupy, zwane kastami. Na czele kolonii stoi królowa, jedyna zdolna do rozrodu samica – matka wszystkich pozostałych członków grupy. Z niezaplodnio-

nych jaj rozwijają się przedstawiciele kolejnej z kast – samce (trutnie). Podobnie jak przyszłe królowe, są uskrzydłone i tak jak one, po osiągnięciu dojrzałości wylatują z gniazda, by się rozmnożyć i założyć nową mrówczą kolonię, której sprawne funkcjonowanie będzie opierać się na pracy nieprzeliczonych rzesz ich potomstwa – bezpłodnych robotnic, całe swoje życie poświęcających pracy na rzecz owadziej społeczności. Odrębną podgrupę, występującą jednak tylko wśród niektórych gatunków, stanowią wyspecjalizowane robotnice – żołnierze, których jedynym zadaniem jest obrona mrowiska przed intruzami. Poświęcenie, jakim wykazują się mrówki, gdy idzie o zapewnienie bezpieczeństwa rodziny jest (patrząc rzecz jasna z naszej, ludzkiej perspektywy) iście heroiczne. Robotnice gmachówek (*Camponotus*) są zbudowane niczym żywe bomby, w ich ciałach znajdują się bowiem dwa olbrzymie gruczoły zdolne do wytwarzania substancji, które po połączeniu eksplodują, zabijając znajdujących



Mrowisko mrówki rudnicy

się w pobliżu nieprzyjaciół, co oczywiście prowadzi również do śmierci żołnierza – samobójcy. Najpowszechniejszą wśród tych owadów metodą obrony jest jednak zastosowanie kwasu mrówkowego, wytwarzanego przez gruczoł znajdujący się w odwłoku. Ukąszenie rodzimych gatunków nie jest przeważnie niebezpieczne dla człowieka (wyjątek stanowią osoby uczulone na tę substancję). Do złagodzenia bólu można wykorzystać zimne okłady lub natrzeć podrażnione miejsce wodnym roztworem amoniaku. Użądlenia niektórych gatunków egzotycznych są niezwykle bolesne. Wśród pewnych plemion Indian południowoamerykańskich, młodzi mężczyźni celowo zakładają specjalnie przygotowane rękawice, wypełnione setkami tych owadów, by wykazać się wśród społeczności odpornością na ból, stanowiącą niezbędną cechę przyszłego wojownika. Rytuał taki stanowi element obrzędów inicjacyjnych, którym

musi się poddać każdy dorastający chłopiec, by zostać zaliczony w poczet mężczyzn. Niektóre ptaki (np. kruki, gawrony, sroki i sójki) wykorzystują kwas mrówkowy w zupełnie inny sposób – siadają w mrowiskach, umyślnie drażniąc owady i prowokując je do wydzielania kwasu, skutecznie tępiącego pasożyty przebywające w ptasich piórach.

Mrówki toczą między sobą wojny, które pod względem skali, jak też złożoności taktyki mogą być porównane jedynie z konfliktami prowadzonymi przez człowieka. Niedościągłymi mistrzami wojskowej strategii są niewątpliwie mrówki miodowe (*Myrmecocistus mimicus*). Jak podaje jeden z najwybitniejszych znawców życia mrówek – niemiecki uczonec prof. Bert Hölldobler, podczas działań zbrojnych posługują się one technikami wywiadowczymi, propagandowymi, a nawet stosują elementy polityki zagranicznej. Oczywiście nie może tu być mowy o jakimkolwiek świadomym planowaniu – wszystko to wyłącznie działanie, zaprogramowanego w trakcie trwającego miliony lat procesu ewolucji, instynktu. Otwarta walka zbrojna, pociągająca za sobą ogrom nieuniknionych ofiar, nie zawsze jest optymalną drogą rozwiązania konfliktu między koloniami, dlatego też mrówki miodowe starają się, o ile to możliwe, jej unikać. Najbar-

dziej zdumiewającym sposobem zażegnania krwawego starcia jest turniej, przywołujący na myśl te, organizowane przez średniowiecznych rycerzy. Poszczególne osobniki zmierzających do zwarcia społeczności wychodzą przed szereg i toczą ze sobą bezkrwawe (można by rzec, zrytualizowane) pojedynki – jeden na jednego. W ten sposób mrówki oceniają wzajemnie swą siłę i liczebność, zaś strona, która uzna swoją przegraną, przeważnie poddaje się bez walki i opuszcza sporne terytorium.



Robotnice mrówki rudnicy

Codzienne życie mrówek to jednak nie tylko walka, ale przede wszystkim praca. Owady te nie tylko zbierają pokarm zaspokajający aktualne potrzeby społeczności, lecz również (w okresach dostatku pożywienia) gromadzą zapasy na później. Niektóre trudnią się nawet rolnictwem. Najlepszym przykładem są tu grzybiarki krawczyнки (*Atta sexdens*), prowadzące w swych koloniach uprawę jadalnego grzyba. Nawóz stanowią odcinane silnymi żuwaczkami kawałki liści, znoszone do specjalnie przygotowanych podziemnych komór, w których, dzięki odpowiedniemu usytuowaniu i wentylacji, utrzymywana jest optymalna dla wzrostu grzybni temperatura i wilgotność. Powszechnie znany jest ponadto fakt, iż wiele gatunków tych owadów prowadzi hodowle mszyc, wydzielających słodki płyn zwany spadzią, który mrówki zbierają, otaczając zarazem swą trzodę troskliwą opieką i chroniąc przed drapieżnikami.

Wbrew stereotypowi, nie wszystkie mrówki utrzymują się jednak z uczciwej (w naszym pojęciu) pracy. Na przykład małe społecznice lokatorki (*Solenopsis fugax*) niepostrzeżenie wkradają się do mrowisk innych gatunków, by ukradkiem kraść zgromadzone przez nie zapasy żywności. Amazonki (*Polyergus rufescens*) posunęły się jeszcze dalej. W ogóle nie są w stanie zapewnić sobie samodzielnego utrzymania, dlatego też, przeważając nad innymi mrówkami pod względem umiejętności wojennych, napadają na ich kolonie, by uprowadzić z nich niewolników zmuszanych następnie do przymusowej pracy.

Spośród występujących na naszym terenie gatunków mrówek na uwagę zasługuje zwłaszcza rudnica (*Formica rufa*) zakładająca, przeważnie na skrajach lasów lub polanach okazałe mrowiska, połączone (w przypadku bardzo dużych kolonii) w liczące nawet kilkadziesiąt sztuk komplekсы. Łączna długość korytarzy wewnątrz takiego gniazda może dochodzić nawet do kilku kilometrów. Długość ciała omawianej mrówki waha się (w zależności od kasty) od 4 do ponad 10 mm. Robotnice żyją przeciętnie 5–6 lat, królowe nawet ponad 20. Samce są znacznie bardziej krótkowieczne, osiągają bowiem wiek najwyżej kilku tygodni. Każdy osobnik posiada parę dużych oczu złożonych (w skład których wchodzi kilkaset do kilku tysięcy małych oczek elementarnych), które umożliwiają sprawną orientację w przestrzeni i są szczególnie wrażliwe na ruch, choć źle rozróżniają kolory. Widzenie w ciemności zapewniają natomiast dodatkowe przyoczka. W społeczności rudnic, podobnie jak większości mrówek, istnieje duża funkcyjna specjalizacja w ramach dominującej licznie kasty robotnic. Większość z nich zajmuje się pracą wewnątrz kolonii, zwłaszcza opieką nad królową. Niewielki odsetek (tzw. furazerki) dba o zaopatrzenie kolonii w żywność. Odrębną „grupę zawodową” stanowią informatorzy termiczni, których zadaniem jest kontrolowanie temperatury panującej na zewnątrz mrowiska oraz podejmowanie działań mających na celu regulację ciepła w gnieździe, w zależności od warunków (np. poprzez regulację grubości wyściółki izolacyjnej lub działania systemu wentylacyjnego). Jeszcze inne robotnice zajmują się wyłącznie pielęgnacją jaj i larw. W Polsce gatunek objęty jest ochroną, spełnia bowiem znaczącą rolę w walce ze szkodnikami upraw leśnych. Warto wspomnieć, że okazałe mrowisko rudnic zobaczyć można m. in. w Cisownicy, na terenie przysiółka Budzin, w pobliżu ewangelickiego leśnego kościoła „Na Spowiedzisku”.

Pisząc o krajowych gatunkach mrówek nie sposób nie wspomnieć o szczególnie uciążliwych, nieproszonych lokatorach naszych domów, jakimi są mrówki faraona (*Monomorium pharaonis*). Pochodzą one prawdopodobnie z zachodniej Afryki, gdzie z racji korzystniejszych warunków klimatycznych występują w środowisku naturalnym. U nas jednak mogą przetrwać zimą wyłącznie w ogrzewanych domostwach. Niezwykle trudno jest je wytępić, jako że w ich bardzo licznych koloniach, podzielonych na kilka niezależnych gniazd, żyje nie jedna, lecz wiele królowych. Gdy choć jedna pozostanie przy życiu, może w krótkim czasie odbudować całą społeczność.

Jak zatem widzimy, mrówki mogą być dla nas zarówno kłopotliwymi sąsiadami, z którymi nader trudno się uporać, ale i przykładem pracowitości, wzorowej organizacji i sztuki bezkrwawego rozwiązywania konfliktów. Pamiętajmy też o tym, iż pełnią niezwykle ważne funkcje w środowisku naturalnym, dlatego winniśmy je otaczać ochroną i nie niszczyć bez powodu ich siedzib.

ROZDZIAŁ 5

ROZWAŻANIA NA TEMAT...

RELIGIA I BOGOWIE SŁOWIAN OKRESU POGAŃSTWA

LESZEK TYRNA

Wyobrażenia religijne Słowian w okresie pogaństwa są stosunkowo słabo poznane i wiemy o nich o wiele mniej niż o wierzeniach innych dawnych kultur zamieszkujących Europę. Wynika to z faktu stosunkowo późnego pojawienia się Słowian w Europie. W tym czasie cała zachodnia, cywilizowana Europa była już pod wpływem chrześcijaństwa „...i dlatego nie interesowała się ani też nie miała zrozumienia dla życia wewnętrznego barbarzyńców, na których spoglądała z góry, starając się ich tak szybko, jak to tylko możliwe, wcielić do wspólnoty chrześcijańskiej”¹

Podjmując próbę opisaną pogańskich wierzeń dawnych Słowian oraz bogów, którym dawni Słowianie oddawali cześć, należy zwrócić uwagę na odmienną w spojrzeniu na świat ludzi tamtych czasów. Różnice wynikają z mniejszego zasobu wiedzy, ograniczonego, z oczywistych względów, poziomu rozumienia naturalnych zjawisk zachodzących w najbliższym otoczeniu. „Człowiek prowadził życie wśród nieskończonej mnogości sił nadprzyrodzonych różnego rzędu, których niezależnie od ich potęgi nie mógł lekceważyć, bronił się przed nimi lub zabiegał o ich przychylność lub pomoc”² Należy podkreślić, że człowiek pierwotny personifikował i ubóstwiał zjawiska przyrody, patrzył na przedmioty tak, jakby były żywe i nacechowane ukrytą mocą, personifikował również źródło tych zjawisk, uważał np. że zła lub

¹ Z. Vana, *Świat Dawnych Słowian*, Warszawa 1985, s.83

² H. Łowmiański, *Religia Słowian i jej upadek*, Warszawa 1979, s.15

dobra dola związana jest nierozłącznie ze swoim dawcą, ponadto uważał, że dusze zmarłych są umiejscowione w otaczającej go przyrodzie i starają się wywierać wpływ na ludzkie sprawy.³

Najstarsze źródła pisane mówiące o religii dawnych Słowian pochodzą z VI wieku, jednak ich ilość jest niewielka, a ponadto autorzy wywodzą się z obcego kręgu kulturowego. Zarys religii Słowian przedstawił Prokop z Cezarei, uczestnik życia politycznego w Bizancjum w czasach Justyniana Wielkiego, który twierdził, iż „wierzą, że jeden z bogów, twórca błyskawicy, jest jedynym władcą wszystkiego i składają mu w ofierze woły i wszystkie inne zwierzęta ofiarne; nie znają przeznaczenia ani nie sądzą, aby miało ono jakieś znaczenie dla człowieka, lecz ilekroć śmierć się zbliża – w chorobie lub na wojnie – przysięgają, że gdy jej unikną, zaraz złożą ofiarę bogu za ocalenie życia; uniknąwszy jej zaś składają ofiary – jak obiecali – i sądzą, że w zamian kupili ocalenie”.⁴

Słabe udokumentowanie wierzeń wynika z procesu nawracania Słowian na chrześcijaństwo. Misjonarze, przy wsparciu wojsk władców, zwalczali wcześniejsze wierzenia i to właśnie ich zapiski z tego okresu stanowią większość źródeł, z których możemy dziś korzystać. Religia dawnych Słowian jest jedną z najsłabiej poznanych z uwagi na brak dokumentów z czasów przedchrześcijańskich. Najstarszymi źródłami, poza informacjami Prokopa z Cezarei, są źródła ruskie opisujące Słowian wschodnich oraz kronika Thietmara z Merseburga i kronika Helmoda.

Późne pojawienie się Słowian w Europie oraz szybki kontakt z rozszerzającym swoje wpływy chrześcijaństwem spowodowały, że informacje o wierzeniach, życiu Słowian nie przetrwały w źródłach pisanych, a jest prawdopodobne, że dokumenty takie w ogóle nie miały możliwości zaistnieć. Informacje, z których korzystamy dziś próbując dowiedzieć się czegoś o dawnych Słowianach, pochodzą ze źródeł o różnej wartości. Część z nich można uznać za wiarygodne, ale wiele pochodzi z drugiej ręki, powstały po wielu latach i mogą zniekształcać prawdziwy obraz tamtych czasów. Późniejsi kronikarze opisywali przedchrześcijańską epokę patrząc z dużego dystansu czasowego i myślowego. „Opisywali niektóre sprawy po swojej myśli lub nawet odtwarzali je według źle pojmowanych ludowych obyczajów. Legendy o pierwszych czeskich świętych z X–XI wieku oraz czeski kronikarz Kosmas z początku XII wieku mówią więc o bogach, idolach, świątyniach, miejscach ofiarnych, obrządku grzebalnym, praktykach magicznych itp., nie wymieniają jednak po imieniu żadnych bogów (albo w najlepszym przypadku porównują je z bóstwami starożytnymi), a całościowa charakterystyka pogaństwa jest mało konkretna”.⁵

Sytuacja ta jest szczególnie widoczna u Słowian Południowych i Zachodnich, gdzie chrześcijaństwo pojawiło się bardzo szybko i ograniczyło wpływ dawnych wierzeń. Przykładem mogą być takie kraje jak Czechy, Polska, Słowacja, w których poza pewnymi relikwami dawnych wierzeń w folklorze brak innych źródeł. Sprawa wygląda nieco lepiej, jeśli przyjrzymy się Słowianom Wschodnim, u których pogańskie wierzenia zostały wyparte

³ S. Urbańczyk, *Religia Pogańskich Słowian*, Kraków 1947, s.13

⁴ J. Strzelczyk, *Mity, podania i wierzenia dawnych Słowian*, Poznań 1998, s.7

⁵ Z. Vana, *Świat Dawnych Słowian*, Warszawa 1985, s.84

w późniejszym okresie, a „najlepiej znamy religię wymarłych Słowian bałtyckich i połabskich, służącą aż do XII wieku jako broń ideologiczna w walce o utrzymanie niepodległości, ponieważ niesione przez zachodnich misjonarzy chrześcijaństwo oznaczało dla nich jedynie zniewolenie i stopniowe wynarodowienie”.⁶ Bóstwa Słowian połabsko-bałtyckich, którzy wytrwali w swych pogańskich wierzeniach, były bardzo liczne. Z czasem stali się obiektem żywego zainteresowania kronikarzy pochodzących z chrześcijańskich państw ościennych. „Sławnym miejscem kultowym była Radogoszcz, stolica obodryckiego plemienia Ratarów (Redarów) i sławna wyrocznia, gdzie przepowiadano przyszłość, szczególnie pomysłność w zbiorach i w wyprawach wojennych, posługując się przy wróżbach świętym koniem Swarozycą (...).”⁷

Wielu cennych informacji dotyczących wierzeń dawnych Słowian dostarczają prowadzone w ostatnich dziesięcioleciach intensywne badania archeologiczne. Naukowcy badają świątynie, miejsca ofiarne, odkrywają posągi bogów i przedmioty związane z kultem. Na temat wyobrażeń religijnych Słowian sporo informacji można uzyskać analizując odkryte miejsca pochówków i znalezione dary grobowe, ozdoby, narzędzia, naczynia z żywnością oraz badając zmiany obrządku grzebania ciał od pierwotnej formy ciałaopalenia aż do utrwalonego pod wpływem chrześcijaństwa chowania nie spalonych ciał.

Szukając źródeł pogaństwa Słowian, należy odwołać się do wspólnych korzeni indoeuropejskich i do podobieństw „religijnych wyobrażeń dawnych Hindusów, Greków, Rzymian, Celtów, Germanów, Bałtów. Potwierdzają to też niektóre podstawowe pojęcia (...). Podobnie wyrazy *Buh*, *Bog* są odpowiednikami staroindyjskiego *bhaga* (pan) i irańskiego *baga*, *bag* lub ormiańskiego *bagin*”.⁸ Wiemy, że Słowianie nawiązywali kontakty z ludami irańskimi, gdyż niektóre z nich, np. Scytowie, Sarmaci koczowały w sąsiedztwie Słowian na stepach czarnomorskich i stąd w słownictwie religijnym obserwujemy do dziś ślady wpływu irańskiego na język prasłowiański.⁹ Badacze uważają, że najistotniejszy był wpływ Sarmatów i do nasilenia wpływów językowych ludów irańskich na język Słowian doszło w I tysiącleciu p.n.e.¹⁰ Przykładem wpływów językowych może być, wskazany już powyżej, wyraz *bóg*, który pierwotnie znaczył tyle co bogactwo, a z czasem zmienił swoje pierwotne znaczenie na znane nam dzisiaj już tylko w języku prasłowiańskim i irańskim. Przypuszcza się, że to właśnie Słowianie przejęli nowe znaczenie od Irańczyków.¹¹

Najważniejszym elementem słowiańskich obrzędów religijnych był kult licznych bóstw. Podobnie jak u innych Indoeuropejczyków również u Słowian możemy wskazać swoisty Olimp oraz pewne analogie do bóstw czczonych przez inne dawne kultury. Przykładem może być słowiański bóg Perun, który odpowiada greckiemu Zeusowi lub germańskiemu Thorowi. Dla Słowian niektóre bóstwa były wspólne, a ich kult miał szeroki zasięg. Jednak

⁶ tamże, s.84

⁷ tamże, s.88

⁸ tamże, s.83

⁹ S. Urbańczyk, *Religia Pogańskich Słowian*, Kraków 1947, s.18

¹⁰ A. Gieysztor, *Mitologia Słowian*, Warszawa 2006, s.113

¹¹ S. Urbańczyk, *Religia Pogańskich Słowian*, Kraków 1947, s.18

obok pewnych podobieństw, u Słowian widać również odrębności w wyobrażeniach religijnych, a nawet różnice dotyczące poszczególnych plemion.

Perun jest określany jako bóg zagniewanego nieba z gromem i błyskawicami. Cześć od dawano mu głównie na Rusi, a teksty staroruskie na jego temat są najliczniejsze i najlepiej możemy je datować. W X wieku posągi Peruna stały w Kijowie i w Peryniu koło Nowogrodu.¹² Bóstwo to jest również wyraźnie widoczne u Słowian południowych, którzy osiedlili się na Półwyspie Bałkańskim od V wieku i znali Peruna oraz jego towarzyszkę, którą zwali Perperuna.¹³ Na Morawach i Słowacji zauważamy określenia „parom” oraz „hrom”, które możemy przyjąć za substytut imienia Peruna.¹⁴ Na ziemiach polskich Perun pojawia się rzadziej niż u wspomnianych wcześniej grup Słowian, lecz również jest widoczny. Kult jego znany jest również u obu plemion Słowian połabskich, „u których był mu poświęcony czwartek jako „perudan” (podobnie jak thursday, którego nazwa pochodzi od germańskiego Thora). W Czechach Perun występował jedynie jako imię własne, na Słowacji zachował się w ludowych powiedzeniach, np. „parom do teba”, „do paroma” („niech cię piorun porwie”, „do pioruna”).¹⁵ Określenie to pojawia się również w starszej polszczyźnie, gdzie „do pioruna” było kiedyś uważane za ciężkie przekleństwo, zawierające nie tylko odwołanie do zjawiska atmosferycznego, ale również do jego sprawcy. W tym kontekście warto jeszcze wspomnieć, że w gwarze śląskiej występuje określenie „pieron”¹⁶, a na Kaszubach pozostałością jest zawołanie „na perona”, „te peronie”.¹⁷

Dzięki odkryciom językoznawczym można stwierdzić, że zasięg występowania tego bóstwa obejmuje wszystkie grupy Słowian, a także Bałtów. Podobne wnioski nasuwają się z badań materiałów folklorystycznych zebranych przez wielu etnografów.¹⁸ Badania językoznawcze doprowadziły do stwierdzenia, że wyraz Perun składa się z rdzenia *per-* i przyrostka *-un*. Mamy tu więc do czynienia z imieniem osoby pochodzącym od wykonywanej czynności. Prowadzi to do wniosku, że dawna nazwa teologiczna bóstwa z czasem dała początek terminowi oznaczającemu zjawisko atmosferyczne „piorun”. Mówiąc dokładniej Perun oznacza tego, który uderza. Rdzeń *per* nawiązuje do takich polskich wyrazów, jak „prać”, „piorę”, które w mowie potocznej do dziś są używane również w znaczeniu „bić”, „uderzać”.¹⁹ Ludy bałtyjskie oddawały cześć podobnemu bóstwu, które było nazywane po litewsku Perkunas, po staroprusku Parcuns, a po łotewsku Perkons.²⁰ Obok widocznych powiązań z określaniem bóstw forma *per-* występuje w językach indoeuropejskich również w znaczeniu – piorun,

¹² Z. Vana, *Świat Dawnych Słowian*, Warszawa 1985, s.87

¹³ A. Gieysztor, *Mitologia Słowian*, Warszawa 2006, s.85

¹⁴ tamże, s.90

¹⁵ Z. Vana, *Świat Dawnych Słowian*, Warszawa 1985, s.87

¹⁶ A. Gieysztor, *Mitologia Słowian*, Warszawa 2006, s.91–92

¹⁷ G. Labuda, *Mitologia i demonologia w słownictwie, w bajkach, baśniach i legendach kaszubskich*, w: *Świat bajek, baśni i legend kaszubskich*, Wejherowo 1979, s. 14

¹⁸ A. Gieysztor, *Mitologia Słowian*, Warszawa 2006, s.85

¹⁹ tamże, s.86

²⁰ A. Bruckner, *Mitologia słowiańska*, Warszawa 1980, s.42–43

kamień, góra, las, dąb, którym to elementom oddaje się boską cześć.²¹ Na Litwie i Łotwie jeszcze w XVII wieku oddawano cześć dębom jako drzewom bóstwa piorunowego. Należy jednak podkreślić, że to nie samemu drzewu oddawano cześć, lecz temu, co w nim było zawarte i co to drzewo znaczyło.²²

Kolejnym bóstwem, któremu niektóre grupy Słowian oddawały szczególną cześć był Światowit. W XIX wieku część badaczy posługiwała się imieniem Światowid na określenie tego bóstwa, jest to jednak błędne nazewnictwo. Imię Światowit składa się z dwóch elementów, z których pierwszy, *svēt-* oznacza tego, który rozporządza dobroczynną mocą magiczną, świętego, a drugi element zawarty w przyrostku *-ovit/evit* o znaczeniu nie do końca jasnym, jednak najprawdopodobniej znaczącym – „pan”. Można więc przyjąć, że imię Światowit oznaczało tego, który rozporządza mocą nadprzyrodzoną, świętą. W średniowieczu kościół głosił, że imię to pochodzi od św.

Wita i ma chrześcijańską genezę. Ten pogląd również funkcjonuje wśród części współczesnych badaczy, jednak analizując nazwę pod względem językowym należy ten pogląd zdecydowanie odrzucić, gdyż imię to ma jednoznacznie słowiański rodowód.²³

Bardzo wyraźnie kult Światowita był widoczny na bałtyckiej wyspie Rugia, gdzie w Arkonie, aż do 1168 r. znajdowała się jego świątynia. Do dziś znajduje się tam zachowana część dawnego grodu, którego powstanie datuje się na wiek IX, a prowadzone badania archeologiczne wskazały miejsce kultowe zajmujące kwadrat o boku 30 metrów z umieszczonym w środku posągiem.²⁴ Posąg będący wyobrażeniem Światowita miał 4 głowy, a w prawej ręce dzierżył róg napelniony winem, którego poziom pozwalał przepowiadać urodzaj, co było



Rys.1. Posąg z Lichkowiec nad Zbruczem. Rozwinięcie rysunkowe czterech ścian słupa

²¹ A. Gieysztor, *Mitologia Słowian*, Warszawa 2006, s.86

²² M. Eliade, *Traktat o historii religii*, Warszawa 1966, s.288

²³ A. Gieysztor, *Mitologia Słowian*, Warszawa 2006, s.117

²⁴ tamże, s.118

szczególnie ważne w społeczeństwach rolniczych.²⁵ Posąg reprezentował symboliczną liczbę cztery, której w wielu przypadkach przypisywano magiczną moc. Przykładem może być wspomniany już wcześniej czwarty dzień tygodnia związany z bogiem Perunem u Słowian. Ponadto w tym dniu, np. u bałtów, kobiety nie mogły wykonywać niektórych czynności, wierzono również, że małżeństwo zawarte w czwartek będzie szczęśliwe. Posąg nawiązuje do bóstwa i do czterech stron świata, nad którymi ono panuje.²⁶

W XIX wieku z rzeki Zbrucz w południowej Polsce wydobyto posąg wysoki na prawie 3 metry, o czterech twarzach i z rogiem. Uznano, że może on przedstawiać wyobrażenie Światowita (rys.1)²⁷. Wielogłowość bóstw jest cechą charakterystyczną bóstw słowiańskich, np. w Szczecinie czczono trójgłowego Trzygława, w Korenicy na Rugii czterogłowego Porenuta, pięciogłowego Porewita i nawet siedmiogłowego Rujewita. Większa ilość głów mogła symbolizować potężną moc bóstwa widoczną w wielu płaszczyznach. Co ciekawe, w Europie zjawisko to występuje rzadko u Celtów i Rzymian, za to bardzo przypomina bogów staroindyjskich, którym wyznawcy oddają cześć po dzień dzisiejszy. Widać tu dowody na powiązania wierzeń dawnych Słowian ze starymi Indoeuropejskimi elementami, które można dostrzec nie tylko w sferze kultu bóstw, ale również w pogańskich obrzędach.²⁸

Kolejnym bogiem, który występuje u Słowian wschodnich i zachodnich, jest Swaróg lub Dadźbóg, określane jako bóg promienistego słońca oraz Swarozyc, któremu cześć oddawano m.in. we wspomnianej wcześniej obodryckiej Radogoszczy. „Swarozyc był personifikacją ognia, uznawanego za ziemskiego syna słońca. W środowisku czeskim kult słońca udokumentowany jest jego symbolami, np. krzyżem w kole na glinianym krążku znalezionym w Libusnie.”²⁹ Prawdopodobnie imię Swaroga wiąże się ze staroindyjskim „svagra” (niebo). Drugie imię, Dadźbóg można łączyć z określeniem boga jako dawcy światła, ciepła i warunków umożliwiających życie.³⁰ Tłumacząc imię boga, biorąc pod uwagę rdzeń *bog* oznaczający bóstwo i bogactwo, często określa się go jako „boga rozdawcę”, „tego, który ma dawać bogactwo”.³¹ Niektórzy badacze wskazują Swarozycia jako syna Swaroga, lecz zależność ta nie jest wystarczająco udowodniona i równie prawdopodobne jest to, że obie nazwy mogą stanowić różne wersje imion tego samego bóstwa.³²

Do bogów ogólnosłowiańskich można zaliczyć jeszcze Wołosa (Welesa). Pojawia się on obok Peruna na Rusi i nazywany jest tam bogiem bydła. Pojawia się również w źródłach czeskich z XV i XVI wieku.³³ W Czechach można zaobserwować ślady jego kultu, które za-

²⁵ Z. Vana, *Świat Dawnych Słowian*, Warszawa 1985, s. 88

²⁶ A. Gieysztor, *Mitologia Słowian*, Warszawa 2006, s. 124

²⁷ A. Gieysztor, *Mitologia Słowian*, Warszawa 2006, s. 97

²⁸ Z. Vana, *Świat Dawnych Słowian*, Warszawa 1985, s. 88

²⁹ Z. Vana, *Świat Dawnych Słowian*, Warszawa 1985, s. 87

³⁰ tamże, s. 87

³¹ A. Gieysztor, *Mitologia Słowian*, Warszawa 2006, s. 178

³² tamże, s. 171

³³ S. Urbańczyk, *Religia Pogańskich Słowian*, Kraków 1947, s. 28

chowały się w starych zwrotach typu „u velesa” (w znaczeniu „do diabła”).³⁴ Znaczenie tego bóstwa trudno jednoznacznie określić z uwagi na nieliczne relacje z okresu, gdy kult pozostawał żywy. Pojawiają się teorie, które ukazują Wołosa jako boga podziemia, dusz zmarłych przodków, a jednocześnie boga bydła, lub też majątku, handlu, gdyż jego podobizny były odnajdywane w miejscach, gdzie odbywały się targi. Pod względem językowym można wykazać, że nazwa bóstwa wywodzi się ze słowa „włość”, mienia należącego do wspólnoty. W połączeniu z nazwaniem w staroruskich kronikach Wołosa bogiem bydła, czyli ograniczaniem jego władzy do czynności gospodarskich, można próbować wskazywać związki tego bóstwa z funkcją zapewniania płodności sił przyrody.³⁵ Bóg ten często występuje w parze razem z Perunem, lecz zawsze wymawiany jako drugi w kolejności, co z jednej strony wskazuje na ważność tego bóstwa, a z drugiej na wyższą pozycję Peruna w panteonie bóstw.³⁶

Wierzenia dawnych Słowian żyjących w czasach pogaństwa były złożone, bardzo bogate w treści, powiązane z licznymi rytuałami ku czci bóstw. Niestety na skutek niekorzystnych okoliczności, do których można zaliczyć późne zakończenie procesu osadniczego na terenie Europy oraz szybki i agresywny wpływ rozszerzającego swój zasięg chrześcijaństwa, niewiele informacji o dawnych wierzeniach Słowian przetrwało do naszych czasów. Jednak z tych nielicznych skrawków informacji potrafimy wyłowić pewne fakty i wypowiedzieć się na temat najważniejszych słowiańskich bóstw, ich pochodzenia, związku z wierzeniami innych indoeuropejskich ludów. Możemy nazwać najważniejszych bogów oraz podać ich atrybuty, widząc duże zróżnicowanie w tym zakresie zarówno w skali dużych, słowiańskich grup, jak również u poszczególnych plemion.

Poza najważniejszymi bóstwami w rodzaju Peruna, Swaroga, Słowianie oddawali cześć również pomniejszym bóstwom i demonom, lecz to już zupełnie inna historia...

Bibliografia:

- A. Bruckner, *Mitologia słowiańska*, Warszawa 1980
 M. Eliade, *Traktat o historii religii*, Warszawa 1966
 A. Gieysztor, *Mitologia Słowian*, Warszawa 2006
 G. Labuda, *Mitologia i demonologia w słownictwie, w bajkach, baśniach i legendach kaszubskich, w: Świat bajek, baśni i legend kaszubskich*, Wejherowo 1979
 H. Łowmiański, *Religia Słowian i jej upadek*, Warszawa 1979
 J. Strzelczyk, *Mity, podania i wierzenia dawnych Słowian*, Poznań 1998
 S. Urbańczyk, *Religia Pogańskich Słowian*, Kraków 1947
 Z. Vana, *Świat Dawnych Słowian*, Warszawa 1985

³⁴ Z. Vana, *Świat Dawnych Słowian*, Warszawa 1985, s.87

³⁵ A. Gieysztor, *Mitologia Słowian*, Warszawa 2006, s.136–137

³⁶ tamże, s.140

POKOCHAĆ KOŚCIÓŁ

ALBIN KLIMCZAK

Rozmawiając ze znajomymi, rodziną i bliskimi, pytam, dlaczego tak rzadko widzę ich w kościele? Odpowiedź w każdym przypadku jest prawie jednakowa – Bóg jest wszędzie i dlatego modlić można się również wszędzie. Temat ten zaintrygował mnie do tego stopnia, że postanowiłem go zgłębić. Szukanie źródeł, przede wszystkim w Biblii i wielu różnych publikacjach, zajęło mi parę miesięcy. Jednak warto było, bo pogłębiłem znacznie swoją wiarę. Owszem, modlić się można rzeczywiście wszędzie: w domu, w parku, na przystanku. Różne przykłady obserwowałem przebywając w krajach arabskich. Kiedy pięciokrotnie każdego dnia rozlegał się z minaretu śpiew muezina wzywający do modlitwy, wszyscy praktykujący muzułmanie klękali, bijąc głębokie poklony i dotykając ziemi czołem. Wymawiali przy tym szeptem lub w myślach stosowne wersety Koranu. Ale co ważne, nie są wtedy fizycznie w ich kościele, czyli meczecie, lecz są tam duchowo. Dlatego też modląc się, zawsze czynią to w kierunku najważniejszej świątyni, czyli w kierunku Mekki, a nie w kierunku minaretu, skąd dobiega głos muezina (przyp. red. – w islamie mężczyzna wzywający z minaretu wiernych do modlitwy). Nagrobki na ich cmentarzach zwrócone są również frontem w kierunku tej świątyni. Mało tego, niektórzy wierni Allahowi, wyznawcy mesjasza Mahometa, mają przy sobie (nawet w pracy) małe dywaniki, na których widnieją wyhaftowane wizerunki ich świątyni – Meczetu. Klękając na nie, wyobrażają sobie jakby znajdowali się wewnątrz świątyni.

Kaaba, świątynia w Mekce (Arabia Saudyjska), święte miejsce dla wszystkich muzułmanów, cel dorocznych pielgrzymek (hadżdż) – to najbardziej znana świątynia Islamu. Ma formę prostopadłościanu zbudowanego z bloków szarego kamienia na marmurowej podstawie. Jego narożniki – Narożnik Iraku, Narożnik Syrii, Narożnik Jemenu i Czarny Narożnik – wyznaczają strony świata. We wschodnim, Czarnym Narożniku, znajduje się tzw. Czarny Kamień (*al-hadžar al-Aswad*), prawdopodobnie meteoryt, największa świętość muzułmanów. Dokoła wznoszą się portyki dziedzińca meczetu, który z kolei ochrania mur z 19 bramami i 7 minaretami (najwięcej w świecie). Kult Kaaby, jako miejsca tradycyjnych pielgrzymek, datuje się jeszcze na okres przedislamski. Tradycja arabska głosi, że Kaabę zbudowali Abraham i Izmael lub nawet Adam. Czarny Kamień został przyniesiony z nieba przez archanioła Gabriela (Dżibrila). Nie można rozstrzygnąć, kiedy powstała Kaaba. Wiadomo jednak, że już w III w. n.e. była uważana przez liczne plemiona arabskie za przybytek święty. Do czasów wystąpienia Mahometa Kaaba była prostą budowlą, gdzie znajdowało się wiele pogańskich bożków. Na rozkaz proroka zniszczono je, pozostawiając jednak Czarny Kamień. Mahomet utrzymał zwyczaj pielgrzymowania do tego miejsca.

Świątynia Jerozolimska to z kolei główna świątynia judaizmu, stojąca niegdyś w Jerozolimie. Powstała w latach 966–959 p.n.e. – za czasów króla Salomona – który podobno wznosił ją w ciągu 7 lat, na miejscu wskazanym uprzednio przez króla Dawida, na wzgórzu Moria („święta skała”) w północno-wschodniej części Jerozolimy. Tam, gdzie Abraham miał

złożyć w ofierze na żądanie Boga Jahwe, swego syna Izaaka. Do świątyni otoczonej kilkoma dziedzińcami przylegał od południa zespół pałacowy. Pierwsza świątynia została zniszczona przez wojska babilońskiego króla Nabuchodonozora II w 587 roku p.n.e. lub 586 roku p.n.e. Po jej zburzeniu i powrocie z niewoli babilońskiej (536 p.n.e.) wzniesiono drugą świątynię (520–515 p.n.e.), o wiele skromniejszą, później kilkakrotnie przebudowywaną. W świątyni tej nie było już Arki Przymierza, jednak było tam pomieszczenie za zasłoną, w którym mieszkał Bóg i do którego, podobnie jak niegdyś do pomieszczenia z Arką, nie wolno było nikomu wchodzić. Za panowania Heroda Wielkiego druga świątynia została rozebrana i wybudowana na nowo wraz z rozległymi, monumentalnymi dziedzińcami. Po nieudanym powstaniu Żydów Rzymianie zburzyli świątynię. Jedyną jej pozostałością są resztki muru oporowego, powstrzymującego okalające ją mury przed zawaleniem – tzw. mur zachodni, Polakom lepiej znany jako Ściana Płaczu. Od XVI wieku jest ona świętym miejscem judaizmu. Żydom udało się jeszcze na krótko zbudować na wzgórzu prowizoryczną świątynię podczas powstania Bar-Kochb y (lata 132–135).

Świątynia była miejscem wysławiania Boga Jahwe i składania mu ofiar. Wewnątrz świątyni znajdowała się Arka Przymierza, czyli obficie pozłacana skrzynia drewniana, na której wierzchu znajdowały się złote Cheruby (aniołowie), zakrywające arkę skrzydłami. Była zbudowana na pustyni przez Mojżesza na polecenie Boga, który podał dokładny sposób jej budowania. W Arce Przymierza przechowywano kamienne tablice z tekstem Dekalogu, które Mojżesz otrzymał od Boga na górze Synaj (Horeb). Przed umieszczeniem Arki w Świątyni Jerozolimskiej znajdowały się w niej jeszcze inne przedmioty (laska Aarona i naczynie zmaną). Arka stała w specjalnym pomieszczeniu, zwanym Miejscem Najświętszym („Święte Świętych”), które było odseparowane od reszty świątyni specjalną zasłoną, za którą nie wolno było nikomu wchodzić – oprócz arcykapłana, o ściśle określonych porach roku. Aktualnie Arka Przymierza uznawana jest za zaginioną – nie ma żadnych realnych dowodów na to, aby była ona przechowywana gdziekolwiek na Ziemi. Raz w roku każdy żydowski mężczyzna miał obowiązek wyruszyć do Świątyni Jerozolimskiej w celu złożenia ofiary (niejednokrotnie zabierał ze sobą całą rodzinę). W taką podróż wiele razy w ciągu życia udawał się z Nazaretu Jezus Chrystus. Początkowo miejscem kultu i przechowywania Arki Przymierza był podczas wędrówki Izraelitów z niewoli egipskiej Przybytek Mojżeszowy (starannie wykonany namiot). Dopiero po wybudowaniu świątyni przez króla Salomona, rzeczy znajdujące się w Przybytku przeniesiono do Miejsca Świętego i Najświętszego. Budynek świątyni składał się z kilku pomieszczeń. Król Salomon miał wyłożyć podłogę świątyni tarciami jodłowymi, która w tradycji judeo-chrześcijańskiej oznaczała cierpliwość i cnotę oraz symbolizowała odrodzenie. Przełożonym świątyni był arcykapłan.

W Księdze Mojżeszowej, rozdz. 25–31, tak czytamy: Bóg uczynił naród izraelski swoim ludem wybranym. Znakiem widzialnym tego przymierza oraz miejscem, gdzie Izrael gromadził się na nabożeństwa, był na puszczy przybytek Pański. Plan do budowy tego przybytku dał sam Pan na górze Synaj Mojżeszowi, kiedy przebywał tam przez 40 dni. Rzekł tedy do niego. „Uczyńcie mi świątynię, abym mieszkał pośród was” Składali więc Izraelici dary dobrowolnie: złoto, srebro, miedź, szkarłat, skóry farbowane, olejek, drzewo akacji oraz inne kosztowności. Z nich, przy pomocy ludzi zręcznych, zbudował Mojżesz przybytek Pański. Można było przybytek ten, jak każdy inny namiot, rozebrać i przenieść na inne miejsce. Wznie-

siony był z przedsionku, który wyglądał jak ogrodzenie 100 łokci długie i 50 łokci szerokie (przyp. red. – jednostka długości o różnej wartości w zależności od państwa, regionu i epoki historycznej. Tradycyjna miara nawiązująca do średniej długości ręki od stawu łokciowego do końca palca środkowego). Przedśionek otaczała zasłona z tkaniny jedwabnej, rozpiętej na 60 słupach z drzewa akacji. Słupy te wysokie na 5 łokci, miały srebrne główce i miedziane podstawki. W przedsionku od strony wschodniej stał ołtarz do kadzenia i umywalnia również z miedzi. Właściwy przybytek miał 30 łokci długości, 10 łokci szerokości i tyleż wysokości. Ściany zrobione były z drzewa akacji, wetkniętych za pomocą srebrnych płytek bezpośrednio w ziemię. W poprzek od wewnątrz deski połączone były połączanymi drążkami, wetkniętymi w pierścienie. Okrycie ścian oraz płaskiego dachu stanowiły trzy kosztowne dywany, zwisające aż do ziemi. Pierwszy utkany był z białej materii wełnianej i bawełnianej. Na nim położony był drugi utkany z włosów kozich, a na samym wierzchu trzeci, sporządzony ze skór baranich. Przed wejściem wisiała zasłona misternie wykonana. Wnętrze świątyni podzielone było zasłoną z tej samej tkaniny, co pierwsze pokrycie, na dwie części. Część pierwsza nazywana była miejscem świętym, tylna zaś miejscem najświętszym, 10 łokci długim, szerokim i wysokim. W miejscu świętym, tuż przed zasłoną, stał połączony ołtarz do kadzenia, złoty świecznik siedmioramienny, na którym stale płonęło światło oraz stół z 12 chlebami pokładnymi, które co tydzień wypiekano z ciasta niekwaszonego. W miejscu najświętszym stała skrzynia przymierza, sporządzona z drzewa akacji, powleczona złotem wewnątrz i zewnątrz, obwiedziona u góry złotym wieńcem. Do podnoszenia skrzyni służyły drążki, wsunięte po bokach do pierścieni. Na wieku skrzyni, tak zwanej ubłagalni, były umieszczone szczerozłote postacie dwóch cherubów klęczących z rozpostartymi skrzydłami, zwróconymi twarzami ku sobie. Wewnątrz skrzyni znajdowały się dwie tablice z przykazaniami, naczynie z mianą, a także laska Aarona, która zakwitła oraz Księgi Pisma Świętego. Do przedsionka miał dostęp cały lud Izraelski. Do miejsca świętego wchodził tylko kapłani. Do miejsca zaś najświętszego wchodził tylko arcykapłan raz w roku. Do kapłańskiej służby Bożej przeznaczył Mojżesz – z rozkazu Bożego – pokolenie Lewiego. Na arcykapłana przeznaczył brata swego Aarona, a synów jego uczynił kapłanami. Bóg kazał Dawidowi zbudować Świątynię słowami: „Zobacz proszę, mieszkam w domu cedrowym, a skrzynia Boża stoi w namiocie, czy ty mi zbudujesz dom na mieszkanie?” Jednak prorok Natan z Boskiego natchnienia nie pozwolił mu na to, uzasadniając mocno: „na rękach twoich, Dawidzie, jest krew, więc nie ty wybudujesz przybytek Panu, ale twój syn”.

Kiedy król Salomon zbudował pierwszą świątynię w Jerozolimie, wzgórze,



Wnętrze kaplicy w Rosslyn

na którym ona stanęła, stało się najważniejszym obiektem kultu świata religii monoteistycznej i po dziś dzień jest miejscem mającym największe znaczenie zarówno dla Żydów, jak i dla Muzułmanów. Salomon, żyjący w latach 960 – 900 p.n.e., zbudował świątynię, której, jak mówi tradycja, nie wolno było zbudować Dawidowi.

Słowami z historii biblijnych przedstawiłem, jakie trudne były losy budowy pierwszych świątyni i jak ważną rolę pełniły one w miłości do Boga, bo przecież zostaliśmy stworzeni po to, by żyć w bliskości z Bogiem. Dopóki tego nie osiągniemy, zawsze będzie nam czegoś brakować. Stąd też często mamy świadomość pustki. Jeden z wokalistów rockowych przyznał: „Mam w środku dziurę”. Pewna kobieta zwątpiła w Stwórcę, a po pewnym czasie oświadczyła o niezmiernie głębokiej próżni, jaką odczuwa. Inna młoda dziewczyna nazwała to brakującym kawałkiem duszy. W różny sposób ludzie małej wiary próbują zapewnić swą pustkę. Niektórzy pieniędzmi. Niestety nie dają im to zadowolenia. Arystoteles Onassis, jeden z najbogatszych ludzi na świecie, wyznał: „Nie zawsze miliony zapewnią to, czego człowiek potrzebuje do życia”. Inni sięgają po narkotyki, alkohol, uprawiają wolną miłość. Jedna dziewczyna powiedziała to dobre na chwilę, ale nadal jest we mnie pustka. Jeszcze inni rzucają się w wir ciężkiej pracy (czym tłumaczą nieobecność w kościele), zajmują się muzyką, sportem. Te sprawy same w sobie nie są złe, jednak nie zaspokoją głodu ludzkiej duszy. Może to sprawić tylko bliskość Boga, do której jesteśmy stworzeni. Nowy Testament mówi: „Pustkę odczuwać będzie ten, kto odwróci się od swego kościoła”. Jezus powiedział o sobie: „Ja jestem chlebem życia” (Jan 6,35). Jedyne On potrafi zaspokoić głód naszych serc. Bóg i Jezus nie pozostawił nas na co dzień samych na ziemi – posłał nam Ducha Świętego, który zamieszka w nas, jeśli tylko naprawdę tego chcemy. Duch Święty pomaga nam w tej relacji i pomaga lepiej poznać Boga i zrozumieć Słowo Boże. Wyobraźmy sobie, że nie ma kościołów, a dalej jesteśmy chrześcijanami, modlimy się na miechy, w łazience lub w łóżku przed snem. Skąd jednak wiemy, że robimy to dobrze, i że dobrze rozumiemy słowa modlitwy. Pewność tę daje nam kościół, w którym duchowni dokładnie rozważą i wytłumaczą nam znaczenie tych słów. Wspólne rozważanie Słowa Bożego, wspólne śpiewy, wspólna modlitwa, tego nam nie zastąpi żaden komputer ani żadna telewizja. W kościele poznajemy bliskich, a wspólne rozmowy po nabożeństwie dodają uroku przeżyтым chwilom. Apostoł Jan pisze: „Tak bowiem Bóg umiłował świat, że dał swego jednorodzonego Syna, aby każdy, kto w Niego wierzy, nie zginął, ale miał życie wieczne” (Jan 3,16). Musimy wierzyć w to, co wiemy o Jezusie. Nie jest to wiara ślepa, ale zaufanie konkretnej osobie. W pewnym sensie ten krok wiary jest podobny do wzajemnego zaufania, jakie wyrażają sobie nowożeńcy wypowiadając „tak” w dniu swego ślubu. Dlatego kościół powinniśmy traktować jak drugi nasz dom (mieszkanie). Przecież tam, w kościele, przeżywamy najważniejsze chwile naszego życia. To przecież chrzest, pierwsze przyjęcie Ciała i Krwi Pańskiej, śluby i inne rocznice oraz święta. Kościół jest bowiem źródłem Eucharystii, tu właśnie potwierdzamy naszą bezgraniczną wiarę. Czcijmy więc i szanujmy naszą wiarę, nasz kościół, bo to źródło życia wiecznego.

ROZDZIAŁ 6

PODRÓŻE KSZTAŁCĄ

Z TURYSTYCZNEGO SZLAKU – KRWAWA KSIĘŻNA Z CZACHTIC

ZENON SOBCZYK

Historia, którą tu opisuję, może wydawać się z jak doskonałego horroru, ale wydarzyła się naprawdę. Dotyczy kobiety, która żyła na przełomie XVI i XVII wieku.

Jadąc doliną najdłuższej rzeki Słowacji – Wagu, z Żyliny w kierunku Bratysławy, mijamy wiele ruin zamków jakby zawieszonych nad doliną tej rzeki. Tuż za Trenczynom,



Zamek w Czachticach

nad którym widnieje także potężny zamek, dolina nieco się rozszerza i po lewej stronie, na ogromnym skalnym cyplu, widzimy ruiny zamku Bečkov. Ten, podobnie jak położony niespełna 12 km na południe zamek Čachtice, należał do najznamienitszej pani tych ziem – (węg.) Erzsébet Báthory. Do dziś pozostały tylko mocno zniszczone ruiny.

Urodzona w 1560 roku księżna Elżbieta Batory była żeńskim potomkiem dwóch odgałęzień szlacheckich rodu Batorych, między którymi zawsze kojarzono małżeństwa – tłumaczy to jej krótkie okresy utraty przytomności i napadów niepohamowanej furii, podobne przypadłości nękały również innych członków rodziny Batorych, na przykład „szalonego” księcia Gabora. Była daleką kuzynką króla Stefana Batorego. Elżbieta jako dziecko była inteligentna i pobierała staranne wykształcenie, władała biegle kilkoma językami w czasach, gdy wielu możnych było analfabetami. Urodziła się w rodzinnym zamku Nagyecséd, małym miasteczku na granicy Węgier i Rumunii, ale pod wpływem krewnych nabyła przekonania, że chłopstwo jest niewiele lepsze od bydła i powinno być surowo karane za najmniejszy przejaw nieposłuszeństwa. Jak to zwykle bywało w szesnastym wieku, o jej małżeństwie zadecydowały względy dynastyczne. Wyszła za mąż mając 15

lat za 21-letniego Ferencza Nadasady, zaś sprawę nieślubnego dziecka zatuszowano. Zaręczyny odbyły się w 1571 roku (w roku tym jej kuzyn Istvan został księciem Transylwanii). Następne dziesięć lat Ferenc spędził poza domem, uczestnicząc w wojnach z Turkami i zdobywając sławę jako „Czarny Książę”, podczas gdy Elżbieta nudziła się w ich rodzinnym zamku w Sarvar. To tam zaczęła torturować swoje służące, a „rozrywka” ta stopniowo przerodziła się w obsesję. Za pomocą swych dworek Dorothy Szentes i Anny Darvuli (swojej kochanki) Elżbieta biła i kłuła szpilkami swe służące, by „nauczyć je posłuszeństwa”. Co gorsza kazała im leżeć nago na zaśnieżonym dziedzińcu, polewając je zimną wodą dopóki nie zamarzyły na śmierć. Po powrocie Ferenc zakazał tych praktyk (choć sam



Elizabeth Bathory

nie traktował służby zbyt łagodnie) i dopiero po jego nagłej śmierci w 1604 roku (prawdopodobnie otrucie), Elżbieta mogła znowu do woli torturować i mordować.

Jej ofiarami były zawsze kobiety i dziewczęta, ale co najważniejsze – chłopki. Przedstawiciele tej warstwy społecznej w tych czasach można było zabijać bezkarnie. Biedne kobiety zawsze dawały się namawiać na służbę w Beczkowie lub w Czachticach, a były to transylwańskie siedziby Elżbiety po wyjeździe z Sarvar. Władze nie uwierzyłyby w oskarżenia rodziców ofiar kierowane pod adresem księżnej Batory, choćby śmierć którejś z nich wyszła na jaw. Wspomagana przez Szentes, Darvulę, mamkę swojego syna – Helenę Jo i jednego mężczyznę Karła Fizcko, Elżbieta mogła w pełni realizować swoje sadystyczne fantazje. Czasem odgryzała kawałek mięsa z piersi lub szyi służących, co prawdopodobnie dało początek legendzie, iż kąpała się w krwi dziewic, by mieć biało-przezroczystą cerę. W ten sposób Elżbieta zamordowała ponad 660 kobiet i pewnie robiłaby to dalej, gdyby nie śmierć Darvuli. Pograżona

w żałobie księżna przywiązała się do miejscowej wdowy Erzsi Majorowej, która poradziła jej wyszukiwać na ofiary dziewczęta z arystokratycznych rodzin. Oskarżeń ich rodziców władze nie mogłyby tak łatwo ignorować, miały zresztą w tym czasie już i swoje powody, by zbadać sprawę „Krwawej Księżnej”. Ferenc Nasady pożyczył koronie habsburskiej 17 000 guldenów, których zwrotu uparcie, lecz nadaremnie, domagała się Elżbieta. Kuzyn Elżbiety książę Thurzo oraz syn, który wychował się bez jej opieki w Sarvar, gorąco pragnęli zapobiec konfiskacie majątku Batorych i dlatego gromadzili dowody przeciwko Elżbiecie przez cały rok 1610. 29 grudnia oddziały księcia Thurzo najechały zamek Czachtice i już przy wejściu natrafiły na zwłoki służącej, którą Elżbieta skatowała na śmierć za kradzież gruszki. Thurzo w wielkiej tajemnicy uwięził „przekłętą kobietę” zamurując ją we jej własnym zamku, by jak powiedział „ród, który zdobył tak wielkie zaszczyty na polu walki nie został pohanbiony za sprawę ponurego cienia rzucanego przez tę bestię”. Elżbieta Batory została aresztowana, a w 1611 roku rozpoczęto przeciwko niej proces. Jednak hrabina nigdy nie pojawiła się w sądzie. Z kolei zeznawał Johannes Ujvary, który opowiedział o zamordowaniu 37 niezamężnych kobiet, z których sześć osobiście zaprosił do zamku. Opowiadał, że ofiary były cięte za pomocą nożyc, a niekiedy wcześniej dodatkowo torturowane przez czarownice lub samą hrabinę. Zeznawała również była opiekunka - Ilona Joo.

Wszystkie osoby zamieszane w owe morderstwa, prócz Elżbiety, zostały skazane na śmierć, a ich zwłoki zostały spalone. Sąd nigdy nie skazał samej hrabiny, ale nakazano zamurować okna i drzwi w zamku Csejthe (Czachtice) wraz z „krwawą damą” w środku. Zostawiono tylko mały otwór, przez który podawano jedzenie. Król Mathias II domagał się dla niej kary śmierci. Jednak wyroku nigdy nie wykonano, albowiem hrabina po jakimś czasie zmarła w samotności w murach swego zamczyska.

Skandal nie wydostał się poza kręgi prawnicze, ale gdy Elżbieta zmarła w 1614 roku miejscowi zaprotestowali przeciwko pochowaniu jej na cmentarzu w Czachticach. Spoczęła w rodzinnej krypcie zamku Nagyecséd. Akta jej procesu były tajne, a z rozkazu królewskiego nie można było nawet wspominać jej imienia.

Po latach postać księżnej opisał w powieści „Pani na Czachticach” Jožo Nižnánskeho. Księżna doczekała się również filmowych opowieści, jednym z nich był horror, a ostatnim super produkcja Juraja Jakubisko „Bathory”. Ten ostatni podbił kina europejskie, ale nie doczekał się premiery w Polsce. Dostępny tylko na płytach DVD.

Literatura:

Wydawnictwo Pascal „Słowacja – praktyczny przewodnik”

ROZDZIAŁ 7

W LITERACKIM ŚWIECIE

OPOWIEŚĆ O CZANTORII

BOGDANA ZAKOLSKA

Wiersz pisany w latach 1968–1997. Powstawanie kolejnych jego rozdziałów nakładało się na znaczące wydarzenia w życiu autorki.

I

Cieszyn siada dachami domów ku Olzie.
Za nim Jaworowy, jak wielka dłoń
zatknięta za pas miasta.
Dalej już tylko niebo po kres południa.
Na wschodzie Czantoria,
połączona stulą gór
z pięknym Jaworowym.
Naprzeciw pagórek,
a nad nim okno,
a w oknie ja od lat –
najpierw coraz wyższa,
potem coraz starsza,
coraz to inna, a jednak ta sama.
Każde pierwsze spojrzenie poranne
sięga Czantorii, by sprawdzić
co za dzień szykuje nam pogoda.

II

Czantoria. Czan – toria.
Jest w twojej nazwie
coś z chińskiej tajemnicy,

coś z włoskiego przepychu.
Uczyłaś mnie kolorów,
poezji, symfonii burz.
Znam ciebie w każdej szacie,
w każdej porze dnia i roku,
w każdym nastroju
i w każdej postaci –
oddaloną, zbliżoną,
wyniosłą, zagubioną.

III

Jakaś ty, Czantorio,
różna w moich oczach bywała!
Znam twój żubrzy grzbiet
z waliście grzęznący w mgłach
lub przepysznie zdobny
w broszę strzelistego słońca.
Znam ciebie w ślubnej szacie
z pierwszego śniegu.
Znam smacznie posypaną szronem,
jak babka wielkanocna cukrem.
Znam łaciatą, jak krowinę czarną

z białymi plamami polan.
 Znam łagodną i zwiewną,
 jak malunek napoczęty.
 Znam upiorną, fioletowo–czarną,
 jak z seansu cieni.
 Znam teatralnie sztuczną,
 gdy reflektor słońca
 tylko ciebie wypunktował
 pomarańczowym kręgiem
 w burzowej przestrzeni.
 Znam opłakaną deszczem
 w żałobnych dymach kadzideł cementowni.
 Znam dumną i szczęśliwą
 w potrójnej koronie z tęcz.
 Znam rumianą od zorzy
 w zimowe poranki,
 z zalotnie wetkniętym na skroni
 grzebieniem lasu.
 Znam gniewnie purpurową
 od trzynieckiej łuny.
 Znam wyrazistą,
 z każdą żyłką przesieki i ścieżki–
 nerwową przed burzą.
 Znam cieniowaną w zieleni,
 kolorową od złota po czerną.
 Znam tęsknotę za tobą,
 gdy nic nie widać
 prócz najbliższych wzgórz.

IV

Czasami łyskasz brylancikiem szybki,
 z której promyk słońca uczynił lusterko,
 by posłać mi pożegnanie
 w wieczornej godzinie.
 Kiedyś przeraziłaś
 blaskiem ostrego płomienia,
 a potem raną po wygorzelisku.
 Zdumiewasz rozjuszona burzą,
 gdy błyskawice, prując parasol nieba,
 sięgają ciebie błyszczącym bagnetem,
 a ty, ryknąwszy gromem,
 posyłasz wyzwanie górcom i mnie –
 igle wpiętej w otwarte okno
 między niebem i ziemią.

Jaworowy ucisza cię echem?
 Odpowiadasz pomrukiem ulgi,
 że dzieli twój los.
 Czasem wzruszasz wpatrzona w pełnię
 księżycą.

V

Czasami przypominasz gigantyczną,
 sceną.
 Kiedyś widziałam, jak na twoim podium
 toczyły batalie smoki
 o złociście obrzeżonych grzebieniach
 granatowych cielsk.
 Połykały się wzajem, zlewały powoli
 w świetlistą karetkę dla słońca.
 Reżyserem baśni z obłoków był wiatr.
 Niezwykłe w tym teatrze
 bywają kulisy i kotary nieba.
 Gdy są powleczone szklistym lodem
 mroźnych bezśnieżnych dni,
 uwydatniają cię w olbrzymią.
 Zda mi się wtedy,
 że idziesz ku mnie dziewiątą falą,
 by mnie pochłonać.
 Gdy są haftowane w lekkie
 różowo–złociste impresje,
 jak arras nietutejszy,
 to czynią cię wytworną, stylową.
 Gdy tkane są w wielkie ołowiane chmury,
 to gubisz się w tym tle
 i wydajesz się małym
 przydeptanym kretowiskiem.

VI

Gdy byłam mała, tak mała,
 że w swych modłach
 prosiłam o deszcz kwiatów kolorowych,
 dużych jak śliczne spódniczki,
 bym w nie mogła, stroić swą lałę i siebie,
 to właśnie wtedy starzyk mi powiedział
 o rycerzach zaklętych w Czantorii łonie,
 w wielkiej pieczarze zamkniętej głazami.
 Opisywał ich zbroję, siłę, liczebność,
 wymieniał cnoty, przewagi, bogactwo.

wróżył, że wstaną, gdy ziemia zawoła
 rażona krzywdą, największą z krzywd.
 Ja wierzyłam, lękliwie zerkając,
 czy nie ruszają w poprzek stoku hufce
 w błyskach srebrnych hełmów
 puklerzy i lanc.

Wybuchła wojna.

A kiedy haki spod czarnego orła
 wbiły się w Beskid,

jąknęła ziemia i wydała krzyk.

Niedługo potem ludzie coś szeptali
 z tajemniczą nadzieją w oku, sercu, słowie,
 że w Czantorii zbrojni już się pobudzili,
 że krążą po górach, szykują ratunek.

Wróg postawił znaki:

Achtung Bandengefahrgebiet!

Wierzę, Czantorio, w twoją legendę,

bo gdy nastaje czas próby,

ziemio sprawiedliwa,

to nie w grocie, lecz w twych ludziach

budzą się rycerze.

VII

Przyszli zbrojni, swoi i nasi,

wyzwolili beskidzkie potoki.

Wezbrały wodą spóźnionej powodzi

i pognały ku czekającym je rzekom.

Olza parła rwąca, kalna, silna,
 tłamsząc barykady z mostowi wysadzonych
 i zgarniała z brzegów sześćoiletne zło,
 jakby gwałtem oczyszczając całą ziemię tą.

Pośrodku rzeki na psiej budzie
 płynął opasły szczur,

ostatni tutaj z nosicieli dżumy.

VIII

Polska szkoła – orzeł w bieli.

– Danuś, po polsku umiesz czytać?

– No, toż tak kapke, panie rehtór.

Starzyk mie na Dambrowce uczyli.

Uścisk serdeczny przez życzliwy śmiech.

I wreszcie po latach

pierwsza szkolna wycieczka!

Czantorio, jaka bodziesz z bliska?

Będzie to nasze, pierwsze spotkanie.

Pamiętam niecierpliwą radość,

lekki chlebak, kompanię,

gwizd pociągu, przesiadkę,

ścieżkę przez życie, podejście, stok

i... rozczarowanie.

Jakże byłaś inna od tej innej strony!

Tak nie mogłam odnaleźć linii grzbietu,
 zboczy!

Zdałaś mi się cudza,

nieczuła na stóp mych dotyk.

Taka byłaś ludna, pospolita, nieintymna,

hałaśliwa, podzielona

taka byłaś obca, dziwna

nie tamta z mojego okna ...

IX

Nie tylko rzeki mają swoje źródła, drogi
 też.

Moje trysnęły na przedpolu gór

i popłynęły w Polskę.

Morzem im był czarny Śląsk.

Wiedziona instynktem

wracałam ku źródłom,

by tu wydać potomstwo.

Wracam tu często

pod dach w bujnym sadzie.

Czantoria wita mnie pierwsza

na horyzoncie dróg,

wcześniej niż matka, ojciec czy próg.

X

„Czantoria” – neony, światła, napisy.

„Czantoria” – wyciąg, kawiarnia,

hotel, restauracja, woda mineralna,

dom czasowy, motel, rajd...

Zabrali twe imię

ozdobili nim dziesiątki rzeczy

– ot, zwyczajny turystyczny biznes.

A dla mnie zawsze będziesz

szmaragdem w klejnocie Ojczyzny.

Ty dla mnie jesteś korzeniem,

z którego ku morzu wyrasta nasz kraj.

XI

Stojąc na twoim grzbiecie
 czuje się twą potęgę,
 wieczny majestat niespożytej przyrody.
 Patrzysz w cierpliwej mądrości
 na swe rozległe włości –
 świadku przeszłych tysiącleci
 i przyszłych tysięcy lat.
 Ty jedna wiesz kto pierwszy cię nazwał
 i znasz przyczynę – czemu.
 Ty jedna się dowiesz,
 co będzie tu po nas.
 A może jednak jestem
 ostatnia z tych co mieli czas
 lubować się tobą blisko pół wieku.
 Dni coraz szybciej popędza nam praca
 i rozdrabniamy się w żarnach życia.
 Wszystko się zmienia,
 twój groń pozostaje.
 Przywracasz mi wiarę
 w trwałość pewnych spraw.
 Dlatego jestem ci winna tą opowieść.
 Może o dzień przetrwa me istnienie.

XII

Pagórek między domem a miastem
 zamienił się nagle
 w szczerbatą szcękę osiedla.
 Surowe, puste, szare bloki
 wychynęły z pola.
 Przeraziły mnie najpierw,
 potem przywykłam.
 Biblijna ziemia obraca się w kamień.
 Czekałam, że bloki ożyją ludźmi,
 że staną barwnym sztafażem
 w krajobrazie zieleni.
 Myślałam, będzie inaczej
 ale też ładnie.
 A one, drapieżne, prą przez dolinę,
 kryją rurami potoki, idą,
 by pożreć nasz sad...
 Wywłaszczenie?! Wszystko, tylko nie to!
 A jednak... Boli...

XIII

Zabiorę rodziców.
 Ciepło domu wezmę też
 i widok z mojego okna.
 Bez niego nigdzie nie byłam u siebie.
 Rozkwiecony majowy sad,
 dzikie chaszczce agrestu w żywopłocie,
 pierwiosnki, śnieżyczki, fiołki, mlecze,
 przeistoczą się w grzeczne trawniki
 u podnóży mieszkalnych wież.
 Wśród korzeni drzew,
 wyrwanych z sadu,
 będą i moje.
 Zachwieję się, zadrzę, ale ustoję.
 Będę daleko od ciebie, Czantorio,
 Będę wracać do ciebie,
 lecz już inną drogą.
 Gdy zaczęłam pisać o tobie przed laty,
 nie myślałam o takim epilogu.

XIV

A zwierzaki rozmaite,
 gdzie się wszystkie podziejecie,
 gdy ni domu, ni obejścia,
 ni ogrodu już nie stanie?
 Co się wami nacieszyłam,
 napięściłam, napłakałam,
 gdy wam czasem było źle.
 Gdzie zawisną na pazurkach
 nietoperze z za komina?
 A te myszki, co łasują
 na sypaniu pośród ziarna?
 Polowałam na was z kotkiem –
 ja, by patrzeć – on, by łapać.
 Kotki były różnorakie,
 charaktery jak u ludzi.
 Gdzie, Kubusiu, zwieszysz kitę,
 gdy nie będzie stryszku z okne?
 Skąd zamiauczysz, rudy Lisku
 skoro piorun spalił tuję?
 Jaskółeczki świergotliwe,
 łyskające bielą, czernią?
 Ileż to się napatrzyłam
 na lepienie gniazd i łowy!

Sówka zaś w wiatraku miała
 dzienne swe schronienie tajne,
 bezszelestnym w zmroku lotem
 polne myszy dopadała.
 na kasztanie rude cacko –
 wiewióreczka niedościgła,
 ta orzechy nam skradała
 i psu z dziupli na łeb psotnie
 puste łupki wrzucała.
 Ileż to się psiska nasze
 z racji jeży nazłościły!
 Ani łapą poobracać
 ani to – to trącić nosem
 i w dodatku żyją obok,
 pod stodołą, wedle budy.
 A kozłeta, capki, byczki,
 owce, kozy i jagnięta,
 krowy: Łanie i Contessy,
 wieprzki tłuste, nierozmowne,
 ciapowate kaczki, gęsi,
 indor strojny koralami,
 a kurczęta, kury, kwoki,
 i podwórka pan – nasz kogut –
 grzebień krasny i wysoki.
 Jego pianie najgłośniejsze
 nawet krowa nie przeryczy.
 Były też zwierzęta –goście:
 zając, co podbierał siano,
 kiedy śniegi wszystkie skryły,
 bażant w chaszczach, trawach płotu,
 ze swą dumą – rajerami.
 Na dnie w trawie żuczków, mrówek,
 liszek – nie wyliczyć przecie!
 A na kwiecie, na baldaszkę,
 pasikonik albo trzmiel.
 Polna sarna w koniczynie.
 Motyl paż zaś na dziewannie.
 Ptactwa w sadzie całe staje,
 tak jak ludzi na jarmarku:
 sójki, kosy, szpaki, sroki,
 dzięcioł bywał w czarnym czepku,
 znakiem Morse'a odczytywał
 kornikowe hieroglify.
 A w potoku były raki.

A w stodole pająk – krzyżak,
 raz i osy miały gniazdo.
 pszczoły były u sąsiada,
 ukochały nasze kwiaty.
 W stawie traszki, żab szwadrony,
 ba! i karpie też bywały.
 I ropucha przy truskawce.
 Zaś ślimaki płot ślimiły.
 Chrabąszcze spadały w maju.
 Chrupał je Lux albo Dżeki.
 Konie mieli starzykowie.
 A pięć godzin ode proga –
 – na Czantorii – salamandry.
 Te zostaną, te odnajdę...

XV

Kajzarowe pole,
 jak dłoń otwarta ku Czantorii.
 – Tu wyrośnie dom, nasz dom.
 powiedział ojciec, przytaknęła matka.
 Stare ptaki uwiły nowe gniazdo.
 Dom przejrzał oknami ku groniom.
 One tak blisko. Ja jeszcze nie.
 Jeszcze nie ma owoców, jagód ani warzyw.
 Są małe drzewka – rosną dla wnuków.
 Jest tylko Czantoria moja,
 jak ściana ku której dążę,
 jak masyw co przesłoni mi kiedyś świat.

XVI

Za twoim groniem tam dalej
 u Kubalonki pod pachą przywarł syn.
 Trzyma w swych mocnych ramionach
 dwie dziewczyny – żonę i córkę.
 Panie Boże,
 kiedy stworzyłeś Ziemię Cieszyńską,
 uśmiechnąłeś się.
 Matka Cię prosi –
 nie skąp Przedwieczny nadal uśmiechu
 każdej cząsteczce tej Ziemi.
 Czantorio, przygarnij ich bliżej do siebie
 i powiedz swej siostrze Równicy,
 by była dla nich łaskawa.
 Widziałas i córki mej syna już.

Widzisz, wracam do ciebie
w następnych pokoleniach.
Jesteś moją sekretną wiecznością,
życiem po życiu –
Czantorio.

XVII

Latoś widziałyśmy się mało razy.
Dałaś mi dar na Abrahama,
odsłaniając swój czar.
Zostałaś mi pod powiekami.
Widzę cię świtem w asyście Tułu
i bratnich wzgórz i gór.
Zasuwy wstających mgieł
dzielą i łączą was.
Aż nierzeczywisty w swym pięknie
pejzaż na aksamicie.
Chyba w takiej chwili ktoś kiedyś
odkrył sztukę tworzenia krajobrazów
na tej szlachetnej tkaninie.
Podziwiałam je u Boromeuszek
na wystawie prac uczennic ich szkoły.
Ale to jeden raz i nigdzie więcej.
Pewnie już nie ma takich szkół.
Zostały te cuda w poezji natury.
Żal, że pamięć zapychają
tłumy szczegółów i giną w niej
takie olśnienia, zauroczenia, fascynacje.

XVIII

Kiedyś, gdy byłaś pod ręką,
ciekawiły mnie twoje siostrzyce –
góry i bracia – wierchy.
Tęgo lata, we dwoje,
szliśmy znów na te inne gronie
po młodość zostawioną tam
lat temu trzydzieści
na zapas, na zaś.
Była jeszcze, czekała.
Starczyło jej na kilka dni.
Resztę wzięła kontuzja.
Czy kiedyś zwróci co wzięła?
W zastaw dała przepustkę do starości.
Gdy nie będę mogła chodzić pa górach,

maszynerią radości
wyniesiesz mnie na swe siodło
i dogonię to co ucieka – życie.

XIX

Cieszyn – gmina
połączenia ze światem niemrawe,
ważny jako punkt na trasie,
rzadko jako cel.
Dla mnie kiedyś meta zewsząd.
Dziś już nie.
Pociąg Katowice – Wisła,
wysiadka – Goleiszów.
Stąd do Dzięgielowa
nie chodzi PKP.
Chodzą moje nogi.
Zegarową godzinę na przełaj.
Rubieże Czantorii obchodzę dołem,
łąkami, przez potoki,
drogą, miedzą, szosą.
Kłaniam się ludziom,
bażantom, sarnom, zającom i roślinom.
Żadna na czarnym Śląsku
nie ma tej urody,
co tu przydrożny chwast.
Jary, łąki pełne ziół kwitnących.
Zapach łąnów, gór –
mimo cementowni, mimo huty w Trzyńcu.
Dopadam progą, matki.
Zamiast radości, że jestem –
płacz, że mnie długo nie było.
80 lat ogląda świat.
Dziś bardziej by chciały niż kiedyś.
Coraz mniej widzi –
zostaje jej dotyk i praca,
roboty dzielona jak lekarstwo.
Praca – narkotyk dla silnych duchem.
Nałóg aż do śmierci.
Kury, króliki, indyki,
owieczka, ogród i dom.
Jej myśl i ręce,
a nasz udział – praca.
Spłacamy dług życia – rodzinie.
Ojciec słów nie kontroluje,

po sołdacku klnie
i cieszy się beztrosko godziną, dniem,
84 lata, jesienie, zimy i wiosny,
rewolucje, wojny, szczucie i swoboda
i śmierci i dzieci
i zawsze praca.
Dziś to wszystko nieważne.
– Ot, króliki trawy chcą,
pójde tam nakoszę –
I ta „cholera jasna”
w uśmiechu po płot,
a w furii czasem po Czantorię.
Kotka puściła się z angorą –
kiciuś zbyt dekoracyjny,
jak na wiejski dom.
Ogród kipi kwieciami,
warzywa i trawa stanowią tło.
Ogrody – kobierce – arcydzieła,
którymi zdobi swe podłogi świat.
Ziemia Cieszyńska jest nimi bogata.
Wyjeżdżając, z balkonu żegnam zarys gór.
I ciebie, Czantorio.
Wiem, że wrócić muszę,
wiem, że wrócić chcę,
wiem, że kiedyś zostanę.

XXI

Diakonat Eben–Ezer.
Kępa głosi chwałę Panu.
Blachy, fisharmonia wspomagają śpiew.
Brzmi wiekowa pieśń.
Ewangelizacja.
Diaspora staje się tu policzalna.
Szukanie dróg do Boga
i znajdowanie ich.
Chwila spokoju duszy za życia.
Drobne, lekkie kroki w sieni,
szelest szarego habitu –
siostra Dorka – dobroduszek!
Totumfacki głos ojca:
– A, to siostra! Bardzom rad!
Żona leży, Bogu się naprzykrza,
że widać nie chce jej blisko mieć.
Proszę dalej, zapraszam!–

Siostra – samo przebaczenie –
niesie dobre słowo, kwiat
i radośnik– słodką bułkę,
czasem leki, książkę, ład.
Ludziom chorym, ludziom starym
niesie własne serce, czas.
Nie ma dla niej drzwi zamkniętych,
czy niechętnych spojrzeń jadu. Ona
wszystko i zrozumie i ułatwi i pośpiewa z
chorym Bogu.
W zamian nie chce nic a nic.
To dla Pana, to dla Niego
tak chce służyć, tak chce żyć.

XXII

A polityka? – to tam w świecie,
gdzieś jak wąż zmienia swą skórę.
Tu jest Boża gospodarka – siew i zbiór,
naturalne życie – karmienie pojenie,
wzajemne żywienie i modły
i osłona z wiecznych gór.
Las, zagajnik leszczynowy...
A jednak! – Dowód proszę!–
Strefa przygraniczna wszak.
– Obywatelko, nie wolno podchodzić
tak blisko granicy obcego państwa!–
– Panie wojskowy, przeciem tu rodzona!
To nie ja podeszłam, to zła granica
podpełzła bezkarnie!
Tu świat graniczy tylko z niebem.
Słyszysz pan te chóry, te dzwony? –
Pan je słyszy...

XXIII

Czas. Co to jest?
Suma wspomnień?
Tamto okno? Tamten pagórek?
Przecież stoi jak stał!
A okien nad nim nawet więcej.
Ty w nie nadal patrzysz, Czantorio.
Może w oknach stoją już inne dziewczyny,
co cię kochają jak ja?
Może urzekłaś już mieszkańców wzgórze?
Może wrastają już sercem, myślą

całym swym istnieniem
przez asfalt, beton w tą samą ziemię?
Może dla nich nasza ojcowizna –
to nie tylko piaskownica, śmietnik,
susząca się bielizna?

Nieśmiało wracają tu róże,
jaśmin, bez, modrzew, klon, dąb.
Akacje, jesion, wierzby zostały,
lecz jakby w innym miejscu są.
Nie będziecie tu jednak moich wiśni,
czereśni, orzechów, jabłoni...
... więc nic tu i po mnie...

XXIV

A na razie, Czantorio,
wrastam szóstką wnuków
po obu twych bokach.
Jeszcze czuje cię matka,
sędziwa w swych rokach.
Ojca już nie ma.
Gospodarzą dzielnie młodzi –
nasza córka i zięć,
z wiślańskiej zaś strony –
synowa i syn.
Nasz niegdysiejszy sad i dom
rozsypał się jakby na poły,
jak jabłko rozdzielone dzieciom dwom.
Soczyste jabłko życia.
Bywając w ich domach,
widzę cię znacznie dokładniej.
Wzbogaciłaś mój obraz
o drugi twój wymiar i trzeci.
Ciesz się tobą już dzieci mych dzieci.
Nawet granicy pas czerwony
wypłowił na twojej grzywie.
Już nie dzielisz, a łączysz
rodziny, narody.
W twoich dziejach
mieści się czas każdego z nas
nasze smutki i nasze gody,
Nie przystoi mi dziś
nostalgiczny już ton.
A jednak marzy mi się,

że wyrosnę brzmem
na Czantorii stoku
i grzać będę w słońcu igliwie
w trzytysięcznym roku...

XXV

Suplement
Pełnia.
Czas zamknąć trudny dzień.
Mozół, choroba w domu, dały przygnę-
bienie.
Jasna noc rozświetla izby mrok,
a we mnie całkiem ciemno.
Spojrzenie w okno ... i dziw u gronia!
Czantoria podnóżem wyluskuje
z kieszeni horyzontu miedzi krąg,
order, nagrodę za tak ciężki dzień.
Ogromny płat księżycy,
jak z czerwonego, cygańskiego złota,
z sykiem wypalił niedobrych myśli błota
i uśmiechnęłam się.
A uśmiech uchylił klapkę dobrym myślom,
ciepłym obrazkom, co schowały się w
pamięci dnia.
I znów buzie dzieci, echo barwy rozmów,
czuję radość matki, żem jest tu,
Nic, tylko dziękować za łaskawość losu
i zasnąć łatwym snem
w oczekiwaniu kolejnego dnia –
kolejnej cząstki z pełni życia.

DOŻYNKI POWIATU CIESZYŃSKIEGO I GMINY GOLESZÓW 2012

PAWEŁ PIOTR MAEYSZ

Jesień i wiosna suche były, w lutym mrozy doskwierały
Zboża wolno rosły – wcześniej dojrzały i dobrze posypały
W sierpniu słońce świeciło i mocno grzało
Rolnikom przed dożynkami zboża zebrać się udało
Chętnie usiedli z gośćmi przy dożynkowym stole
Tegoroczne plony wszyscy mieli już w stodole

W tym roku obchody były wyjątkowe
Przygotowała je nasza Gmina i Starostwo Powiatowe
Wreszcie Dożynki Powiatu Cieszyńskiego do nas zawitały
Bawił się Goleszów i z nim powiat cały

Gazdami Musiołowie z Puńcowa zostali
Niedawno od prezydenta w Warszawie gratulacje odbierali
W sobotę barwny korowód i obrzęd ludowy
Któremu towarzyszył nasz zespół dziecięco–młodzieżowy

Artyści, których organizatorzy na Dni Goleszowa zaprosili
Swoim humorem gości przez dwa dni dobrze bawili
Kabaret, biesiada, śpiewanie i smaczne potrawy
Zespół „Kilimandżaro” grał podczas tanecznej zabawy

W strażnicy podziwialiśmy piękno przyrody
Krzywoń nagrodził najlepszych za konkursowe ogrody
Niedziela to czas na poprawiny
Znow się spotkaliśmy obok Urzędu Gminy
Wiele się jeszcze przy zmiennej pogodzie działo
Jak to co roku do północy bywało

GOLESZÓW, 25 SIERPNI 2012 R.

KOLEJNY ROK ZA NAMI

PRZEGLĄD WYBRANYCH WYDARZEŃ OSTATNICH 12 MIESIĘCY W GMINIE GOLESZÓW

Grudzień 2011

- z okazji 20-lecia współpracy transgranicznej samorządów Śląska Cieszyńskiego w Czeskim Cieszynie odbyło się polsko-czeskie spotkanie, na którym medalem za wspieranie współpracy uho-norowany został Jan Sztwiertnia z Cisownicy, długoletni naczelnik i wójt gminy Goleszów, poseł na Sejm RP IV kadencji, przewodniczący rady Powiatu Cieszyńskiego w latach 2006–2010,
- w gminnym konkursie „Wiem wszystko” Mistrzem Intelaktu została Laura Skiba,
- już po raz dziesiąty na terenie Goleszowa kolędowała rozśpiewana grupa gimnazjalistów,
- na skoczni w Goleszowie odbył się Międzynarodowy Mikołajkowy Konkurs Skoków Narciar-skich Dzieci i Młodzieży,
- rozegrane zostały Indywidualne Mistrzostwa Gminy Goleszów w Tenisie Stołowym, zwycięzca-mi zostali: Andrzej Sztwiertnia, Ryszard Grądkowski, Dariusz Walarus,
- Konrad Profic wywalczył w Warszawie tytuł „Najładniej Piszącego Ucznia 2011”.

Styczeń 2012

- w Panoramic Goleszowskiej rozpoczął się cykl artykułów w ramach projektu dofinansowanego środkami europejskiego Funduszu Rolnego na Rzecz Rozwoju Obszarów Wiejskich „Poznajmy się”, w którym prezentowano gminy z terenu LGD Cieszyńska Kraina,
- po raz dwudziesty zagrała w Goleszowie Wielka Orkiestra Świątecznej Pomocy, zebrano ponad 7 tys. zł,
- w kościele ewangelickim w Goleszowie odbyło się Ekumeniczne Nabożeństwo Słowa,
- w Książnicy Cieszyńskiej miała miejsce wystawa prac Honorowego Obywatela Gminy Goleszów Józefa Golca „Między Cieszynem a Sopotem,
- Maciej Mroziak wygrał I turniej z cyklu Grand Prix Gminy Goleszów w Szachach 2012.

Luty 2012

- zmarł ostatni goleszowski olimpijczyk Władysław Tajner (ur. 1935 r.),
- łuczniczka Anna Stanieczek kolejny raz zdobyła tytuł Halowej Mistrzyni Polski w łukach blocz-kowych,
- w sali GOK miał miejsce „Koncert przy świecach”, głównymi inicjatorkami były młode artystki Kamila Stawarz i Daria Branny,
- w OSP Kozakowice przeprowadzono gminne eliminacje „Ogólnopolskiego Turnieju Wiedzy Po-żarniczej”,
- arcymistrz Rafał Antoniewski wygrał II turniej z cyklu Grand Prix Gminy Goleszów w Szachach 2012.
- w ramach akcji „Bezpieczne przedszkolaki” maluchy z terenu gminy otrzymały odbłaskowe ka-mizelki.

Marzec 2012

- w dniach 21–25 zaprezentowano rękodzieło lokalnych twórców–amatorów podczas „Sceny Pasji i Talentu BZIK 2012”,
- Stowarzyszenie Miłośników Puńcowa zakończyło projekt „Nie jesteś samotną wyspą”,
- Kisielów wygrał Siatkarską, a Goleszów Dolny Piłkarską Ligę Sołectw Gminy Goleszów,

- wystartowała Golezowska Liga Piłkarskich Szóstek o „Puchar Cieszyńskiej Krainy”.

Kwiecień 2012

- na sesji rady gminy zostały rozdane nagrody i odznaczenia państwowe: Wiesławowi Jakubikowi, Andrzejowi Lacelowi, Lidii Lankocz, Annie Stanieczech, Halinie Walczysko i Tomaszowi Warzesze,
- 122 uczestników wzięło udział w Gminnym Festiwalu Piosenki organizowanym przez GOK,
- gimnazjalny zespół tańca nowoczesnego Gim-Dance otrzymał wyróżnienie pierwszego stopnia podczas Powiatowego Przeglądu dziecięcych i Młodzieżowych Zespołów Artystycznych w Cieszynie,
- Nikola Tomica została laureatką Międzynarodowej Olimpiady z Języka Angielskiego,
- Andrzej Misiuga wygrał III turniej z cyklu Grand Prix Gminy Golezów w Szachach 2012,
- w bażanowickim przedszkolu odbył się konkurs recytatorski „Łopowiadomy po naszymu wierszym”.

Maj 2012

- początkiem maja Józef Golec otrzymał tytuł Honorowego Obywatela Miasta Cieszyna,
- na skocznicach narciarskich w Golezowie odbył się XIII Memoriał im. Leopolda Tajnera zorganizowany przez LKS „Olimpia” Golezów,
- Ewangelicki Chór Mieszany przy kościele Jana Chrzciciela w Puńcowie obchodził 20-lecie swojej działalności,
- Michał Lipa z Puńcowa otrzymał specjalną nagrodę Euroregionu „Olza” za pracę plastyczną – „Cis pospolity”,
- piłkarze LKS Golezów zapewnili sobie awans do klasy A ligowych rozgrywek piłki nożnej.

Czerwiec 2012

- miały miejsce uroczyste obchody 100-lecia Szkoły Podstawowej w Golezowie,
- odbył się jubileuszowy 30. Gminny Przegląd Dorobku Kulturalnego TON 2012,
- odbył się VI Piknik Sportowy „Na sportowo i z kulturą”,
- Cisownica wygrała VII Transgraniczne Mistrzostwa Gminy Golezów w Piłce Nożnej,
- nowym przewodniczącym Rady Gminy Golezów został Kazimierz Wiselka,
- w ramach „Sportowej soboty” rozegrano Zawody Sportowo-Pożarnicze Gminy Golezów oraz Puchar Golezowskiej Ligi Szóstek,
- Małgorzata i Leonard Musiołowie z Puńcowa zostali odznaczeni przez prezydenta Bronisława Komorowskiego w konkursie AgroLiga 2011,
- zarząd TW „Ton” zorganizował Dziecięco-Młodzieżowe Zawody Wędkarskie oraz XIII Zawody Świętojańskie Par Mieszanych,
- podczas sesji uhonorowano wyróżniających się uczniów z terenu gminy: Piotra Gajdzicę, Dominika Dziembałę, Konrada Profica i Nicolę Węclaw,
- odbył się IX Młodzieżowy Rajd Turystyczny „Szlakami Gminy Golezów” – Chełm.

Lipiec 2012

- 105-lecie Ochotniczej Straży Pożarnej w Godziszowie,
- 110-lecie Ochotniczej Straży Pożarnej w Lesznej Górnej,
- 20-lecie XVIII Oddziału Ziemi cieszyńskiej Związku Polskich Spadochroniarzy – Golezów Równia,
- XI Święto Stowarzyszenie Miłośników Cisownicy – Izba Regionalna Aliny Stanisława Brzezinów,
- odbyły się VI Amatorskie Mistrzostwa Gminy Golezów w Siatkówce Plażowej, zwycięzcami zostali Adam Gabzdyl i Jakub Jeznach,
- zarząd TW „Ton” zorganizował XXI Gminne Drużynowe Zawody Wędkarskie.

Sierpień 2012

- w dniach 25–26 sierpnia odbyły się Dożynki Powiatu Cieszyńskiego i Gminy Goleszów,
- wyłoniono laureatów konkursu „Gmina Goleszów w kwiatach i zieleni”, którego inicjatorem i organizatorem od lat jest Adam Krzywoń.

Wrzesień 2012

- miło miejsce uroczyste otwarcie boiska wielofunkcyjnego w Cisownicy, wybudowanego przy współudziale środków unijnych,
- zakończono realizację projektu „Łatwiej do celu – kompleksowe oznakowanie atrakcji turystycznych Gminy Goleszów”,
- 10-lecie działalności Sekcji Równia Towarzystwa Miłośników Goleszowa,
- łuczniczka Anna Staniecsek (LUKS Orlik) zdobyła tytuł Mistrzyni Polski, a także wygrała V turniej Pucharu Polski,
- wójt Krzysztof Glajcar, kierownik Urzędu Stanu Cywilnego Maria Siekierka oraz przewodniczący Rady Gminy Kazimierz Wiselka wręczyli 25 parom medale za Długoletnie Pożycie Małżeńskie,
- Stowarzyszenie Miłośników Dziegielowa zorganizowało 5 edycję wyścigu rowerowego „Cross Bike”,
- w sali GOK odbył się spektakl poświęcony 70. rocznicy utworzenia podoboju KL Golleschau „Melodie pamięci”,
- cisowianin, muzyk Witold Pieńkowski wydał publikację „Alfabet Józefa Golca”,
- Maciej Mroziak wygrał IV turniej z cyklu Grand Prix Gminy Goleszów w Szachach 2012,
- tradycyjnie w Cisownicy odbyła się „Biała sobota”, której organizatorami byli członkowie Stowarzyszenia Miłośników Cisownicy.

Październik 2012

- po raz szesnasty w GOK przeprowadzono Regionalny Konkurs Gwarowy o „Złotóm Przeposke”,
- MKS–R Centrum Dziegielów po raz dwunasty zorganizował bieg uliczny „O Złoty Dziegiel”,
- odbył się IX Międzynarodowy Turystyczny Marsz Pamięci zorganizowany przez koło PTTK „Ślimoki”,
- Starostwo Powiatowe w Cieszynie uhonorowało najlepszych sportowców, nagrody otrzymali m.in. reprezentanci naszej Gminy – Anna Staniecsek, Mariusz Makula i Tomasz Warzecha,
- decyzją Ministra Obrony Narodowej medal „Za zasługi dla obronności kraju” otrzymały pracownicy Urzędu Gminy Goleszów Joanna Pilch i Ilona Łukasiewicz,
- Maciej Mroziak został zwycięzcą klasyfikacji generalnej Grand Prix Gminy Goleszów w Szachach 2012.

Listopad 2012

- Lidia Lankocz, dyrektor Gminnego Ośrodka Kultury otrzymała „Laur Złotej Cieszynianki”,
- Andrzej Pustówka z Lesznej Górnej otrzymał „Laur Srebrnej Cieszynianki”,
- wystartowały X edycje Siatkarskiej i Piłkarskiej Ligi Sołectw Gminy Goleszów,
- uroczysto otwarto nową halę produkcyjną polsko–norweskiej firmy „Teknomet” w Goleszowie,
- w sali GOK odbył się międzynarodowy turniej szachowy „MOKATE Open”,
- w „Czytelní” przy parafii rzymsko–katolickiej w Goleszowie wystawiono widowisko patriotyczne pt. „Historia i wiesz... kim jesteś dziś” przygotowane przez Weronikę Glajc,
- Drużyna CDF wygrała Goleszowską Ligę Piłkarskich Szóstek o „Puchar Cieszyńskiej Krainy”.

Szerzej na temat opisanych wydarzeń w archiwalnych e–wydaniach „Panoramy Goleszowskiej” na stronie www.goleszow.pl

SPIS TREŚCI

Kalendarium miesięczne	4
Ciekawostki przyrodnicze – Kamil Podzorski	4
Rozdział 1 – O naszej gminie i nie tylko	
Z dziejów gmin „Cieszyńskiej Krainy” – Tomasz Jaszowski	16
Moje trzydziestolecie z samorządem, część pierwsza – Kazimierz Wiselka	33
Rozdział 2 – Nasza gmina dawniej i dziś	
Rycerze XX wieku na Czantorii – Franciszek Giecek	55
105-lecie Ochotniczej Straży Pożarnej w Cisownicy – Bogusław Konecki	59
Zabobony, magia... a może ludowa mądrość? – Lidia Lankocz	62
Historie starych domów w Cisownicy, Dom nr 28 – Jan Puczek	73
Rozdział 3 – Odpryski przeszłości	
Przywróciliśmy pamięć – Magdalena Dziendziel	81
Rozdział 4 – Świat przyrody	
O alternatywnym sporcie narodowym i nie tylko – Tomasz Beczała	95
Osobliwości mrówczego świata – Kamil Podzorski	98
Rozdział 5 – Rozważania na temat...	
Religia i bogowie Słowian okresu pogaństwa – Leszek Tyrna	102
Pokochać kościół – Albin Klimczak	109
Rozdział 6 – Podróże kształcą	
Z turystycznego szlaku – Krwawa Księżna z Czachtic – Zenon Sobczyk	113
Rozdział 7 – W literackim świecie	
Opowieść o Czantorii – Bogdana Zakolska	116
Dożynki 2012 – Paweł Piotr Małysz	124
Kolejny rok za nami	125